

M . Z I E L K E

X Y X Y P Y X Y

Y X Y X R X S X

X Y X Y O Y Z Y

P X Y L S K A W

O K X O T A N Ł

L O B B Y S T A

I R I B T A A D

T U Z Y U Y Ż Z

Y P N X C X Y A

K C E Y J Y X Y

A J S X A X Y X

X A X Y X Y X Y

Mariusz Zielke

LOBBYSTA



creo-books.pl

Redakcja, korekty
Joanna Zielke

Skład, łamanie
Sebastian Stępień

Projekt okładki
Kamil Wiśniewski

© Copyright for this edition by AWI CREO, Łomianki 2019

© Copyright for the text by Mariusz Zielke, 2019

ISBN 978-83-955554-1-1

Drogi Czytelniku.

Nad książką ciężko pracował autor i wiele innych osób. Uszanuj ich trud.
Korzystaj z książki w sposób legalny, bo dzięki temu będziemy mogli sobie
pozwolić,
by przygotować dla Ciebie kolejne znakomite lektury.

Wydawnictwo:



creo-books.pl

Konwersja: eLjot

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

PROLOG LATA 90.

CZEŚĆ PIERWSZA MONIKA

1. / 2. / 3. / 4. / 5. / 6. / 7. / 8. / 9. / 10. / 11. / 12. / 13. /
14. / 15. / 16. / 17. / 18. / 19. / 20. / 21. / 22. / 23. /

CZEŚĆ DRUGA MAREK

24. / 25. / 26. / 27. / 28. / 29. / 30. / 31. / 32. / 33. / 34. /
35. / 36. / 37. / 38. / 39. / 40. / 41. / 42. / 43. / 44. / 45. /
46. / 47. / 48. / 49. / 50. / 51. / 52. / 53. / 54. /

CZEŚĆ DRUGA SŁUŻBY

55. / 56. / 57. / 58. / 59. / 60. / 61. / 62. / 63. / 64. / 65. /
66. / 67. / 68. / 69. / 70. / 71. / 72. / 73. /

CZEŚĆ CZWARTA UCIEKINIERY

74. / 75. / 76. / 77. / 78. / 79. / 80. / 81. / 82. / 83. / 84. /
85. / 86. / 87. / 88. / 89. / 90. / 91. / 92. / 93. / 94. / 95. /
96. / 97. / 98. / 99. / 100. /

EPILOG

OD AUTORA

**Trzeba przeto być lisem, by wiedzieć, co sidła,
lwem, by postrach budzić u wilków.**

Niccolò Machiavelli, „*Książę*”
tłum. Krzysztof Żaboklicki, Warszawa 1984

PROLOG

LATA 90.

Profesor przejrzał indeks, zawahał się i oddał go Markowi, nie wpisując zaliczenia.

– Nie rozumiem – zaprotestował student. – Byłem na wszystkich pańskich zajęciach, panie profesorze.

– Wiem – przyznał wykładowca.

– Uważam je za jedne z ciekawszych na roku – dodał Marek, usiłując zrozumieć, co jest grane i trochę się przypodobać rozmówcy. Konwersatorium na temat geografii ekonomicznej i finansów międzynarodowych było w sumie interesujące, profesor wykladał z pasją, zarażał nią studentów, mobilizował do wyciągania wniosków i kreatywnego myślenia.

– Mam napisać jakąś pracę? Powiniennem zrobić coś więcej na zaliczenie? O czymś zapomniałem?

Profesor wrócił już do lektury przeglądanych wcześniej papierów. Nie patrząc na studenta, dodał:

– Nie nadajesz się.

– Ale... ja sobie radzę, naprawdę...

– Nie nadajesz się na dyplomatę, nie wpiszę ci zaliczenia. To moje zdanie i moje sumienie. Złóż wniosek w dziekanacie, pewnie ci to zaliczą komisyjnie, , ale ja ci wpisu nie zrobię.

Marek nie rozumiał. Chodził na te zajęcia, z innych przedmiotów miał same czwórki i piątki, także z języków, choć w zasadzie uczył się sam z książek i filmów, i nie miał takich możliwości, jak większość kolegów korzystających z kursów za granicą i prywatnych lektorów.

Właśnie, może to o nich chodzi? Był jednym z pięciu studentów na roku, którzy nie pochodzili z rodzin dyplomatów. Pozostała czwórka miała plecy w innych miejscach: jeden był synem znanego polityka, druga – wnuczką historyka, który się przyjaźnił z Normanem Davisem, dwójka pozostałych przeszła na „stosunki międzynarodowe” w ramach wymiany z korporacją prawniczą, ich rodziny należały do najbardziej wpływowych w polskiej palestrze.

On jeden mógł się pochwalić bezrobotnym ojcem pijakiem, matką przemytniczką, na dodatek może samobójczynią, no i...

– Jak się nazywa ta miejscowość? Skąd ty pochodzisz, chłopcze?

– Lipno.

Profesor westchnął.

– Właśnie, wracaj tam, idą nowe czasy, rodzą się dla was młodych szanse.

Niby jakie? – pomyślał z goryczą Marek. Nie odczuł, by po upadku komuny w Lipnie nastąpiło coś dobrego. Ceny tylko zwariowały, ojcu wzrosła konkurencja wśród lokalnych pijaków, w zakładach metalowych mówiono o zwolnieniach, cały ten lokalny kosmos się rozsypywał jak po wielkim wybuchu...

– Załóż jakiś biznes i rodzinę – dodał profesor. – Zostań bogatym hodowcą indyków, największym pracodawcą w swoim Lipnie, produkuj dobra i dzieci, i żyj. Po co się ładujesz w to bagno? Ty nie jesteś z tej samej gliny, co my. Ty jesteś nadzieją tego kraju na zmianę.

– Ale...

– Wyjdz! — zażądał – i choć zaraz dodał „proszę” – zabrzmiało to bardzo niegrzecznie, ostatecznie.

Marek wstał, wyszedł i trzasnął drzwiami. Chuj! Pierdolony chuj! Jakim prawem go tak potraktował? Dlaczego w ogóle śmiał go oceniać w ten sposób?

Był tak zdenerwowany, że nie zauważył stojącego w cieniu starszego mężczyzny w dobrym, markowym garniturze, starannie zaczesanych białych włosach i przystrzyżonym na modę wojskową wąsie. „Siwy” przyglądał się bacznie studentowi, a gdy chłopak wyszedł z budynku przy Krakowskim Przedmieściu, ruszył do gabinetu profesora.

*

„Może rzeczywiście się nie nadaję” – myślał, wsiadając do autobusu linii E-2, którym mógł spod Uniwersytetu najszybciej dojechać do akademików na Jelonkach.

Większość jego kolegów z roku podjeżdżało na uczelnię własnymi autami. Był też jedynym mieszkającym w akademiku, choć w pokojach obok zdarzali się studenci ze Stosunków, głównie jednak z zagranicy czy mający jakieś inne powody, by „spróbować” tych słynnych Jelonek. Osiedle Przyjaźń, pozostawione przez budowniczych Pałacu Kultury i zamienione na kampus studencki, nie miało sobie równych w całej Polsce pod względem niezwyklego, sielankowo-artystycznego klimatu. Warto było go zaliczyć do życiorysu.

Pokój dzielił z Białorusinem, który handlował na wielką skalę papierosami i spirytusem oraz chłopakiem –studentem dziennikarstwa – lekko szurniętym, pisującym do rzekomo liberalnej gazety, wbrew własnym, konserwatywnym poglądom i dorabiającym przy tworzeniu list dialogowych do gazetek porno wydawanych przez firmę Pink Press, czy jakoś podobnie.

„Po co ci te stosunki międzynarodowe?” – przypomniał sobie jedną z dyskusji z ojcem, kiedy jeszcze rozmawiali. – „Co po tym można robić? Przecież na dyplomatę cię nie wezmą. Idź na jakiś... no nie wiem... handel czy coś?”

„Może na chemię ze specjalnością w alkoholach?”

„O, to to” – roześmiał się szczerze.

Ojciec był z tych, co więcej wylewają z powodu roztrzęsionych rąk, ale potrafił czasem Marka zaskoczyć na różnych poziomach: moralnym, intelektualnym czy takim zwykłym, ludzkim. Gdyby nie pił, może by nawet coś osiągnął. Może Marek mógłby być z niego dumny, podziwiać, chwalić się nim. Może ich drogi potoczyłyby się inaczej. Może mama by żyła...

A tak... na osiedlu był jednym z większych zabijaków, choć w szachy nikt z nim nie potrafił wygrać. Mówiono, że ma mózg Einsteina, pierdolnięcie Kuleja i serce Matki Teresy.

„Tyle, że pijak, jak wszyscy u nas” – dodawali. – „No i trochę pechowiec.”

Podobno dawno temu ojciec miał zostać jakimś dyrektorem w zakładach metalowych w Lipnie, ale się komuś naraził (zrobił coś nie tak jak trzeba, odezwał się niepotrzebnie, splunął w złym kierunku) i dostał wilczy bilet.

Nie lubił o tym mówić, więc Marek nie wiedział, o co dokładnie poszło i w sumie to nie chciał dociekać, ile w tym prawdy. Dla niego liczył się tylko fakt, że matka musiała wziąć sprawy w swoje ręce, zaczęła jeździć na handel do Turcji, Związku Radzieckiego, energódwka i Bułgarii, żeby ich utrzymać i przez to zginęła, gdy wpadła pod pociąg, usiłując nie spóźnić się na inny.

A może też i w tym przypadku było inaczej? Może po prostu miała dość: pociąg jechał szybko, dało się błyskawicznie z tym dziadostwem skończyć, wyrwać z bagna, rzucić te ciężkie torby pełne sweterków, dzinsów marmurków, koszulek polo z nierówno przyszytymi znaczkami krokodylka i innego gówna... Tego nie wiedział, choć jednak nie dopuszczał do siebie myśli, że mogłaby go zostawić samego z ojcem z własnej woli. Nie, to było

niemożliwe. Tak czy inaczej, obarczał ojca winą za jej śmierć i wiedział jedno: stary drań nie ma prawa decydować o jego przyszłości.

„Robię, co chcę.”

Wymyślił sobie te stosunki międzynarodowe, bo powiedzieli mu w liceum, że to jest kierunek, na który najtrudniej się dostać, trudniej nawet niż na prawo czy medycynę, a już z takiego Lipna to w ogóle bez żadnych szans. Jakby sobie postawić cel, żeby na dolepionych skrzydłach Ikara dotrzeć na księżyc. Egzaminy z dwóch języków, historii, rozszerzonej geografii, nawet skomplikowany test psychologiczny – straszili. A do tego punktacja, której on nie ma szans przeskoczyć. Trzeba być naprawdę alfą i omegą. Albo... mieć plecy. Albo być wariatem.

Postanowił, że się uprze i wszystkim pokaże. Od śmierci mamy chciał wszystkim coś udowodniać.

No i się udało! A teraz profesor z geopolityki wprost mu mówi, że dalej go nie przepuści. I to sugerując, że niby dla jego dobra.

*

Wysiadł przystanek dalej, żeby uniknąć rozmów z innymi studentami. Miał chęć to wszystko rzucić, pojechać do wujka Staszka do Trójmiasta, zaciągnąć się na jakiś statek i ruszyć w świat. Stryj dzwonił do niego ostatnio i namawiał, by się zaciągnąć na „Chopina”.

„Zbierają załogę na Karaiby. Kto by nie chciał zobaczyć Karaibów?”

No pewnie, pomyślał Marek. Chciałby zobaczyć, tyle że musiałyby pewnie harować za dwóch, przecież po coś był wujkowi – leserowi potrzebny.

Może powinien przejechać jeszcze kolejny przystanek i pójść pochodzić po sklepie... Właśnie otworzyli im jeden z pierwszych w Polsce hipermarketów. Nazywał się HIT czy jakoś tak i należał do Niemców. Robił promocje jedzenia i można było się tam żywić za darmo, z czego studenci z Jelonek często korzystali. Szkoda, że wódki nie rozdawali.

Parę przystanków dalej był WAT – Wojskowa Akademia Techniczna. Ojciec namawiał Marka, żeby tam właśnie zdawał, bo wtedy miałyby studia za darmo.

„Uniwerek też za darmo” – odpowiedział.

„Ale życie kosztuje. A wojsko i wykarmi, i da coś niecoś na zabawę, żeby smutno nie było.”

Tak, dla tatusia na wódeczkę dorzuci, co nie?

„Sam sobie poradzę.”

I radził. Udzielał korepetycji, brał każdą dorywczą pracę, nocami rozwoził trefne towary, w dzień rozdawał ulotki, wolne weekendy spędzał w podróży z przesyłkami, nanockach próbował załapać się nawet jako kelner, ale szybko mu pokazali, że tam jeszcze większa mafia niż na uczelni i żeby zarabiać, trzeba się dzielić, a on jakoś tak nie umiał oszukiwać i wchodzić w układy. Zostały więc te wyjazdy. Najbardziej zresztą je lubił, bo podczas wielogodzinnych podróży czy wyczekiwania na dworcach mógł w spokoju poczytać.

Brał książki w plecak, przesyłkę pod nogi(żeby nie ukradli) i – podczas, gdy inni na takich wyjazdach chlali wódkę i palili gandzię – on czytał nawet w ciemnościach, aż oczy odmawiały posłuszeństwa z bólu i pieczenia.

Naprawdę się starał; pracował ponad siły, za głupią paczkę był gotów oddać życie i czasem mało brakowało, bo taki już był,

twardy, nie do zdarcia. Żaden z tych wypielegnowanych gogusiów z dobrych domów nie robił równie dużo, żeby przeć do przodu.

A ten głupi chuj, profesor, tak po prostu go skreślił. W jednej chwili zabrał marzenia. Tak można?

„Cholera, jak trzeba, pójdę na ten WAT” – pomyślał. – „Zostanę generałem i wtedy jebańcowi wygarnę.”

Zaraz splunął jednak w bok, bo brzydził się mundurami. Brat ojca, wspomniany wujek Staszek z Gdańska, zaszczepił mu tę nienawiść. Co jakaś awantura, to Staszek musiał brać w niej udział. Flagi zrywał, pomniki przewracał, kamieniami rzucał w milicję i w okna domu partii. Pewnego razu wlaź na dach jakiejś komunistycznej rudery i obsikał wychodzących notabli. Wtedy dostał pierwszy wyrok i go strasznie skatowali. Potem to już była norma. Na przesłuchaniach podobno udawał wariata i notorycznie robił w gacie, żeby go musieli przebierać. Bili go zamiast tego i trzymali w odchodach aż do odparzeń, ale w końcu nie mogli wytrzymać i brali do łaźni, gdzie znów dostawał łomot.

Gdy mały Marek powiedział kiedyś dla żartu, że zostanie milicjantem, Staszek chwycił go mocno za gardło i wykrzyczał w oczy:

„Nawet tak nie żartuj, dzieciaku. Milicjantem i donosicielem nie wolno ci być, bo to tak, jakbyś zdradził nas wszystkich, tutaj obecnych i naszych przodków. Rozumiesz? Tego ci zrobić nie wolno!”

Zapamiętał. Lubił wujka Staszka, jego snute raz ściszone, to znów podniesionym głosem opowieści, niesamowite historie i sprzedawane pokątnie patenty, jak ten, że na demonstrację zawsze pod oczami trzeba smarować pastą do zębów, żeby zneutralizować gaz. Mimo że dziś już wiedział, że był to zwykły leser, nierób, cwaniak i wagabunda, a nie żaden bohater, w głowie

został zupełnie inny, może fałszywy, ale odciskający niezatarte piętno obraz.

Wojsko to nie milicja czy teraz policja, ale i tak się brzydził mundurami, wciąż widząc w nich bardziej oprawców niż obrońców. Zresztą na Jelonkach ciągle mieli naloty tych z WAT-u. Przyjeżdżali do „Karuzeli” i się rządzili, że niby nikt im nie podskoczy. Któregoś razu Marek miał z jednym takim scysję, nie ustąpił, doszło do bójki, a że Marek po ojcu bić się umiał i jeszcze trochę boksował amatorsko, to szybko i sprawnie poradził sobie z WAT-owcem: bez jakiegoś okrucieństwa czy szczególnej złości, lewy, prawy i było po zabawie.

Tamten zakrwawiony wykrzykiwał, że jeszcze mu pokażą, pobiegł do telefonu i zadzwonił po kolegów.

Inny student-żołnierz podszedł wtedy do Marka i mu powiedział:

„Ty, ja do ciebie nic nie mam, ale spierdalaj, bo jak naszego pobiją, to zaraz cała jednostka się zwała i chce się mścić. Spadaj, mówię ci.”

„To nie ja zacząłem” – odparł Marek. – „Uciekać nie będę.”

Tamci przyjechali, chyba ze trzy autobusy na jego jednego, otoczyli całą „Karuzelę”, zaczęli zaczepiać innych studentów, aż ktoś wskazał Marka i powiedział:

„To ten.”

Pobić go nie pobili. Zmusili jednak do pojedynku z ich najlepszym „zawodnikiem”. Wyszedł taki z szeregu, mniej więcej podobnej wagi, trochę wyższy, więc Marek – choć nie chciał – musiał się z nim zmierzyć. Tamten widać jakieś dziwne sztuki walki ćwiczył, bo potrafił wykorzystać swoje atuty i słabości przeciwnika, śliski był do tego i sprawny, i w końcu wygrał. Okazał się lepszy, a może to Marek poszedł po rozum do głowy

i stwierdził, że z całym WAT-em napierdalać się przecież nie będzie, więc lepiej honorowo przegrać?

Przeciwnik na koniec podał dłoń i pomógł wstać z ziemi, otrzepać się i ogarnąć, ścisnął mocno na zgodę i przedstawił się ksywką, gdyby kiedyś mieli się jeszcze spotkać:

– Diesel jestem.

*

Może właśnie to wspomnienie zaprowadziło go do „Karuzeli”. O tej godzinie lokal świecił pustkami. Pijacy siedzieli w pobliskim barze u „Fryzjera”, do którego dochodziło się „Aleją Zbłąkanych Dziewic”. Tam zawsze trochę taniej i bardziej przyziemnie. Większość jednak po prostu waliła gaz w pokojach. W Marka domku, zaraz przy wejściu, był taki pokój imprezowy. Studenci nauk politycznych od rana do późnej nocy pili na umór, grając w brydza, paląc i robiąc różne orgietki i ekscesy, jak przystało na ludzi, którzy nad drzwiami domku wypisali sobie hasło: „Zmęczeni Sukcesem.”

Zamówił piwo, wypił duszkiem i poprosił o drugie.

– Pewnie masz powód, ale w tym tempie trzeba będzie zmieniać beczkę na mojej zmianie, a nie umiem – zagadnęła go kelnerka, która przy braku gości musiała robić i za barmankę.

To przypomniało mu zabawną sytuację z tymi pijakami, jak ukradli z „Karuzeli” beczkę, ale nie potrafili jej otworzyć, ostatecznie robiąc straszną bardachę, a na koniec i tak musieli odkupić piwo zarządcy knajpy.

– To trochę zwolnię – mrugnął do niej okiem. Uśmiechnęła się w odpowiedzi. Kto wie, czy gdyby zagadał... Była całkiem ładna, on też przecież niczego sobie. Kontakty z kobietami nawiązywał z łatwością, zarówno te na jedną noc, jak i te poważniejsze. Miał

tylko problem z rozróżnieniem, które są które. Może więc dlatego uznał, że jeszcze nie czas na miłość, przynajmniej nie na taką prawdziwą i wszystkie należy zaliczyć do pierwszej grupy. A może był to wynik zawodu, jaki sprawiła mu taka jedna dziewczyna, imienia której nie chciał nawet wymieniać. Miał z nią związane nawet plany, a potem się okazało... Szkoda gadać.

Starał się skupić na nauce, a w weekendy lub gdy go naszła większa potrzeba szedł na dyskotekę i korzystał z pierwszej okazji. Same się pojawiały. Nie oceniał innych czy siebie. Po prostu robił to, jeśli było można, kontynuował taki układ jakiś czas, kiedy obojgu pasowało, po czym usiłował – najłagodniej jak umiał – kończyć relację.

Pieprzony dyplomatołek. Może za to teraz obrywał?

Wypił chyba trzy piwa, gdy „Karuzela” zaczęła się zapełniać. Przyszli ci „zmęczeni sukcesem” i od razu zrobiło się głośno. Za nimi kolejno pojawiały się ekipy przyszłych polityków, biznesmenów, oficerów służb, dziennikarzy i wysokich urzędników państwowych.

A potem przy jego stoliku stanęła Ona.

– Można?

*

Zdarzają się nam w życiu wyjątkowe chwile i tę Marek za taką uznał. Przysiadła się do niego dziewczyna o tak oszałamiającej urodzie, że nie mógł zrozumieć, jak jej wcześniej nie zauważył.

– Siedzisz tak sam, a ja jestem z przyjaciółmi – wskazała na stolik obok, pomachali do niego jacyś ludzie, których teraz widział jak za mgłą. Nie różnili się od innych studentów. – No i pomyśleliśmy, żeby cię do nas zaprosić, bo słabo znamy Jelonki i w ogóle. Zechciałbyś nas trochę wprowadzić...

Czemu nie? Był już wystarczająco zrobiony i zdecydowanie miał wszystkiego innego – całej tej nauki, oczekiwań, kumpli, nawet tego wyjątkowego w swojej specyfice Osiedla Przyjaźń – po dziurki w nosie.

I poszedł z tą dziewczyną, i poznał jej przyjaciół.

Na imię miała Magda, ale prosiła, żeby mówić na nią Lena. Ładnie, pomyślał. Całowali się, a potem znaleźli w jego pokoju; szczęśliwie współlokatorzy byli w innych miejscach, nieszczęśliwie nie miał prezerwatyw i zaczął biegać po pokojach, błagając o pomoc, poratowano go, a rano i tak głowa bardzo bolała. Lena leżała w jego ramionach i o dziwo nic a nic nie zbrzydła.

Poczuł się szczęśliwy. Pomyślał, że mógłby się w tej dziewczynie zakochać, jeśliby tylko zechciała.

Uśmiechnęła się do niego tak słodko po przebudzeniu, że postanowił zrobić jakieś dobre śniadanie i całkowicie się zmienić. Tak, odnalazłem cel – pomyślał.

Po śniadaniu rozmawiali o różnych sprawach i wtedy ona powiedziała, że wieczorem jej znajomy organizuje przyjęcie i czy nie chciałby z nią pójść. Miał już trochę zaoszczędzonych pieniędzy, może odpocząć, potrzebuje odpocząć, ot co!

Poszedł na to przyjęcie, a tam oprócz ludzi, których nie znał i za bardzo nie rozumiał, był jakiś bardzo dziwny, jednocześnie intrygujący człowiek, który w ogóle nic nie mówił, tylko mu się przyglądał. Mężczyzna ten miał siwe włosy i wąsy. Wyglądał dość dystyngowanie w starannie skrojonym garniturze: wysoki, szczupły, o prezencji wojskowego, a jednocześnie jakby z zupełnie innego świata.

DZIESIĘĆ LAT PÓŹNIEJ

CZĘŚĆ PIERWSZA

MONIKA

1.

„Nie jestem ładna, wcale nie jestem ładna” – pomyślała Monika, patrząc w lustro za recepcjonistką. Włosy miała nieuczesane, oczy za zielone, cera też jakaś szara, matowa.

Wiedziała, że to bzdury i kłamstwa, ale gdzieś w głowie od zawsze towarzyszyło jej poczucie niepewności. No bo to, że ogólnie podoba się mężczyznom, oglądają się za nią na ulicy... to wszystko nakręcało i stymulowało, ale czy na pewno ona się nadaje do czegoś więcej?! Czy nie jest tylko prostym podlotkiem, dziewczuszką, z którą każdy chce zatańczyć, poflirtować, ale już niekoniecznie oglądać na scenie czy wybiegu?

„Możesz być kimś. Możesz zostać gwiazdą” – przekonywał Agent, wpatrzony w nią jak w obrazek.

Nic nie poradzi, że czuje się niepewnie – miała ochotę odeprzeć. Że wszystko w ciele, a co gorsza umyśle, jej się nie podoba. Że całość wymieniłaby na inne. Włosy chciałyby mieć czarne i kręcone, oczy migdałowe, cerę oliwkową, piersi... inne. A głowę? Trzeba by ją wymieść do czysta i umeblować na nowo.

„Pójdiesz do Eli, ona cię dalej poprowadzi” – nakazał Agent. Pracował dla prawdziwych gwiazd. Trzeba go było słuchać. Znał się na tym, wiedział co i jak. No i przyjaźnił się z jej opiekunem, niby dobrodziejem, artystą, co ją wyłowił z tłumu dawno temu i chciał wypromować, zrobić z niej gwiazdę estrady, a tak

naprawdę okazał się... ech!, nieważne. – „Ona ci w głowie poukłada.”

Monia kiwnęła głową, lecz zaraz pomyślała: a jeśli to ściema, jeśli się skompromituje? Najgorzej to wyjść na idiotkę. Ile to już razy było, że ona coś myślała, a potem się okazało...

Monika nie jest za mądra. Szkoły średniej nie skończyła, matury nie ma. Niektórzy mówią o niej wprost: głupia. Idiotka. Pogardzają, wręcz szydzą otwarcie. Gdy idzie w tej swojej dziurze po osiedlu, nieraz słyszy drwiny. Nabijają się z niej czasem z zawiści, tak po prostu, a niekiedy pewnie szczerze, kto wie, może i trochę zasłużenie.

Mama tłumaczy, że wszystko przez tę telewizję, bo jest jedyną dziewczyną w miasteczku, która była w telewizji i to jako gwiazda. Choć tyle lat minęło, wciąż jej to pamiętają. Niby gratulują, a tak naprawdę się śmieją, no bo jak to, gdyby była wiele warta, to przecież by w telewizji została, a nie spacerowała w tym naszym mieście. Odnieść sukces i spaść z powrotem na dno to jeszcze gorzej niż ciągle tkwić w bagnie.

Ostatnio jeden taki ślinił się do niej, a potem złożył palce lewej dłoni w kółko i wskazującym prawej zaczął jej pokazywać wulgarnie, co on by z nią zrobił, jak to ona – jego zdaniem – tylko do jednego się nadaje. I do niczego więcej.

Sama jest sobie winna, przecież nikt za nią nie robił tego, co nocami wyczyniała z tymi wszystkimi chłopakami, których próbowała do siebie przekonać, udowodnić, że jest taka jak inne.

Z drugiej strony... może to i lepiej, niż mieliby się nabijać z jej matki – grubej, prostej kobiety, co każde dziecko ma z innym i ani jednego chłopca nie potrafi przy sobie utrzymać. Choć ta może wcale tego nie chce.

Po co się zastanawiać, jak można upokorzyć, upodlić, wyzwąć? Piękny kraj, tylko ludzie...

Monię upokarzają na każdym kroku. Ona się jednak za głupią nie uważa, choć wie, że jej wiele brakuje. Przyjmuje razy, bo rozumie, że kiedyś się opłaca, kiedyś ona odda za to wszystko, da im do wiwatu. Nie chce się jednak skompromitować, bo to by ją pograżyło, oznaczało zwycięstwo wszystkich tych, którzy się śmiali, złorzeczyli, nabijali...

Na dodatek, jak już była u tej cholernej Eli, to się okazało, że rzeczywiście miała się czego bać.

Same ładne laski tam chodziły. Smukłe, długonogie, powabne, pachnące. Jak łanie na rykowisku. Całe stado tych ślicznych antylop – wypielęgowanych, podrasowanych, dopieszczonych, butnych i ona jedna – dochodząca, niepewna, z tymi nieuczesanymi włosami, z tym wzrokiem wbitym w ziemię, z całym bałaganem myśli.

Nowa.

Na ścianie plakat z miskami. MISS POLONIA z autografem i logo „PREMIUM”. Pewnie ta miss jest z tej agencji albo kiedyś była. Albo i była, i jest. No pięknie! Co ona, która przecież do żadnego konkursu nie przeszła, tu ma szukać? Z niej żadna miss. A ta, co wyszła od Eli przed chwilą, o kurwa!, ta to dopiero piękna była. O głowę wyższa, tyłek jak z reklamy kremu do opalania, pośladki takie, że na billboardzie by się nie zmieściły, na dodatek równe, modelowo kształtne, jak rzeźby jakiegoś nowofalowego artysty, gładziutki, posągowe. Cycki jeszcze lepsze. Sterczą do góry, ze ślicznymi, maleńkimi guziczkami. Ech, jakże by się na nie ten jej stary opiekun ślinił... Tak jak i na te nogi... do nieba. I jaka zarumieniona, niczym na filmie

u Bertolucciego. Monika może i głupia, a przynajmniej nie za mądra, ale Bertolucciego uwielbia.

Ja pierdolę, tylko uciekać.

– Ty jesteś Monika?

– Ja.

– To poczekaj jeszcze.

Po półgodzinie w końcu ją Ela wezwała. Gapiała się na nią krytycznie, ale z sympatią i to tak jakoś znacząco, jakby słyszała znacznie więcej niż miała prawo.

I wtedy Monia się spięła.

– Śpiewałaś tylko czy coś więcej robiłaś?

– Jak to coś więcej?

Chyba nic nie wiedziała, bo się nie zdziwiła.

– Tańczyłaś czy coś? – uściśliła.

– Nie tańczyłam.

– A coś innego?

Jakoś też brzmiało tak naturalnie, bez podtekstu.

– Telefony odbierałam – odpowiedziała.

– Jakie?

– Od telewizorów. Było tak, że kazali mi siedzieć i odbierać telefony, mówić, jak to miło, że dzwonią i zapraszać do programu, że tu tak fajnie... Ela spytała, czy Monia ma gdzie mieszkać i wtedy się zawahała. Niby miała. U ciotki mieszkała, ale ciotka wariatka. Patrzyła na nią jak na sukę w rui. Z obrzydzeniem jakimś takim. Trochę też z zazdrością i z pogardliwą nienawiścią. Ale najbardziej z obrzydzeniem.

A jej mąż jeszcze większy czub. Oczy jakby z dwóch zabawek, z dwóch misiów. Okrągły wytrzeszcz. Jedno patrzy w lewo, drugie w prawo, oba się kręcą oddzielnie w kółko, jak w animowanej bajce z pluszakami.

Niedobrze tam się mieszka, a do wcześniejszego opiekuna nie wróci, co to, to nie, więc Monia zaprzeczyła. Nie, w Warszawie nie ma gdzie mieszkać.

– No to pójdziesz tu – Ela zapisała jej adres na kartce. Czerniakowska coś tam, coś tam. – Na razie. Na chwilę, zanim czegoś nie znajdziemy. To tylko przejściowe.

Jak tak Ela przestrzegała, to znaczyło, że chujnia – pomyślała Monia. No i okazało się: chujnia po całości. Pełno dziewczyn; zatrzęsienie, chyba ze dwadzieścia osób na tych osiemdziesięciu metrach kwadratowych. Dobrze, że choć stare budownictwo i dość wysokie pomieszczenia. Przestrzeni więcej, oddychać się da.

W każdym pokoju po sześć materaców. Burdel jakiś czy co? W jednym z pokoi to chyba pornola kręcili, bo naga laska i chłopak do połowy rozebrany, i kamera, i światła rozstawione, operator dziwny taki, spocony, a mimo to w czapeczce i kamizelce.

Czekała na nią Bianka, chyba już dziewczyna z doświadczeniem, tak wyglądała. Blondynka, włosy krótkie, twarz okrągła, sympatyczna i tyle, wcale nieładna, ale miła. Nawet bardzo miła. Taka do rany przyłoż, choć przy tym z charakterem.

Witała ją ciepło, całowała w policzek, ścisnęła jak siostra. Poprowadziła do pokoju i rzuciła:

– Tu twoje wyro.

A tam, jak i w innych pomieszczeniach, a może i gorzej, z siedem materaców, na każdym bajzel, pościel nieświeża, śmierdziało trochę, co tu dużo gadać, syf! I kible: dwa na całe cztery pokoje. Chlor i perfumy. Mieszanka iście wybuchowa. Gdyby zapalić fajka, to pewnie by wybuchło. Jebut i po melinie.

– Palisz? Jeśli tak, to tylko na balkonie – uprzedziła Bianka. – Na korytarzu też nie wolno, bo zaraz straż sąsiedzi wzywają. Na

sąsiadów uważaj. Nie lubią nas. Wiesz jak to jest, za kogo nas tu mają...

Nie lubią, trzeba uważać – powtarzała sobie Monia, żeby utrwalić to nielubienie, ale i tak wciąż myślała o tych kiblach. Dwa kible na dwadzieścia osób?

– No co się tak gapisz? – zapytała Bianka. – Na chwilę przecież jesteś. Już niedługo gdzieś wyjedziesz, do jakiegoś Cannes, Mediolanu, a może i lepiej, więc się tak nie pesz. Pogwiazdorzysz jeszcze. Zamieszkasz w najlepszych hotelach. Pochodzisz na czerwonych dywanach. Tylko przetrwać trzeba. Zęby zacisnąć i przetrwać do pierwszej szansy. Ona przyjdzie, każda z nas ją dostaje i tylko nieliczne marnują. Zdarza się, więc uważaj.

O tak, na chwilę – pomyślała Monia. Tylko na chwilę.

2.

Olo ledwie się mieścił na krzeselku. Marek pomyślał, żeby przystawić mu drugie, mógłby wówczas rozdzielić półdupki, ale może to byłoby nieuprzejme, a już tego Ola polubił, już się na tyle poznali, żeby zapalać sympatią, taką nawet szczerą, wręcz wylewną.

„Stare i nowe czasy się spotykają” – pomyślał, choć Olowi daleko było do Siwego.

Gorąco, upał jak diabli, Olo i tak nie miał łatwo. Pocił się jak knur, ciągle ocierał czoło i szyję chusteczką.

– Jakaś, kurwa, Afryka dzika.

Marek rozejrzał się wokół; obok siedziało dwóch czarnych, dwa stoliki dalej jakiś Hassan, kelner też beżowy, więc może Olowi wcale nie chodziło o upał, tylko o towarzystwo. Chyba nie, Olo zawsze lubił czarnych, a czarne jeszcze bardziej. Świntuszy wtedy najmocniej.

Rasista, ale z tych nie bardzo czających, co to ten cały rasizm oznacza.

Opowiadał kiedyś Markowi o Zanzibarze, jak to tam szalał z jakąś firmą z miesiąc. Mówił ze szczerą miłością, wręcz uwielbieniem: „czarnule najlepsze na świecie, uwierz mi. Co one wyczyniają w łóżku? W łóżku? Z nimi o wyrze to możesz pomarzyć. Jak cię w obroty wezmą, nie zdążysz nawet pomyśleć...”

Poza tym, sam twierdzi, że jest Żyd, a Żyd rasistą być nie może, bo zaraz się antysemityzm uruchamia w odwecie. On w ogóle człowiek światowy, poliglota i globtroter, skromny, życzliwy, radosny. Dla wszystkich. Na dodatek Kabalista i to z wyższego kręgu wtajemniczenia, które ściąga światło. Zatem Żyd z tych oświeconych, którzy trzymają władzę nad światem. Olo pokazuje czerwoną nitkę na nadgarstku, tajemny znak. Człowiek interesu, obywatel świata, dwa paszporty, a jak trzeba to i trzeci załatwi. Doświadczony, multikulturowy, wiarygodny. Jak daje słowo, zawsze dotrzyma. Do tego religijny, z opcją szacunku dla innych religii, a to dopiero wyjątkowa rzadkość.

– Ja to jebię. Jeszcze ten jeden deal i spierdalam nad morze – dodał.

– Wieje – Marek poprawił ciemne okulary.

Versace. Tysiąc trzysta za sztukę, żadnego rabatu, nic w gratisie. W sumie i tak tanio.

Dobrze mu było w tych okularach – pomyślał Olo. W ogóle Marek dobrze wyglądał. Jak aktor. Przystojny, kwadratowa szczeka, cera opalona, gładka, równy cień gęstego zarostu, niczym namalowany. Na dodatek im starszy, tym przystojniejszy. Trzydzieści parę lat, a jemu wszystkie nastolatki głęboko w oczy patrzą. Olo zazdrościł Markowi urody doskonałego samca, prawdziwego mężczyzny.

Sam miał cerę knura: ospowata, czerwoną, pomarszczoną, tłustą, nieładną. Przypominała różowego kalafiora.

A ten Marek jak z żurnala. Wyrobione, stalowe, wyrzeźbione mięśnie, jak z folderu czy wysokobudżetowych reklam kremów do opalania.

Olo czasem się zastanawiał: czy one na pokaz, czy jakby przyszło co do czego to by się sprawdziły? W większości przypadków takie gogusie byli do dupy. Mięczaki i tchórze. Robili sobie rzeźbę na tych siłkach, doprawiali dietami, podkreślali kremami i tatuażami, ale ściśnięci za jaja płakali jak dzieci.

A z kobietami? Lepiej nie mówić. Minuta i po zabawie. Ile to Olo im rogów poprzystawiał ze swoim zaganiaczem, który zawsze dobrze działał, zaskakiwał wszystkie te dzierlatki wigorem i dostosowaniem.

Marek był inny.

Jakoś tak Olo czuł, że jest inny, że jakby co do czego, to by się nie pierdolił. Zajebałby go i tyle. Z kobietami... no też sobie radził, z tego co Olo słyszał. A słyszał dlatego, że poprosił jedną i drugą o relację, musiał przecież tego Marka sprawdzić.

Taką już Olo miał rolę, żeby wywiad czynić, więc dobrze sprawdził, przez najlepsze aktywa.

Pomyślał bezwiednie o Alicji, którą z rozrzewnieniem zawsze wspominał w takich chwilach, bo Alicję to nawet kiedyś kochał. Zanim nie okazała się dziwką, szmata jedna!

Tak, Alicja mówiła, że Marek zna się na tych sprawach. „Słodziutki” – go sobie nazwała. A jaki „kogucik”. Alicja wie, o czym mówi. Alicja to główny ekspert w armii Ola. Alicji wierzył jak żadnej.

– Gdzie ci, kurwa, wieje?

– Nad morzem. Wczoraj wróciłem.

– To pojedę, gdzie nie wieje.

– Wszędzie wieje.

Wieje mu, kurwa, pomyślał Olo, ale nic już nie powiedział. Czas było przejść do rzeczy.

– Szef pyta, czy przejrzałeś dokumenty?

Marek skinął głową.

– No i?

– Nie przejdzie.

– Jak to nie przejdzie?

– Nie zmieścimy się w budżecie.

– Mówiłeś, że osiemset baniek jest, to jak się nie zmieścimy?

– Na trzy tury osiemset. W pierwszej tylko trzysta, a wy żeście potroili wyceny z katalogów, no i teraz to łącznie warte chyba pięćset.

Olo zmartwił się wyraźnie.

– No to czemuś, kurwa, nie mówił, że na trzy tury?

– Ja mam mówić?

– No a kto?

– Ja daję tylko sygnał i potem pilnuję, żeby wszystko zagrało, w szczególności merytorycznie nie wchodzę, sam wiesz. Dokumenty trzeba czytać. Kogo wy tam zatrudniacie?

Grubas podrapał się po głowie.

– Czytać, kurwa. Kto ma czas na czytanie. Chłopaki zawsze robią kopiuj-wklej, takie czasy. Co teraz?

Marek opróżnił szklanekę z napojem.

– Trzeba popieścić – szepnął.

Kobieta przechodząca obok spojrzała na niego zaskoczona, jakby usłyszała. Czyżby Olo dostrzegł cień uśmiechu na jej twarzy? Do cholery z takimi przystojniakami jak Marek! Powie taki coś niestosownego, a one i tak się uśmiechają, kręcą tyłkiem,

prężą się i wiją przed oczami, jakby je omamiał jakimiś feromonami.

Sam też uśmiechnął się szeroko.

– To w tobie lubię, Mareczku. Och, jak ja lubię w tobie ten dar do ujmowania rzeczy skomplikowanych w jedno proste zdanie. Się popieści, to się zmieści?

– Właśnie.

Kobieta tym razem popatrzyła na Ola jakby z obrzydzeniem.

3.

„CZYSTA i NIEWINNA” – napisali na białym tle oczojebną jaskrawą czerwienią. „Kurwa, co za napis” – pomyślała Monika, zakładając szarfę. Pił ją skąpy kostium, obcierał sztuczny materiał, pachniał brzydko mieszanką tanich perfum i potu. Dół wciskał się nieprzyjemnie w krocze. Wyraźnie się to odznaczało, pewnie tak specjalnie, żeby prowokować, co jej wcale nie pasowało, nic a nic. A tu jeszcze ten napis na szarfie.

– Nie opierdalać się dziewczyny, spinamy poślady!

Gej zarządził. Widać, że gej. Mały, głos jak z dziecięcej lalki, przeciągał głoski, akcent i w ogóle. Do tego weganin rzecz jasna, opalony, gładziutki.

Monia do gejów nic nie miała, ale jak zaczęli rządzić, to nie było dobrze.

– No już, dziewczęta. Nie opierdalamy się! Pędem, żwawo. Raz, dwa, trzy...

Dziewczyn ze dwadzieścia. I każda CZYSTA i NIEWINNA. Monię postawili przy stole z żarciem, w dobrym miejscu. Tak jej Bianka powiedziała. Ona sama stanęła koło basenów i narzekała, że tam więcej komarów.

– Każdy cię będzie tu widział.

– To dobrze? – zdziwiła się Monia.

– No pewnie, może ktoś „coś” zaproponuje.

Monia nie wiedziała „co”, ale pytać nie chciała. Stała z tacą i podawała wódkę, gdy ktoś przechodził. Kiedy wódka się kończyła, miała sięgać po kolejną tacę. Jeden brał, inny nie. Pili, niektórzy zagadywali, ona się do każdego uśmiechała. Szeroko, jak ją uczono. Gdy nikt nie podchodził, tacę można było na chwilę odstawić, żeby ręce nie mdlały, byle nie za długo. Przerwy i tak były dość często. Wtedy można było zapalić.

Poprzedniej nocy trochę z Bianką przegadały i ona się dziwiła, że Monia odeszła z programów muzycznych, że nie chce śpiewać, bo przecież większość dziewczyn to właśnie o takiej karierze marzy.

„Jak ja bym taki głos miała, jeszcze przy tej urodzie i figurze, to na pewno bym nie odpuściła. Przecież ty, dziewczyno, drugą Edytką możesz być. Albo Alicją. Prawdziwą królową” – powiedziała Bianka.

Monia nie chciała jej tłumaczyć, więc tylko kiwała głową. No bo co miała mówić? Dla tamtej odkrywca jej talentu to była gwiazda, format światowy, mistrz. A dla Moni... zwykły skurwysyn. Aż się wzdrygnęła na myśl, jak jej się skurwiel przypomniał, jak te jego oczka rozświetlone zobaczyła, jak oddech na skórze poczuła, jak dotyk rozpalił niczym gorące żelazo...

– Wódeczka, dobra wódeczka – rzucił jakiś wielki grubas, przechodząc obok.

Ogromny był i taki brzydki, z dziobatą gębą, włosy tylko na czubku głowy, przez co wyglądała jak jajo z komiksu, a do tego te włosy były rzadkie i proste. Uśmiech krzywy. Cała postura, tłusta, rozlazła, przelewająca się pod za dużym, tanim garniturem.

A jednak Monia pomyślała o nim z sympatią, więc się mocniej uśmiechnęła, szczerze, a on to zauważył.

– Tak się pani pięknie uśmiecha, że chyba to wszystko wypiję – oznajmił.

I wypił. Jednego, drugiego, trzeciego... I tak do dwudziestu – Monia policzyła. Umiała do dwudziestu liczyć. Więcej też by policzyła.

– Ja tak piję, żeby nie musiała Pani już z tym stać, żeby mogła pani już usiąść, najlepiej w moim towarzystwie.

– Dziękuję, ale stać i tak będę musiała.

– Kto taki niedobry, że pani każe? Niech pani powie, wskaże tę nieczułą kanalię, to go zaraz weźmiemy w obroty – pokazał jej ogromną łapę i Monia pomyślała, że gdyby teraz wskazała Pedala, to by ten mężczyzna go rzeczywiście tymi dłońmi udusił. – No, niech pani pokaże!

A Monia tylko się śmiała, jeszcze szerzej. W końcu facet chrząknął i rzucił:

– Muszę iść, bo zaraz szefowi nagrodę wręczają, ale niech pani nigdzie nie ucieka... Niech pani nie znika, jak kopciuszek, albo przynajmniej bucik zgubi...

– Nie zamierzam.

– Olo – powiedział Olo. – Tak mi na imię.

Monika zawahała się, ale odparła:

– Monika.

– Ależ pięknie. Zapamiętam, pani Moniko. Na pewno zapamiętam.

– Ja też... się postaram – obiecała.

A potem nawet za tym miłym Olem patrzyła, bo jakoś tak myślała o nim dobrze, jakoś tak jej się wydawało, że nic złego

z jego strony jej nie grozi, że w razie czego, to on może się przydać, być pomocny w tym obcym złym świecie, pełnym pułapek i widm.

Jeszcze parę osób do niej podchodziło, zaczepiało, jak to na przyjęciach. Obcykane to miała, bo przecież dawniej na dyskotekach co chwila ją rwali, każdy chciał choć dotknąć, a niektórzy to nawet się zakochać, kto wie czy nie naprawdę. Jak śpiewała w zespole metalowym, to w zasadzie ciągle miała adoratora.

Tłum skupił się wokół sceny, na której wręczano jakieś nagrody. Biznesmen roku, czy coś podobnego.

Wielu osobom wręczano wyróżnienia, wszyscy klaskali, a na koniec przyznano statuetkę temu najlepszemu. Wtedy Monia zobaczyła mężczyznę chyba jeszcze większego od Ola, tyle że szczuplejszego.

I ten mężczyzna zrobił na niej wrażenie, bo choć starszy, to wydawał się niezwykle szarmancki i taki przystojny, z klasą. Widać było, że bogaty i wpływowy.

– Niech pani się nie boi, to tylko Duży Miś – usłyszała z boku.

– Kto?

– Duży Miś – powtórzył mężczyzna stojący obok, też starszy i równie dystyngowany. – Nazywa się Zenon Maciarz, ale wszyscy nazywają go tu Duży Miś. Niektórzy mówią też Cesarz. Ale ja tam najbardziej lubię ten pierwszy pseudonim.

Następnie minął ją, przeszedł przez tłum i wszedł na scenę. W sali rozległy się oklaski.

– A to kto? – zapytała szeptem Biankę.

– Jak to kto? Nie znasz?

– No nie.

I Bianka podała jej nazwisko, ale ona i tak szybko je zapomniała, zanotowała tylko: aktor. I aktor to był dopiero

przystojny gość.

4.

Marek wypił tylko jednego drinka.

Pilnował się na takich imprezach. Ogólnie nie miał mocnej głowy i po zbyt dużej popijawie od razu mu się Jelonki przypominały. Po trzech kieliszkach już mu się język plątał, po pięciu się chwiał, więcej to nawet rzyganiem groziło, a to byłaby wtopa. Chorował potem straszliwie, więc wołał nie pić.

Z takimi jak Olo i tak nie miał startu. Ten to dopiero mógł w siebie wlać. Chyba więcej niż Oleksy, co się wydawało niemożliwe. Marek patrzył z nieskrywanym podziwem, jak znajomy wychyla dwadzieścia kieliszków wódki od jednej dziewczyny.

Popisywał się, ale to i tak robiło wrażenie.

– Kto to? – zapytał Ola.

– Skąd mam wiedzieć.

Marek patrzył przez chwilę na hostessę z szarfą i pomyślał, że wyróżnia się z całej tej gromady trzpiotek. Jezu, i tak mu przypominała kogoś, kogo nie widział od blisko dziesięciu lat, choć przecież to nie mogła być ona.

To nie mogła być Lena. Lena... kto wie, może tak naprawdę nigdy nie istniała, była tylko wytworem jego wyobraźni, pustynną fatamorganą.

Za to ta tutaj...

Było w niej coś takiego... intrygującego, wyjątkowego. Nie potrafił tego określić, ale... Nie no, skarcił się zaraz, nie powinien w ogóle o tym myśleć i skupił się na wydarzeniach na scenie.

Lena była odległym snem. Pozostanie nim na zawsze. Po co do tego wracać?

Starał się dokładnie w myślach zanotować, kto i jak się zachowuje, komu dedykuje nagrodę, na kogo patrzy. Te gesty często dużo znaczyły. To w nich – niczym w zwierciadle – widać było różne niesnaski, antypatie albo wyrazy poparcia. Każda zależność miała znaczenie, wszystkie spojrzenia można było pogrupować i oznaczyć. Można było wiele z nich wyczytać, ustalić relacje i powiązania, a to w jego pracy było niezwykle istotne. Obserwuj i słuchaj – taką miał rolę. Wiedza to dla lobbyisty największy kapitał. Ona daje przewagę i stwarza możliwości. Dopiero potem można wykorzystać inne cechy, jak urok osobisty, zdolności negocjacyjne, umiejętności zjednywania sobie ludzi czy budzenie respektu, który też dużo znaczył. Jak się boją, to szanują – mawiał jego trener personalny, swoją drogą – dupek, ale czasem przydatny, jak to ci wszyscy coache. Ech, brakowało mu Siwego. Swoją drogą ciekawe, jakby się odnalazł w nowych czasach, czy potrafiłby zostać kołczem?

Gdy na scenie pojawił się Duży Miś, Marek starał się wyszukać choć jednego niezadowolonego. Owszem, wszyscy zazdrościli Zenonowi Maciarzowi, ale nikt tego nie okazywał. Przynajmniej nie wprost.

Takie czasy.

Po nim na scenie pojawił się Aktor, dając jak zwykle popis erudycji i inteligentnego żartu. Marek, podobnie jak cała reszta, uwielbiał Aktora, który był doprawdy świetnym artystą i błyskawicznie zjednywał publikę.

Gdy tamten jeszcze żartował, Marek z Olem odeszli na bok ustalić szczegóły zmian w ofercie dla Ministerstwa Edukacji. Długo to trwało, obu się nie chciało, ale musieli wszystko przegadać, żeby nie było nieporozumień. Kiedy skończyli, było

zbyt późno, aby podejść do tej wyjątkowej dziewczyny, która chyba obu wpadła w oko.

Stała w towarzystwie Aktora i widać było, że nic tam po nich, że będą piątym kołem u wozu.

– Ten to się w życiu narucha – mruknął Olo jakoś tak ani bez pogardy, ani bez zawiści, ani bez podziwu. Tak zwyczajnie, jak się określa fakty bez specjalnego znaczenia.

Marek nie skomentował.

Odstawił pusty kieliszek i ruszył w stronę parkingu.

5.

„Nie no, to się nie dzieje” – myślała Monia. Aktor wyraźnie smalił do niej cholewki. Wcześniej słuchała uważnie, co tamten gadał na scenie i musiała przyznać, że był nie tylko zabawny. To budziło jej podziw, bo lubiła takie mądre gadanie. Głupi żart każdy może wymyślić czy powtórzyć, ale taki, po którym człowiek się śmieje jeszcze długo i odnajduje różne niuanse, podteksty, znaczenia, opowiadają tylko najlepsi.

Bianka minęła ich i popatrzyła z jakąś taką zazdrością, a potem pokazała wyciągnięty w górę kciuk. Bierz dziewczyno, nie wahaj się!

No to wzięła. Co miała nie wziąć.

Aktor załatwił, żeby ją wcześniej wypuścili, przebrała się, a potem poszli do jego samochodu. Powiedział, że pojedą gdzieś coś zjeść, zaczął pytać jaką kuchnię lubi, czy włoską, czy może meksykańską albo japońską, a ona odparła, że obojętne, wtedy on niby przypadkiem wpadł na ten pomysł:

– To może sam coś przyrządzę, co? Nie przyrządził.

Dobrał się do niej zaraz po wejściu, majtki ściągnął, włożył gumkę i po chwili był już w środku, szepcząc, że jest bosko. Nie

kłamał. Było mu bosko, a jej w sumie też, bo ona to już lubiła, nawet bardzo lubiła.

Cóż, grzeczna nigdy nie była.

W zasadzie to była bardzo niegrzeczna.

6.

Marek długo jeździł po Warszawie. Przejechał z jednego końca centrum na drugi, Marszałkowską i Andersa, dojechał do Wilsona, zawrócił, pruł na wysokich obrotach aż do Polibudy, jakby chciał tej nocy wszystkich pobudzić, równo obrzucić swoją wściekłością.

Skręt nad Łazienkowską, redukcja, zjechał w dół przy Konstytucji, wbił się w te bulwary wiślane, przygazował na Książęcej, za centrum finansowym i dawnym Domem Partii uciekł w Aleje Jerozolimskie, objechał de Gaulle'a, minął uschniętą palmę, mimo zakazu przeciął Nowy Świat i skręcił w Świętokrzyską, bez konsekwencji.

Nie potrafił powiedzieć, dlaczego to robi i czego szuka. Może starych wspomnień, które w sumie starał się wykreślić z życiorysu: jak całe Jelonki, jak Lenę i Siwego, a może jak tę przygodę w parku przy Inwalidów, gdy prawie się odkrył przed jedną dziewczyną, artystką po ASP, raczej nie nasłaną, ale ostatecznie się powstrzymał i przez to chyba z ich związku nic nie wyszło; wyczuła, że jest nieszczerzy, a tylko tego jednego żądała.

„Możesz być kimkolwiek, ale między nami nie ma miejsca na kłamstwo” – powiedziała mu.

Nie kłamał. Prawdy jednak też nie powiedział. Więc po wszystkim odeszła. Tak po prostu. A on jej nie zatrzymał. Do dziś zastanawia się, co stracił.

Albo ta z Andersa...

Boże, co to była za kobieta! Poznali się przypadkiem. Finansista robił przyjęcie na dachu swojego mieszkania. Niezwykłe miał to mieszkanie– klimatyczne jak w Paryżu. Dach też boski. I ludzie jacyś tacy piękni. A ta kobieta wręcz zjawiskowa. Marek chyba nigdy dotąd nie spotkał kogoś równie zajmującego. Długo rozmawiali, a potem zrobili to na tym dachu, po drugiej stronie nadbudówki, prawie na widoku całego miasta.

Co by było, gdyby Marek powiedział tamtej prawdę o sobie, gdyby dał jej prawdziwy numer telefonu? Wstrząs sprawił, że przestał myśleć o przeszłości.

Żyj dniem dzisiejszym – przypomniał sobie radę najlepszego przyjaciela. Istnieje tylko tu i teraz.

Może więc w głębi duszy liczył, że gdzieś zobaczy tę dziewczynę z dzisiejszej imprezy, „czystą i niewinną”. Z Aktorem albo samą, najlepiej – rzecz jasna – samą.

Coś w nim teraz jakoś z niej siedziało. Nie potrafił tego wszystkiego nazwać, ale zwyczajnie, bardzo wiele by dał, żeby ją spotkać. Czuł się trochę jak małolat, który się zauroczył jakąś laską i ciągle szukał choćby krótkiej styczności, choć wiedział, że nie będzie w stanie podejść i zagadać. A jakby pojechał do domu, to przecież straciłby szansę. Ktoś mu kiedyś powiedział: jeśli nie dajesz Bogu okazji, on o tobie zapomina.

No więc dał, ale na próżno.

Boga nie ma.

Moniki też nigdzie nie było. Monika – zapamiętał nawet imię, które mu przekazał Olo. Monika. Piękne imię. To coś znaczyło, tyle samo, co całe to pragnienie zobaczenia jej ponownie.

Zatrzymał się w takim jednym bistro w centrum. Prowadził je przystojny i miły Arab. A jak skurwiel gotował! Klasa. Kotlecik jagnięcy dosłownie rozplynał się Markowi w ustach. Sosik do tego

biały, z czosnkiem i odrobina tego ostrego. Jego smak długo jeszcze pieścił podniebienie. Pewnie dlatego przychodziło tam sporo ciekawych ludzi o różnej porze, w dzień i w nocy. Teraz było nie inaczej. Po chwili, jak tylko Marek zasiadł i zjadł kolejną przekąskę, dosiadła się taka jedna, wegetarianka: humus wzięła, sałatkę, falafela. Niezbyt ładna. Czarna, chuda, włosy proste, długie, w kucyk spięte, bez cycków. Za to nos garbaty i jakby z baśni o Babie Jadze. Miała takie usta, których nie lubił, ale zęby w porządku.

I oddychała świeżo, choć paliła.

Zagadała, on coś odpowiedział.

A potem to już poszło.

Trochę wypili, zjedli, pośmiali się. Od słowa do słowa, ona powiedziała, że mieszka o tam, parę metrów dalej. Zagryzała tak śmiesznie te swoje wąskie usta, że Marek zrozumiał, że jej zależy, że ona tu przyszła w tym celu, i że bardzo by ją zawiódł, gdyby się oparł, więc się nie opierał. I zrobili to, zanim doszli do jej mieszkania, na klatce schodowej. Fajnie było. Szybko, ale fajnie. Zapamiętał, jak ona po wszystkim prosiła, żeby jeszcze nie wychodził, żeby posiedział w niej trochę, przytrzymała go, zwiesiła głowę, z trudem trzymając się na nogach oparta o poręcz, aż ktoś ich wygonił, otwierając drzwi i zapalając światło na górze, ze dwa piętra wyżej.

Śmiała się z tego tak dziecinnie.

On też się śmiał.

Weszli do niej, wypili drinka. Po krótkim, orzeźwiającym prysznicu kochali się jeszcze raz: tym razem wolniej, w łóżku, tak zwyczajnie, ale i na różne takie wyszukane sposoby. Wydawała się naprawdę zadowolona, nawet zaskoczona. Marek zapytał, czy może zostać, czy ma sobie iść.

– No co ty, pierdolisz – zdziwiła się. – Pewnie że możesz zostać. Myślisz, że ja tak tylko na noc wyrywam?

No to został. Nie spali. Opowiadała mu o pracy, głaśkała po klacie i mówiła. On słuchał. Lubił słuchać innych, a ona lubiła mówić i lubiła, jak się jej słuchało.

W IT pracowała, więc go to interesowało. Sprzedawała komputery na masową skalę. Liczyła w tysiącach, dziesiątkach tysięcy sztuk. Kwoty... ooo, to już szło w miliony.

Marek przez chwilę pomyślał, że powinien jej coś wyjaśnić kim jest, co robi, żeby się tak przed nim nie odkrywała, bo jeszcze kiedyś pomyśli, że on wcale się przypadkiem nie pojawił i już wtedy, tej nocy chciał ją wykorzystać.

W końcu coś tam jej powiedział. Mało, ale zawsze.

– Ja też trochę sprzedaję komputerów.

– Tak, a dla kogo?

Powiedział jej o Olu i Dużym Misiu, a ona się zdziwiła.

– Ja pierdolę, ale ten świat mały.

Żebyś wiedziała.

7.

Rano rozochocił się jeszcze bardziej Był z siebie naprawdę dumny, gdy się okazało, że podołał, że dał radę jak za najlepszych lat. A przy tym wciąż był taki przystojny. Patrzył na Monikę z lekkim niedowierzaniem, bo był pewien, że to już niemożliwe.

– Serio?

Ona cała w rumieńcach, ledwo jeszcze łapiąca oddech, a głupek pyta czy naprawdę. Pewnie, że tak. Nie tłumaczyła mu, że ona tak zawsze, że u niej orgazm przychodzi bez trudu, w zasadzie to na zawołanie. Jak trzeba, to i w minutę się zbierze. Muzyk ją tego nauczył. Tfu! wcale nie Muzyk. .

Monika, nawet nie ukradkiem, przyglądała się Aktorowi. Lubiła to. Tak dawniej, jak i dziś. Dziś nawet bardziej.

No ale Aktor nic a nic o tym nie wiedział.

Dlatego taki szczęśliwy. Wiedziała, że nie należy go uświadamiać, bo na tyle to już na facetach się poznała. Oni zawsze lubią słyszeć jacy są jedyni, niepowtarzalni, generalnie naj, naj, naj. W to zwykle nie wierzą, więc trzeba mówić, że było jeszcze może dwóch innych, no może trzech, najwyżej pięciu. Ale i tak żaden temu jednemu nie dorównał.

Gdyby tak powiedziała, że nie umie do tyłu liczyć, uznaliby pewnie za dobry żart.

Żart. Ale byłaby niespodzianka, gdyby poznali prawdę.

Aktor zrobił jej śniadanie z tej wdzięczności. Kawę zaparzył, usmażył jajka na bekonie. Wypiła tylko kawę. Jajek nie tknęła – bynajmniej nie z powodu diety – po prostu ich nie lubiła.

– Mogę jeść, co chcę, nie tyję.

– Taki metabolizm – pochwalił i sam się przyznał, że on powinien uważać, ale jajek na bekonie jakoś nie może sobie odmówić. – Uwielbiam.

Wtedy ona zrobiła mu „Gorzkie gody”; bardzo lubiła ten film, nie tak bardzo jak Bertolucciego, ale zaraz potem. Zresztą o Polańskim często dawniej myślała, zastanawiała się nad tym, co ten reżyser zrobił i czy jakoś go powinna porównywać do Muzyka, oskarżać bardziej, mniej czy tak samo. Wnioski wyciągała, ale nikomu o nich nie mówiła, bo i o samym Muzyku też milczała.

Wylała zatem sobie trochę mleka z ust, tak żeby spłynęło po twarzy na szyję i piersi, na jej pełne, duże, mięsiste, twarde sutki, które jeszcze niedawno Aktor tak doceniał i chwalił. Stopą, coraz śmieiej, zaczęła go dotykać, drażnić na tyle skutecznie, że w końcu poddał jej się całkowicie i był zadowolony.

Bardzo zadowolony.

Szczerze, bo w innym wypadku przecież nie kazałby jej zostać.
A poprosił.

Gdy wyszedł, Monia zaczęła się zastanawiać, czy to dobrze. Bo przecież jednak nie chciała być niczyją utrzymanką, a na to się zanosilo. Ale zaraz pomyślała, że dzięki niemu może trochę ludzi poznać, że on ją na salony wprowadzi.

Tyle że Aktor myślał zupełnie inaczej.

8.

– Musimy się dogadać, inaczej wszystko pójdzie się jebać – krótko podsumował Edzio.

Edek z Fabryki Kredek. Tak o nim mówili. Fajny gość. Chłopak łysy, za to z bródką, wesoły, zabawny, pomysłowy. Dużo później miało się okazać, że aż za bardzo i mu się ta pomysłowość czkawką odbije, tak że wszyscy na koniec to jego będą obarczać odpowiedzialnością, choć prawdę mówiąc, on najmniej winny.

Marek od razu go polubił, tym bardziej, że już się trochę znali – ze dwa lata wcześniej przedstawił mu go Adam, chłopak certyfikowany i swój. Dziesięć lat temu Adam rządził na tym rynku, ustawiał wszystkie przetargi. Dobrze kilka setek milionów przepuścił przez sieć spółek – krzaków.

Potem zniknął na chwilę, podobno coś mu się obsunęło, zarzuty jakieś były, mało brakowało a poszedłby siedzieć, no ale koniec końców jakoś się wywinął, z czego głośno żartował:

„Tacy jak ja nigdy nie spadają na sam dół.”

„Och, żebyś wiedział, jak się mylisz” – myślał Marek. Tyle że tym razem to on się mylił, bo nie dość, że Adaś nie spadł na sam dół, to nawet dostał kopa w górę. Jednak na to spotkanie Marka zaprosiła akurat Czarna. Świat jest mały. Spotykali się od

jakiegoś czasu, pieprzyli w jej mieszkaniu (a także przy paru innych okolicznościach)i kiedy uznała, że on jest w porządku, zaproponowała, że go pozna z kolegami.

– Wiesz, jest taka grupa...

– Jaka?

– Dobrych chłopaków. Chcemy się dogadać, żeby nie było wtopy.

Każdemu działka z dużego tortu. Dwa miliardy do wzięcia. Należy dobrze podzielić pomiędzy „dobrych ludzi”. Grzech stracić. Po co się bić o ceny? Żeby Unii oddać? Budżet znany, wystarczy policzyć, pokalkulować i nie kłócić o pierdoły. Unijna kasa lepsza, bo jakby nie nasza. Poza tym, skoro są dwa miliardy, to dla każdego wystarczy, nie ma co się bawić w jakieś bzdury o konkurencji. Byle omówić w zamkniętym kręgu, bo każdy nowy... sam rozumiesz... koszt. Trzeba równo podzielić, tak żeby się w budżecie zmieścić.

– Jak z pomocami – przypomniała mu.

Marek pomyślał wtedy, że dobrze wyszło z tymi pomocami, że w ostatniej turze zaoferował Czarnej deal. Nie powiedział, rzecz jasna, że to przez dziennikarzy, którzy zaczęli się czepiać tej jednej oferty, Czarna zresztą nie pytała. Ważne było, że dostała działkę, dziennikarze się odpierdolili, wszyscy byli zadowoleni.

Teraz reszta mogła mu zaufać, bo widziała, że on nie jest w ciemę bity, że też potrafi coś załatwić, rozegrać. Skoro tak dobrze dogaduje się z byłymi służbami, z takimi ludźmi jak Olo czy Duży Miś, to może i im się przydać. Warto takiego przyjąć do kompanii.

Co prawda dziennikarze wciąż przy nich chodzili; nie podobał im się ten myk z Czarną, jakiś dupek nasłany przez jedną

z fundacji nawet napisał pokrętnie, że to też ustawka, ale Duży Miś rozbroił minę.

Dał prezesowi gazety samochód do użytkowania, luksusowego Phaetona, a samego dziennikarza zaprosił na wywiad. Ile go to mogło łącznie kosztować? Trzysta tysięcy? Może pięćset? Może milion wyłożył w reklamach?

Najdroższy i tak był czas.

A zainkasowali łącznie osiemset okrągłych banieczonek, na czysto, bo w ostatniej turze udało się jeszcze zwiększyć budżet. Koszty? Jasne, że były, pewnie w sumie z połowę zżarły. Zostało czterysta milionów zysku, do przeprania, żeby nie wyglądało zbyt pazernie.

Dobry pieniądz trzeba skutecznie przeprać.

Całkiem nieźle. Byli bardzo zadowoleni.

No a teraz przyszedł czas na komputery.

– Jeszcze jeden temat mamy – wspomniał Czarek i zaczął coś truć o jakichś głupich stu milionach na oprogramowanie edukacyjne. Niby czysty zysk, ale sto milionów do podziału na sześciu... Szczególnie, że pięćdziesiąt procent trzeba oddać dostawcy tych programów. Cóż, trudno się dziwić, że wobec skali poprzedniego projektu, nie było to już tak atrakcyjne.

– Ale czysty zysk – przekonywał Czarek. – Prawda Marcello?

Piękny Marcello roześmiał się szeroko, a Marek zastanawiał się chwilę, czy to Włoch czy Grek. Ale po polsku mówił świetnie.

Gdyby ten chłopak nie był fanem tenisa, pewnie by się nie dogadali.

– Może pojedziemy razem na Roland Garros?

9.

Trochę kiepsko to wyglądało.

Aktor się przyzwyczaił, korzystał, a na dodatek przyjął za normę, że ona jest, będzie i w zasadzie tak już pozostanie, bez względu na jego kaprysy.

Monika nie wiedziała, jak na to reagować. Z jednej strony nikt jej w to nie wpakował, tylko ona sama. Zaraz po tej pierwszej nocy spakowała rzeczy i uciekła z mieszkania przejściowego, a Biance powiedziała, żeby tamta Eli przekazała, że ona się zmywa.

Zmyła się, Aktor zadowolony. Pierwsze kilka dni były super, jak w romansie. Nawet skurwiel mówił coś o miłości. Przynosił kwiaty, zabierał na romantyczne spacery. Szarmancki był do usrania. On dawał autografy, ona się przyglądała. Seks był udany. Miło.

Potem się trochę uspokoiło. Aktor chyba zaczął rozważać, czy się za bardzo nie wpakuje w jakiś głębszy związek. Wiedział, że nie wolno dać się siksie omotać, nawet jak piękna i ciągle chętna.

Dobrze mu było. Monika potrafiła sprawić, że było mu dobrze. Kto wie – czasem myślała – czy gdyby miała więcej wprawy w psychologii, może by to nawet tak rozegrała, żeby rzucił rodzinę dla niej, bo jednak mu się podobało, a ona miała zdecydowanie więcej argumentów od dwa razy starszej żony?

„Boże, co ty ze mną robisz?” – powtarzał, gdy... cóż, robiła z nim, co chciała.

Tak naprawdę była jednak bez szans, Aktor dobrze grał, tak jak przez całe życie i przed wszystkimi.

Okazało się zresztą szybko, że takie jak ona są jeszcze dwie. Może nie aż tak piękne, ale równie oddane, ochoce i młode. Jedna w Szczecinie, druga w Krakowie.

– No wiesz, północ, centrum i południe – wyznał ze skruchą pewnego dnia, gdy się wydało. – Ale kończymy z tym. Niedługo te dwa związki zakończą ostatecznie.

Podobno skończył. Tej w Szczecinie kupił kamienicę i podpisali jakąś ugodę. Dziewczynę z Krakowa po prostu zostawił – nie odpowiadał na jej maile, zmienił telefon, udawał, że się nie znają; podziałało. Dopiero jak się okazało, że ona w ciąży, zaczął się kłopot, bo aktor konserwatysta, więc trochę chujnia. Uparł się zatem, że dziecko nie jego, że ona musiała się z innymi puszczać. Bo on od dawna żadnego dziecka nie zrobił. Skończyło się badaniami, ale Monika ich wyników nigdy nie poznała.

Zresztą nie komentowała.

Prawdę mówiąc, nie wiedziała, czy to traktować na poważnie, czy też uznać za zło konieczne.

Seks uprawiali coraz rzadziej, ale on wcale nie był zawiedziony. Ważne było dla niego, że nie czepia się tej żony oficjalnej i oficjalnych dzieci, że się zabezpiecza i go zrobić nie próbuje (upewniał się!), że jest grzeczna i usłużna, że czeka i nie psioczy, że nie naciska i w żaden sposób nie usiłuje powiększyć stanu posiadania.

To on sam ją poznawał z innymi. W głębi duszy myślała czasem o Aktorze jak o Muzyku, ale szybko uznawała, że to nie fair, że jednak pomiędzy nimi jest znacząca różnica. Aktor był po prostu dużo starszy, ale ona się na to godziła. Muzyk... cóż, to była inna bajka.

Trwało to prawie rok. Przez pierwsze miesiące, chyba ze trzy, była mu wierna. Nie chodziła na boki, nikogo nie sprowadzała. Gdy zdała sobie sprawę, że są też inne dziewczyny, że Aktor nie ma skrupułów, by czasem skorzystać z czegoś na boku (to tylko seks, tłumaczył), ona sama też zaczęła. Chodziła do klubów i wyrywała różnych takich, którzy jej się podobali. Starła się wyszukiwać osoby zajęte, na jeden raz. Mężczyźni zabawowi, studenci, sportowcy, z miasta. Tych ostatnich nie chciała, ale

przypadkiem się trafiali. Najlepsi byli studenci, tyle że czasem trafiali się złodzieje. Kradli coś, a udawali, że to nie oni.

Aktor czasem robił przyjęcia. Przychodzili wtedy jego znajomi, a ona udawała wynajętą pomoc. Dziwnie to wychodziło, bo Monia jednak miała pewność, że wszyscy obecni wiedzą o jej roli, a jednak wciąż musiała udawać.

Aż pewnego dnia, poza kilkoma innymi przyjaciółmi, Aktor przyprowadził Ola. Wtedy wyczuła, że to koniec, że to jest jakaś cezura, że Olo wszystko odmieni.

Może dlatego, że Olo po takim czasie ją bez trudu rozpoznał, mimo że widzieli się przecież raz i to na dodatek w nocy.

– O, pani Monika – ucieszył się. Drań zapamiętał imię. Może to wszystko coś znaczyło, bo ona... też jego zapamiętała. Olo, może dlatego, że takie dziwne to imię.

Pamiętała, jak wszedł tamtej nocy do kuchni, gdy Monia szykowała różne przekąski z owoców morza i się trochę nad tymi specjałami razem pastwili, bo też było nad czym.

– Nie szukasz jakiejś odmiany? Czegoś stałego, bezpiecznego? – spytał Olo.

10.

Żeby pić czystą w pięćdziesięciu stopniach trzeba mieć zdrowie. Grupa polskich turystów opanowała narożną część basenu i siedziała w niej w zasadzie bez przerwy od trzech dni. Jebańcy przeszmuglowali całą skrzynkę dobrej wódki (tania jak barszcz w strefie bezcłowej), bojąc się, że mimo opcji all inclusive akurat tego towaru zabraknie, a zabraknąć nie może. Egipska wódka nie nadaje się do picia, to wiedzą przecież wszyscy w Polsce.

– Fajki i czysta muszą być – uzasadnił jeden z nich.

Podobno wcześniej próbowali innych „atrakcji”, nawet popłynęli na nurkowanie, ktoś tam poserfował, skoczył ze spadochronem, ale od trzech dni tylko wóda i wóda nad basenem. I wszystkim zdawało się to odpowiadać.

Żadnych dziwek, hazardu, prezentacji, tańców, nic. Tylko wóda. Gadanie ciągle o tym samym, wóda, jakieś filozoficzne prelekcje wynajętego – zresztą za pośrednictwem Marka – profesora, wóda, misie pysie przed lulu i parę rozchodniaczków, żeby wybrzmiało właściwie, że się kochamy i tylko czasem dymamy, wóda. Pawik na koniec w kilku przypadkach. Wóda.

A rano od nowa.

– Kurwa, co za ludzie – mruknął Gościu, gdy udało im się z Markiem – niby przypadkiem – spiknąć przy barze. – Napierdalają wóde, jakby to był jakiś eliksir życia.

Gościu wyglądał jak Jeff Bridges. Lekko zaniedbany, długie włosy, aparycja kokainowego dealera. Zresztą trochę dealował, gdy trzeba było załatwić i coś lekkiego, jakiś fajny grasik i mocniejszy crack. Organizował cały ten wyjazd i miał zadbać o gości – prezesów państwowych spółek energetycznych. Tak dobrze zadbać, by potem prezesi kupili oferowane przez niemiecką korporację cacuszka. Cacuszka warte setki milionów.

– Może jest – odparł Marek.

– Akurat. Jeden zrzygał się pod wodą, na czterdziestu metrach i teraz wszyscy mają z tego ubaw. Co tam narckoza azotowa, mówią, pawik przed mureną jest lepszy niż puszczenie sobie bąka prosto w nos, z czego też mieli niezły ubaw. Piją, rzygają, pierdzą. Elita, bracie.

– Zabawne.

– Co tu robisz?

– Odpoczywam.

– Bo uwierzę.

Świat jest mały – miał ochotę odpowiedzieć Marek, ale nic nie dodał. Rzeczywiście dość nieszczęśliwy był to przypadek, że spotkali się akurat w Hurghadzie. No ale naprawdę przypadek. Marek wcale nie chciał poznać ludzi będących pod opieką Gościa, choć teraz przyglądał im się z ciekawością. Rozpoznał prezesów dwóch spółek energetycznych, handlowca z niemieckiej firmy technologicznej, a nawet dziennikarza Expressu Finansowego. Chyba nazywał się Zimny. Tak, Kuba Zimny. Ktoś mówił Markowi, że powinni się znać z Jelonek, bo ten Zimny przecież mniej więcej w jego wieku, a też mieszkał w tych akademikach. Domek 54 czy 56, nie pamiętał, chyba ten sam co Faworyta albo zaraz obok – „Sanatorium Miłości” czy „Dzieci gorszego boga”? Marek jednak zupełnie go z tamtych czasów nie kojarzył. Niby Jelonki zbliżały, ale jednak były wystarczająco duże, żeby się w nich ukryć, zanurzyć, zaplątać.

Tak czy inaczej, o tym Zimnym słyszał same złe rzeczy. Głupi, beznadziejnie niereformowalny w swoim przywiązaniu do rzekomej rzetelności, wiecznie pijany, w dodatku pies na baby. Ale miał farta do ciekawych tematów. Jakim cudem na taki raut zaprosili dziennikarza i to takiego jak on? Przecież wiadomo, że kiedyś to opisz. Może przekupiony, ale nawet jeśli, to nic pewnego, czy potem nie zdradzi. Dziennikarze, także ci skorumpowani, są niebezpieczni i nie potrafią trzymać języka za zębami, a o tym Zimnym mówiono tylko złe rzeczy, najgorsze z najgorszych.

– Whisky – rzucił ktoś obok.

– Dwa razy – dodał jego towarzysz.

Dwóch wysportowanych mężczyzn, tak różnych od prezesów znad basenu, zerkąło na Marka, a gdy ten uniósł szklanekę

z trunkiem do góry, odwzajemnili gest.

Polacy, choć starali się nie mówić po polsku, żeby nie przyciągać tych energetyków czy im podobnych. Byli opaleni, zbudowani jak herosi, bardzo męscy, dobrze ubrani. Nawet wprawne oko mogło się pomylić i uznać ich za Francuzów, Belgów, Duńczyków czy Szwajcarów. Podobnie jak Marka, choć ten bardziej szedł w kierunku południowym: włosko–grecko–hiszpańskim.

Nie zagadnęli jednak, wypili i poszli do swoich pokoi. Marek przesiedział prawie do rana, myśląc o różnych sprawach. W pokoju zalogował się do netu i napisał wiadomość do swojego najlepszego przyjaciela.

Położył się, ale długo nie mógł zasnąć. Myślał o samotności, zastanawiając się, czy jest mu z nią dobrze, czy jest szczęśliwy. Niby w życiu mu się układa, zarabia więcej niż potrzebuje, ba! w zasadzie to już mógłby nie pracować. Wszystkie obietnice Siwego się spełniły. Zwiedza świat, ma ciekawe życie, czasem nawet bardzo. Cóż, o takim życiu marzy się w dzieciństwie. On dokładnie o takim marzył, takie sobie wyśnił i w końcu takie zrealizował. Tylko czy jest szczęśliwy?

Nie mógł też wyrzucić z głowy dziewczyny, która wciąż pojawiała się w różnych wspomnieniach od tamtego biznesowego przyjęcia.

Monika. Wciąż pamiętał jej imię. Tak jak Lenę???

To coś musiało znaczyć.

Nigdy jeszcze nie pamiętał imienia kobiety tak długo. Przynajmniej takiej, z którą jeszcze nie spał.

Jeszcze – pomyślał.

Recepcja firmy Zenona Maciarza vel Dużego Misia, w której poleciał ją Olo, wyglądała jak z filmu sci-fi. Z windy wpadało się od razu w taką onieśmielającą scenerię. Kontuar, żadnych ozdób, tylko gładkie ściany w jasnych kolorach, na ścianie ogromne logo holdingu – Maciarz Investments Poland. Za błękitnym, świecącym blatem dziewczyna, równie piękna jak ona. Elegancki kostium, perfekcyjna figura, włosy spięte w kok. I ten szeroki uśmiech.

– Ania. Cieszę się, że znów się spotykamy.

– Znamy się?

– Miałam przesłuchanie w „Tygryskach”.

– Ojej, teraz pamiętam! – skłamała Monika.

Nie pamiętała, ale uznała, że tak będzie bardziej przyjacielsko, bez barier. Ile to już lat minęło od „Tygrysków”? Przez chwilę zastanawiała się, czy Ania też mogła mieć problem z Muzykiem. Czy drań dobrał się także do niej? Delikatnie zapytała, czy zdarzało się jej zostawać na noc u szefa „Tygrysków”.

– Nie, rodzice nie pozwalali.

No tak, miała obojga rodziców, a nauczyciel wybierał tylko te z rozbitych domów. Nowa koleżanka nie wiedziała zatem, co się działo, co przeżywały małe dzieci w domu jej rzekomego dobroczyńcy, a co ukrywali jego przyjaciele i pracodawcy.

„Ale i tak zrobili z ciebie służkę” – pomyślała.

– Ze śpiewaniem nie wyszło, za to wygrałam eliminacje do „Na wybiegu”.

– Brawo!

– Niewiele z tego zostało. Dziś jestem u Dużego Misia. Jest ok. Dobrze trafiłaś.

Uśmiechnęła się szczerze, jakby chciała jej podpowiedzieć. Monia pomyślała, że weźmie tę robotę bez względu na obawy, bo przynajmniej będzie się mogła usamodzielnąć. Aktor coraz bardziej ją osaczał, stała się uzależniona od niego. Czasem miała

nawet wrażenie, że chce ją zwyczajnie opchnąć któremuś z kolegów, jakby był alfonsem.

Gdy dowiedział się, że idzie na rozmowę do Dużego Misia, zaproponował, że ją zarekomenduje, ale zabroniła.

„Chcę sama” – wyjaśniła, choć przecież wiedziała, że i tak decydowała rekomendacja Ola. – „Może to wcale nie jest dla mnie.”

„Jasne” – przyznał.

A jednak coś w jego oczach... cóż, było jakieś dziwne.

Duży Miś przyjmował wielu petentów i bardzo często godziny przyjęć się zmieniały, co trzeba było akceptować. Jedynie premierzy, ministrowie, prezydenci i super znane postaci mogły być pewne punktualnego przyjęcia, ale zdarzało się, że nawet dla nich Miś nie robił wyjątków.

Tym bardziej powinna się cieszyć, że w jej wypadku spóźnienie wyniosło niespełna kwadrans.

– Mamy tylko pół godziny, mam nadzieję, że wystarczy – powiedział Duży Miś.

Przez chwilę pomyślała, że on daje jej znać, że powinna go w te pół godziny jakoś zaspokoić, ale szczęśliwie milczała. Szczęśliwie, bo on szybko wyjaśnił, że wcale nie traktuje jej tylko seksualnie. Wtedy poczuła się jak ktoś ważny. Chyba pierwszy raz w życiu. Ktoś naprawdę traktowany jak człowiek, partner.

A potem Duży Miś przeszedł na angielski i było już trochę gorzej.

12.

Grupa z egipskiego czarteru wyszła z rękawa do hali przylotów i obległa taśmę podajnika bagażu, na której zaraz miały wyjechać

walizki. Marek starał się nie patrzeć w kierunku dwóch wysportowanych mężczyzn, może dlatego skupił uwagę na grubasach, którzy jeszcze dzień wcześniej opanowywali basen luksusowego hotelu w Hurghadzie.

– Kurwa, co z tymi bagażami! – wyrwało się najważniejszemu. Prezes Blondas nie lubił opóźnień. W ogóle Prezes Blondas lubił skupiać uwagę na sobie, dużo i głośno mówić, choć w gruncie rzeczy na niczym się nie znał.

Marek nasłuchiwał się od Gościa opowieści o nim. Straszny pijak i wał, ale z niesamowitymi plecami. Podobno był zaufanym współpracownikiem samego premiera. Spekulowano, że dostaje takie fuchy, bo część pensji musi oddawać szefowi rządu. Pewnie bzdura, bo po co premierowi jakaś działka z pensji zwykłego knura.... Najgorsze, że na zatrudnianiu takich nic nie umiejących buców tracili wszyscy, bo przecież każdy obywatel był akcjonariuszem państwowych spółek i składał się na tę całą niekompetencję zarządów.

A Blondas nie szczypał się w odwalaniu kaszanki. Kilka miesięcy wcześniej, wbrew radom analityków, zdecydował o inwestycji w Chile. Tak z dnia na dzień, że niby ma nosa. „Mój nos się nigdy nie pomylił” – grzmiał. Nos warty parę ładnych miliardów? Szybko okazało się, że była to chyba najbardziej spektakularna wtopa w historii polskiej giełdy.

Żadne tam due diligence. Typowo polityczna decyzja. Koszmarna nieudolność i straty w miliardach. Choć patrząc na Kongo, Możejki, a ostatnio Kanadę, może jednak nie należało się dziwić. Kurwa, czy my hodujemy wyłącznie krwiopijców i pasożytów?

– Nie spieszymy się – jeden z wysportowanych ustąpił miejsca jakiejś kobiecie.

Marek nie zdążył zinterpretować tej wypowiedzi, gdy nagle w hali wybuchły pierwsze petardy.

Właściwie nikt nie zareagował, wszystkim się tylko lekko ugięły kolana. Antyterrorysty wpadli ze wszystkich stron i rzucili na podłogę dwóch wysportowanych mężczyzn. Po chwili skuci i trochę poturbowani zostali wyprowadzeni w asyście uzbrojonych po zęby i zamaskowanych typów w kierunku najbliższego wyjścia, gdzie – sądząc po migoczących światłach kogutów – czekały już radiowozy i furgonetki więzienne.

Prezes Blondas patrzył jak urzeczony, choć na początku skulił się jak inni. Strach, który trwał może sekundę, błyskawicznie zmienił się w podziw. Kurwa, prawdziwa akcja, niebezpieczeństwo, ktoś mógł zginąć!

– To też w ramach atrakcji?

– Wszystko dla naszych najlepszych klientów – odparł Gościu, z trudem kryjąc zmieszanie.

Marek patrzył z zadumą na obu mężczyzn. Poczekał z boku spokojnie, aż wszyscy odbiorą bagaże i dopiero na końcu ruszył po swój. Wyszedł z hali dobry kwadrans po tym, jak cała grupa rozjechała się już do domów.

Wsiadł do taksówki.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie pojechać do Czarnej, ale ostatecznie podał kierowcy adres na Mokotowie. Wsiadł przecnicę wcześniej, wyjął karteczkę i upewnił się, że nic nie pomylił. Stał przed niedawno odnowioną kamienicą. Jeszcze trzy lata temu była obdrapana i zaniedbana. Wtedy od miasta przejął ją jeden podejrzany typ, sprzedał innemu podejrzanemu typowi, a ten na koniec opchnął cypryjskiej spółce. Zysk: kilka tysięcy procent. Wciąż było to nic przy skali biznesów robionych przez Marka, ale musiał przyznać, że z tą reprivatyzacją nieźle

sobie poradzili. Szczególnie fortel z reaktywacją przedwojennych spółek był godzien podziwu. Koleś, który wpadł na pomysł wykreślenia jednego zdania z ustawy, który to myk umożliwił całą operację, powinien dostać medal od prawników i hochsztaplerów. Takiego bałaganu chyba nie było w żadnym innym miejscu.

– Ciekawe jak się mieszka na ludzkiej krzywdzie – powiedział pod nosem. – Sumienie nie gryzie?

Kamienica wysprzątana z lokatorów, odrestaurowana i wypielegnowana, by można było znaleźć nowych nabywców atrakcyjnych mieszkań wśród śmietanki towarzyskiej – aktorów, komików, piosenkarzy, reżyserów, innych celebrytów, znanych głównie z tego, że byli znani. Poprzedni lokatorzy wylądowali na bruku, w zastępczych slamsach na prowincji lub w domach starców. I tak powinni się cieszyć, że nikt ich nie spalił, jak tę kobietę z Nabelaka na dolnym Mokotowie.

Marek obliczył w myślach, które to okno powinno go interesować. Jeśli niczego nie pomylił, było w trzecim poziomie, zaraz nad wejściem na klatkę.

Mieszkanie należało do pewnego znanego Aktora. Tak przynajmniej twierdziło jego źródło, dodając, że teraz zajmuje się owym mieszkaniem (i Aktorem, rzecz jasna) jakaś super laska.

– Naprawdę wystrzałowa.

13.

Bardzo się starała. Duży Miś był najlepszym człowiekiem, jakiego spotkała. Chyba pierwszym, który nie potraktował jej jak worek na spermę. Owszem, zdarzało mu się patrzeć na nią seksualnie, czynić nawet niestosowne uwagi czy żartować na boku, ale nic nie próbował. W cztery oczy za to zawsze szacunek i coś takiego, co sprawiało, że Monika czuła podziw i wręcz taką

rodzinną miłość. Duży Miś był dla niej jak naprawdę dobry ojciec chrzestny. Nie taki jak Muzyk.

Olo również był bardzo w porządku, co w sumie było dość zaskakujące. Zakładała jednak, że komuś za to wszystko będzie trzeba dać..., a tu taka niespodzianka.

Po chwili konsternacji, zaczęła się więc zwyczajnie starać. Uznała, że to, co ma robić, może być naprawdę ważne i nie wolno zawieść zaufania pracodawców, jakie w niej pokładano.

Praca była prosta. Miała prowadzić gości Dużego Misia do pokoi, dbać, żeby im niczego nie brakowało, uważać, żeby się nie spotykali i uprzyjemniać im czas, gdy zaczynali się denerwować. To ostatnie miało miejsce dość często, bo czasem nawet wiceministrowie i prezesi dużych firm musieli u Dużego Misia odczekać swoje.

Wtedy Monika wykazywała się swoimi umiejętnościami, a te były ponadprzeciętne.

Najbardziej zapamiętała takiego wynalazcę, chłopaka z RPA czy Australii, który twierdził, że opracował patent na samochody elektryczne. Rozłożył przed nią dokumentację i upierał się, że może doprowadzić do elektryfikacji całej komunikacji. Monika niewiele z tego rozumiała, bo ten temat i sposób mówienia kolesia, to były jakaś czarna magia, ale udawała jak się dało. Potem Miś w końcu przyjął tego faceta, wysłuchał godzinnej prezentacji, a następnie grzecznie odprawił.

Monice szkoda się zrobiło dzieciaka, bo Miś na koniec ocenił go bardzo krytycznie.

Olo jeszcze gorzej.

– Jak koleś noszący nazwisko jak Maska może osiągnąć coś w biznesie?

– Brzmiało to całkiem sensownie – skłamała, bo przecież w ogóle się na tym nie znała, ale jakoś wewnątrz czuła, że powinna pochwalić chłopca.

– Żartujesz? Samochody elektryczne? Mężczyźni chcą jeździć czymś, co wydaje pomruk. Czym można przygazować, poczuć ten słodki zapach spalin. A ten proponuje bezgłośne samochody.

– A kobiety?

– Co kobiety?

– Powiedziałeś, że mężczyźni wolą. Ale kobiety też przecież prowadzą auta...

Spojrzał oniemiały, nie będąc chyba pewien, czy ona tak na poważnie, czy się nabija.

– Kobiety niech czytają książki. Nie liczą się. To faceci prowadzą albo dają prowadzić. Oni decydują. Nikogo nie obchodzi ekologia, spaliny, inne bzdury. Po co się nad tym zastanawiać...

– Dobrze, już dobrze.

Nie wydawał się przekonany, że jej to dobrze wytłumaczył, więc dodał:

– ...niby gdzie to ładować? Cała infrastruktura by była potrzebna. To w ogóle nierealne, idiotyczne. Nie ma szans.

– Szkoda.

– Kazaliśmy mu jechać do Ameryki, tam lubią takie bezsensowne koncepcje.

Duży Miś miał wiele firm, ale ostatnio stawiał na nowe technologie. Wóda i budowlanka już mu się znudziły. Myślał o surowcach, bo w nich tkwiła wciąż największa kasa i wpływy, lecz się na nich nie znał. Technologie za to podobały mu się bardzo.

– Zrobimy kiedyś system, który pozwoli nam zawładnąć ludzkimi umysłami.

Zanim ostatecznie zawładnął umysłami, postanowił wziąć procent od największej wówczas w kraju prywatyzacji. Monika nie wiedziała za bardzo, co sprzedają, ale było to bardzo duże, warte miliardy i wymagające ogromnej restrukturyzacji

Miś został z tego wyłączony, bo postanowiono prowizję pobrać przez innego biznesmena, takiego tam docenta czy doktora, ale nie chciał dać się tak spacyfikować i wystrychnąć na dutka. Wynajął jakiegoś kolesia, który miał się wkraść w łaski prezesa firmy, prywatyzującej to polskie przedsiębiorstwo, i zaprosić go na polskie przyjęcie w Alpach: ekstremalne narty i małe co nieco w miłym towarzystwie pięknych kobiet.

Prezes przyjechał, bawił się przednio, a potem powiedział Dużemu Misiowi:

– Misiu, najdroższy mój druhu, żebyś wiedział, ja nie dam cię oszukać. Musisz coś z tego mieć, przecież to wiadomo. Kto jak kto, ale ty powinienes być w tym dealu.

14.

Przygnębiający był fakt, że te największe, topowe operacje były jednak zawsze poza nimi. Marek próbował podpiąć się jakoś pod prywatyzację Techkomu, ale co mógł zrobić? Był za krótki w uszach, jak to mawiał Olo.

„Gromek ogarnia i koniec, nic tu po tobie.”

Siwy nie mógł pomóc i pewnie nie chciał. Był już na emeryturze, kazał samemu sobie radzić. Poza tym, uważał, że na wszystko jest czas.

„Jeszcze nie jesteś Gromkiem. Jeszcze musisz dużo popracować, żeby nim się stać. Pamiętaj, co ci mówiłem o tym zawodzie? Jest jak kariera boksera. Trzeba stopniowo osiągać kolejne poziomy, przygotowywać się do pojedynków, budować rekord, by na koniec

trafić najwyższy cel, a potem go utrzymywać. Jedna wpadka i cała ta piramida się wali, nie ma już powrotu. Kleks w rekordzie i nie masz czego szukać w ekstraklasie. Na wszystko jest czas. Cierpliwości, chłopcze.”

Marek miał trochę pretensji, bo wiedział, że Siwy zna się z Gromkiem, mógłby go przedstawić, pomóc, ale z jakiegoś powodu nie chciał i trzeba było się z tym pogodzić.

Cóż, dla takich jak on – drobnych lobbystów – pozostawały przetargi w urzędach i spółkach. Budowanie rekordu. Tak, żeby za bardzo nie rzucać się w oczy. Bo w przeciwnym razie duże drapieżniki, które i tak już warczały odstraszająco, dając do zrozumienia, jak bardzo się niepokoją, skakały do gardeł i rozrywały je jednym szarpnięciem. Wciąż, mimo wieku, stępionych nieco kłów, przytłumionych alkoholem zmysłów, tamci byli dla Marka zbyt silni.

Jak zakwestionować decyzję rządu, gdy wszystko na górze poukładane?

Cała operacja wyglądała, owszem, mocno podejrzanie, ale rzekomo była zgodna z prawem. Służby wszędzie chodziły, lepiej było nie prowokować, żeby nie doprowadzić do otwartego konfliktu z nimi. Marek denerwował się różnymi, potencjalnie niezwykle dla przyszłości Polski groźnymi konsekwencjami, ale wiedział, że sam kijem Wisły nie zawróci. Nikt nie lubi usłyszeć w twarz nieprzyjemnego, krótkiego „spierdalaj”, bez żadnych wyjaśnień i uzasadnień, na które nie ma jak zareagować. W takich sytuacjach podkula się ogon i tyle.

Dobrze zapamiętał dwie lekcje. Pierwszą, gdy dopiero zaczynał w lobbingu, dostał od kogoś podobnego do Ola. Widząc, jak Marek stara się dobrać do jego konfitur, tamten „drugi Olo” wywiózł go do lasu i pokazał, który grób jest przeznaczony dla młodego

biznesmena, jeśli nie przestanie zadawać pytań, jątrzyć i wchodzić pomiędzy wódkę a zakąskę. Nie było dla niego tu miejsca.

„W tym lesie leży już kilku takich jak ty... konsultantów. I jakoś nikt o nich nie dopytuje.”

Marek, mimo że z „drugim Olo” było dwóch osiłków, nie wystraszył się.

„A jeśli pójde na policję?”

Jeden z tych dwóch wyjął blachę.

„Po co czekać?”

Marek zapamiętał i nauczkę, i nazwisko policjanta.

Kolejna lekcja odbyła się nieco później.

Znalazł fajny deal na Pomorzu. Firma ciekawa, zdrowa, z perspektywami, zyskowna, tyle że trochę zadłużona. No ale przy upadłości dług został zrestrukturyzowany i teraz do wzięcia była naprawdę fajna przestrzeń do realnego wyprowadzenia na prostą. Marek ucieszył się, już liczył przyszłe zyski i możliwości. Jego entuzjazm ostudził syndyk, od którego usłyszał, że trzeba wyłożyć prawie dwadzieścia baniek na wstępie i to gotówką. Próbował coś zagadywać, ale syndyk twardo obstawał, że cena uczciwa, a jak się nie da, to obniży w następnym podejściu.

Marek przeanalizował wszystko i uznał, że te dwadzieścia nie przejdzie, nikt tyle nie da, bo to zwyczajnie na tym etapie za dużo, więc wystartuje dopiero w następnym przetargu. Jakież było jego zdziwienie, gdy okazało się, że ktoś kupił firmę w pierwszym podejściu, nie za dwadzieścia tylko za pięć milionów.

– No ale jak to? – zapytał w biurze syndyka. – Przecież w ogłoszeniu przetargowym była cena wyjściowa dwadzieścia. Jak z dwudziestu wylicytować pięć? W dół żeście licytowali?

– Zmieniono warunki w trakcie. Ustalono, że pięć wystarczy, jako cena wyjściowa, bo inaczej nikt się nie zgłosi.

– Skąd wiedzieliście, że się nie zgłosi?

– Wadium nikt nie wpłacił, syndyk uznał, że nie ma co czekać w takim razie, zgodził się na gwarancję zamiast wadium. Sam pan mówił, że dwadzieścia to za dużo. Zresztą jak się panu nie podoba, proszę skarżyć do sądu.

– Pewnie zaskarżę. Dwadzieścia rzeczywiście za dużo, ale pięć to za mało. Dałbym siedem, może nawet dziesięć. A tak zrobiliście złodziejstwo.

– Proszę uważać na słowa.

– Zaskarżę ten przetarg! – walnął słuchawką.

Chciał zaskarżyć. Kipiał szczerą wściekłością, był gotów tę sprawę postawić na ostrzu noża. I wtedy zgłosił się do niego kupiec, ten co dał pięć milionów, człowiek na poziomie, kulturalny, wyrobiony.

– Panie Marku, po co panu kłopoty?

– Nie rozumiem.

– Pan jest mądry człowiek, na pewno rozumie.

– Działam zgodnie z prawem.

– My również. I mój mocodawca bardzo pana prosi, żeby nie był pan psem ogrodnika.

– Czuję się oszukany.

– A mógłby pan wycenić te swoje poczucie?

A potem nagle pojawił się Olo i zaczął go prosić:

– Mareczku, odpuść. Przecież cię nie zostawimy z niczym. Przecież dostaniesz działkę.

– Jak to „my”? Jak to działkę? Wy też w tym jesteście?

– A gdzie nas nie ma? Odpuść Mareczku, dogadamy się.

Wściekłość może opadła, rozeszła się. Trochę wciąż był zły, bo już kilka razy go tak zrobiono; zamiast godziwej kasy musiał zaakceptować jakieś ochłapy. Najbardziej pamiętał klimat z tej

korporacji metalowej, gdzie pod nosem wyprowadzili mu firmę wartą trzysta milionów za... pięćset tysięcy. „Pierdolone fundusze emerytalne” – ocenił, bo to one odpowiadały za przekręt. Wtedy też odpuścił, bo zaczął się prawdziwy burdel na korytarzach. Dosłownie każdy z każdym. A Siwy patrzył na to wszystko i się dobrze bawił.

„Tak to właśnie wygląda, Mareczku. Dokładnie tak.”

Nie chciał się kopać z koniem.

„Dobra, niech będzie.”

Zawsze to parę stówek zarobku...

Ze wspomnień wyrwał go dzwonek telefonu. Numer nieznany.

– Ta twoja się przeprowadza, chcesz nowy adres?

„Ta twoja” – powtórzył Marek w myślach i poczuł dziwny ucisk w piersi. Z trudem hamował wybuch radości. Więc Monika skończyła z Aktorem. Będzie wolna.

U Dużego Misia, pod okiem Ola, ale wolna. Otwierała się dla niego nowa przestrzeń. A przecież on miał już gotowy plan... No bo plan jest najważniejszy. Strategia to połowa sukcesu – mawiał Siwy.

– Poproszę.

15.

– Patrycja, po prostu Patrycja.

Niezwykła była. A mieszkanie jeszcze bardziej.

Olo zapowiedział, że będzie super zadowolona, na pewno jej się spodoba. Gdy tylko dowiedział się, że Monika przebąkuje koleżankom o chęci wyprowadzenia się od Aktora, od razu zaoferował swoje wsparcie i pomoc.

„Przyjaciółka z biura szuka współlokatorów, bo ma za duże mieszkanie i napady depresji. Będiesz naprawdę mile widziana.”

Z tymi napadami przygnębienia chyba żartował, a to one ją najbardziej pociągnęły w Patrycji. Bo sama Monika przecież też miała swoje na sumieniu.

Nie raz i nie dwa miała ochotę to wszystko skończyć. Przez Muzyka, mamę, wszystkie te rzeczy, które jej się w życiu popieprzyły, a o których w zasadzie nikt na świecie poza nią nie wiedział.

Czasem brakowało jej tego, żeby się komuś wyżalić, ale komu miała? Oprawcom czy kolejnym pośrednikom oprawców? Eli, Ołowi czy może Dużemu Misiowi? A może udającej nieświadomą mamie, która przecież ją tak naprawdę do tego całego burdelu sprzedawała?

Komu miała o tym wszystkim opowiedzieć? Może wrócić do Muzyka i pójść do niego do spowiedzi? W końcu nie raz powtarzał:

„Gdyby coś, pamiętaj, że możesz na mnie liczyć. Zawsze ci pomogę. Finansowo i nie tylko. Zawsze możesz przyjść i mi się wypłakać na piersi. Wiesz, że nikt cię nie wysłucha z równą uwagą. Możesz na mnie liczyć.”

Drżała na tę myśl. Na każde wspomnienie. Każdy sen.

Ale ratowało ją to coś, co czeka za rogiem...

Nie myślała jednak, że u Patrycji trafi w aż taki „ekskluzyw”. Chyba ze sto pięćdziesiąt metrów w starej kamienicy na Ochocie, klimat artystyczny, wysokie sufity, przestronne wnętrza, cicha uliczka, park, wokół same zabytki, luksusowe kamienice, zdobione mury, okolica taka, że... tylko zazdrościć.

– To jest twój pokój – Patrycja otworzyła kolejne drzwi. – Łazienka z prysznicem – wannę i jacuzzi masz przy kuchni, gdybyś chciała się wymoczyć. Obok jest salon z fortepianem i wyjściem na taras, więc często tu kończymy, ale gdybyś musiała

rano wstać, wystarczy nam powiedzieć, przeniesiemy się gdzieś, żeby nie przeszkadzać.

– Często imprezujecie?

Patrycja uśmiechnęła się znacząco.

– Codziennie, a co?

Jezus Maria, co to była za ekipa. Impreza? W zasadzie wieczna impreza. Tyle że z klasą. Przychodzili artyści, aktorzy, znani ludzie, młodzi menedżerowie, studenci, dzieci bogatych rodziców. Grano dobrą muzykę, często na żywo. Bywało, że ktoś deklamował wiersze, a potem się okazywało, że to jakiś znany raper albo poeta z pasją i osiągnięciami. Ktoś przychodził z gitarą, ktoś siadał za fortepianem. Wtedy ją też ciągnęli, bo niejeden pamiętał „Tygryski”, „Słoneczka”, a nawet raz trafił się wokalista z ekipy trashowej, który wypalił:

„Zaraz, zaraz, przecież ja cię znam, mała. Grałaś w „Motherfucker” i w „Brygadzie Mend”?”

„I w „Słoneczkach” i „Tygryskach” – dodała Pati.

Rozpoznawali ją, ale nie było w tym nic wyjątkowego. O Muzyka nie pytali.

Dla Moniki o wiele bardziej intrygujące stało się to, kim tak naprawdę była Patrycja.

Duży Miś niby ją zatrudniał, podobnie jak Monikę, ale sama przyznawała, że w zasadzie nie chodzi do pracy, a już na pewno żadnej nie wykonuje, bo jest tak zwanym Wazonem.

– Co to znaczy? – zapytała Monika, gdy pierwszy raz usłyszała to określenie.

– Nie muszę się nawet pojawiać w firmie. Jestem na liście płac i to wystarczy.

– Aha – mruknęła Monika, choć nadal nie było to dla niej zrozumiałe.

– Wazony to osoby zatrudniane przez Dużego Misia, z polecenia ważnych osób. Mamy tatusiów lub wujków, którzy są z jakiegoś powodu wpływowi, a z którymi Miś musi utrzymywać dobre relacje. Taki układ, rozumiesz? Utrzymuje go, dając takim jak ja pracę...

– A kim jest twój wujek?

– Tatuś – poprawiła. – Mój tatuś jest... takim tam ministrem.

16.

Kolumna rządowa przejechała alejami w przedziwnym szyku. Marek przez chwilę nie był pewien, czy to nie sen, czy coś mu się nie przywidziało. Otaczające opancerzone limuzyny rządu, motocykle policji ustawiły się w szyku, który z góry przypominał kształt...

– Ktoś za to beknie – mruknął Gościu.

– Jeśli się dowie – odparł Marek.

– Zawsze się dowiadują. Wcześniej czy później.

– Oby wcześniej niż później.

Z jednej z limuzyn wysiadł przystojny mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat. Wysoki, postawny przypominał bardziej oficera służb specjalnych niż polityka. Wydawał się dobrze dysponowany, rozluźniony i sympatyczny. „Skąd ten policyjny „chuj” w kolumnie?” – pomyślał Marek, zaraz sam sobie odpowiadając: – „Niektórzy widzą więcej od innych.”

Polityk pomachał ludziom wynajętym przez obsługującą jego partię agencję PR. Zgodnie z instrukcjami: „tłum” czekał przy barierkach, machając chorągiewkami, żeby dobrze to wyglądało na zdjęciach do telewizji. Ludzie machali jeszcze przez parę minut po tym, jak minister zniknął w drzwiach gmachu Kancelarii Prezesa Rady Ministrów.

- Nowy – mruknął Marek.
- Stary Nowy – podkreślił Gościu.

Stali na tarasie widokowym jednego z warszawskich wieżowców. Tak naprawdę przejazd ministerialnej kolumny nie był ich celem, tylko przypadkowo zwrócili nań uwagę. Gdyby nie zadziwiający szyk policjantów, pewnie nawet nie zarejestrowaliby tego faktu. A tak... cóż, trzeba będzie się zastanowić, co z tym zrobić.

- Jest – mruknął Gościu.

Marek natychmiast zwrócił lornetkę we wskazanym kierunku. Na chodniku przed jednym z hoteli pojawił się Łysy, mężczyzna, o którym Gościu wielokrotnie opowiadał już Markowi. Łysy przez chwilę pokręcił się po chodniku, wszedł nawet do hotelu, po czym wyszedł i niemal natychmiast wsiadł do zaparkowanego na parkingu auta.

- Kurwa, jak w filmie szpiegowskim.
- Łysego szkolili – zażartował Gościu. – Mówili mu, że ma najpierw zmylić ewentualnych szpiegów dwa razy.
- Byle nie trzy – roześmiał się Marek.
- Cykaj fotki, nie pierdol.

Lornetka Marka automatycznie rejestrowała obraz, więc nie musiał nic cykać. Gościu miał bardziej precyzyjny sprzęt, w tym najnowocześniejszy aparat z teleobiektywem oraz mikrofonem kierunkowym, który tu akurat nie był przydatny, ale kilka razy okazał się bardzo pożytecznym narzędziem.

- Jebany, bezczelnie idzie na całość – mruknął Gościu, naciskając raz za razem guzik w aparacie.
- Koperty?
- Karty. Dziś nikt już nie daje kopert.
- Czasem jeszcze dają walizki.

– Nie w tym wypadku.

Łysy wysiadł z samochodu i spokojnym krokiem ruszył w kierunku stacji metra. Samochód jeszcze przez chwilę stał na parkingu, następnie wysiadł z niego kierowca. Nawet z tej odległości obaj z Gościem zobaczyli płomienne rude włosy mężczyzny.

Rudy podszedł do bankomatu, włożył doń kartę, wystukał coś na klawiaturze, ale nie wyjął żadnych pieniędzy.

– Zdaje się, że Łysy właśnie dostał pierwszą działkę od Rudego – podsumował Gościu.

– Raczej nie wygląda na pierwszą – mruknął Marek. Nie był zadowolony, bo sprawa Łysego i Rudego pojawiła się nagle i wcale mu teraz nie pasowała. Chciał skupić się na czymś zupełnie innym. Na pewnej dziewczynie o niezwykłych, zielonych oczach, która właśnie rozpoczynała karierę w jednej z największych polskich firm. A tak, musiał to na jakiś czas znów odłożyć. Jakby przeklęty los się na niego wziął.

17.

Minęła druga w nocy, a nic nie zapowiadało końca spotkania. Monika zaczęła się niecierpliwić. Uprzedzono ją, że będzie musiała zostać dziś trochę dłużej, ale myślała, że będzie jak zwykle i po północy przyjdzie Olo lub ktoś z ochrony i ją zwolni z dalszego siedzenia za kontuarem. Duży Miś miał taki zwyczaj, że pracował równie intensywnie w nocy jak i w dzień, ale zwykle nie zmuszał innych do tego samego. Tym razem było inaczej. Ciągłe musiała donosić napoje i przekąski, proszono ją też o robienie kserokopii dokumentów, nie bez znaczenia była tu ponadto jej uroda. Duży Miś dobrze wiedział, jak działa na mężczyzn i wykorzystywał to bez skrępowań.

Tak było w Alpach, gdy wyjechała z tymi prezesami od Techkomu, tak zdarzało się w biurze. Choć to ona wyznaczała granice.

– Hurra, mamy to! – usłyszała głośny krzyk, gdy niosła kolejną porcję dokumentów.

Weszła do gabinetu prezesa i stanęła w drzwiach, czekając na ruch szefa. W środku przed Dużym Misiem tłoczyli się prawnicy, analitycy i maklerzy. Wszyscy chcieli uścisnąć dłoń Cesarzowi i pogratulować wygranego przetargu.

– Prosimy o wybaczenie, ale nawet twoja uroda nie wygra z miliardem dolarów – powiedział Olo, stając obok.

– Ciebie jakoś ten miliard tak nie rozpala.

– Przyzwyczajony jestem. Co ma skapnąć i tak skapnie.

Monika przekazała dokumenty, pozwoliła się wycalować Dużemu Misiowi, zawahała się, czy nie poprosić o możliwość pójścia do domu, ale uznała, że jeszcze trochę wytrzyma.

Wróciła na recepcję i zajęła się porządkowaniem spraw na następny dzień dla zmienniczki. Gdy wyprostowała się, omal nie krzyknęła.

Nad kontuarem nachylała się twarz, która wyglądała jak maska z najgorszego koszmaru. Człowiek przed nią nie miał na głowie ani jednego włosa. Nawet brwi były czyste, o dziwo również powieki wydawały się pozbawione rzęs. Za to miały przedziwne, budzące grozę tatuaże. Krzywy, prawdopodobnie wielokrotnie złamany nos był tak ogromny, jakby został doklejony od zupełnie innej postaci, na siłę. W czaszce mężczyzna miał wgłębienie, a szczękę wypełniały krzywe, żółte zęby z brązowym nalotem.

Mężczyzna uśmiechał się wyraźnie zadowolony z wrażenia, jakie wywarł na pięknej recepcjonistce.

– O Boże! – krzyknęła Monika. Rozwarł wargi jeszcze szerzej.

– Wojtuś – zachrypiał. – Zaanonsuj mnie, złotko, prezesowi.

W gardle miała taką suchość, że z trudem wydobyła jakieś grzecznościowe „chwileczkę”.

– Chwileczkę – powtórzył Wojtuś. – A potem znajdziesz dla mnie chwileczkę, złotko? Jedną maleńką chwileczkę. Lubię takie maleńkie chwileczki, jak ty, mała...

Milczała. Wtedy pojawił się Olo i obaj mężczyźni padli sobie w ramiona.

– Ja jebię! Olo, ale się trzymasz, stary Żydzie.

Olo wyściskał Wojtusia, a potem wciąż go obejmując, zapytał:

– Poznałeś już naszą Moniczkę?

Wojtuś ponownie wyszczerzył żółte kły.

– Złotko nie Moniczka. Obiecała mi chwileczkę...

– Szczęściarz z ciebie, ale najpierw do prezesa.

– Właśnie.

Olo odprowadził Wojtusia, a potem błyskawicznie wrócił do Moniki. Uśmiech równie szybko zniknął z jego twarzy.

– Lepiej już idź do domu.

– Dziękuję.

Monice nie trzeba było tego powtarzać.

Olo zawahał się.

– Weź parę dni wolnego i nie pojawiaj się w firmie.

– Boże – wyrwało się Monice, bo od razu zrozumiała o co chodzi.

Miała już kiedyś taki przypadek, gdy jeszcze mieszkała z Aktorem, że spodobała się jednemu gangusowi i on też wtedy zdawał się nie rozumieć, że ona nie chce mieć z nim nic wspólnego. Takie znajomości należało nie tylko przeczekać, ale unikać miejsc, w których mogą zostać odnowione. Tylko jak unikać miejsca pracy?

– To nic takiego. Wojtuś zaraz zniknie. Daj nam parę dni. Dwa tygodnie powinno wystarczyć. Wyjedź na wakacje, odpocznij.

– Dobrze – bąknęła, ale w głębi duszy wiedziała, że parę dni czy tygodni oznacza tak naprawdę koniec tej przygody. Nie dlatego, żeby Olo kłamał.

– Dam znać, jak już będzie wyczyszczone.

Olo zniknął w gabinecie prezesa, a Monika dopiero po wyjściu z windy zdołała uspokoić oddech.

– O nie, kochani – mruknęła do siebie. – Więcej mnie tu nie zobaczycie.

18.

Było bardzo gorąco. Brunetka siedziała w cieniu dość daleko od placu zabaw, na którym przebywało pięcioro dzieci. Cztery pozostałe matki lub niańki, mimo słońca, trzymały się znacznie bliżej.

Marek obserwował przez chwilę kobietę, analizował sytuację, a potem w końcu podjął decyzję. Wziął Lusię na ręce i podszedł do kobiety.

– Dzień dobry – zagadnął.

Brunetka nie odpowiedziała, nie uchyliła też ciemnych okularów. Patrzyła na niego niechętnie. Zwykle kobiety reagowały na niego przyjacielsko, odpowiadały na zaczepki, nawet jeśli nie pozwalały sobie na nic więcej. W końcu to tylko „dzień dobry”, a Marek sprawiał na pierwszy rzut oka dobre wrażenie, wydawał się sympatyczny i niegroźny. Potem bywało już tylko lepiej. Dobry był z niego kłamca.

– Jestem pracownikiem naukowym – powiedział Marek, wyjął z kieszeni legitymację z logiem Uniwersytetu Warszawskiego, o którą się wystarał dawno temu, zostając wykładowcą na jednym

z dodatkowych, prywatnie organizowanych kierunków, i pokazał kobiecie. – Przeprowadzam eksperyment...

– Przepraszam, nie mam czasu... – wstała, żeby go wyminąć.

Luśka szczeniła. Była wyjątkowej urody trzyletnią suczką maltańczyka, którą czasem „pożyczał” na spacerów od swojej siostrzenicy. Luśce w sumie było obojętne, kto z nią wychodzi. Cieszyła się jak dziecko na każdą pieszczotę i lgnęła tak do znajomych, jak i obcych.

– Proszę nam poświęcić choć minutę, nie mam nic złego na myśli. – Marek nie dał jej odejść i szybko wyjaśnił, że przeprowadzają badania związane z bezpieczeństwem dzieci, sprawdzając łatwość uleganiu wpływom.

– Moje dziecko nie rozmawia z obcymi. Próżny wysiłek.

– Przekonajmy się.

Kobieta zawahała się.

– To ważne społecznie, bardzo panią proszę. Nic nie grozi ani pani, ani dziecku. A przekona się pani, czy warto z synem porozmawiać.

– Córką – poprawiła.

Marek nie dał po sobie poznać, że specjalnie się pomylił.

– Tak, oczywiście. Nie wiem dlaczego założyłem, że ma pani syna.

Kobieta milczała. Jeszcze chwilę biła się z myślami, po czym szepnęła, jakby zdawała sobie sprawę, że popełnia błąd.

– Dobrze, ale tylko chwilę, jedno pytanie i kończymy ten pana... eksperyment.

– Oczywiście.

Marek podszedł do dziewczynki i powiedział:

– Cześć, jestem Marek, a to Luska, chcesz zobaczyć szczeniaczki?

– Pewnie – odparła zadowolona dziewczynka i wzięła Marka za rękę.

Kobieta zasłoniła usta dłonią.

– Boże – jęknęła i chwilę później była już przy nich.

– Aniu, jak mogłaś...

– Spokojnie, proszę się nie denerwować. Niestety z badań wynika, że mamy z Lusią prawie stuprocentową skuteczność.

– Jezus Maria.

– Warto rozmawiać częściej z córką.

– Oczywiście.

– Proszę pozwolić dać się zaprosić na lody. Opowiem pani o innych wnioskach z badań...

– Nie!

– Mamo, zgódź się. Lusia jest taka piękna...

– Proszę nie dać się prosić. Porwę was tylko na kwadrans.

– Mamo, błagam. Tata na pewno by się zgodził.

Przez twarz kobiety przebiegł cień. Córka nie miała bladego pojęcia, że mama z tatą nie byli już w zasadzie razem, choć dobrze udawali. Za to Marek wiedział doskonale, że Rudy od prawie roku nie mieszka z rodziną, a ich małżeństwo skończyło się jeszcze wcześniej.

19.

W samolocie do Nicei Monika wciąż nie mogła zapomnieć twarzy Wojtusia. Będzie mi się śnić do końca świata – myślała. Ekspresowo załatwiła sobie kontrakt. Ela bardzo się ucieszyła z niespodziewanego telefonu – nie robiła żadnych wyrzutów, że wcześniej rozstały się tak nagle i Monika po otrzymaniu oferty od Dużego Misia odmawiała jakichkolwiek zleceń.

„Rozumiem przecież, że czekałaś na kontrakt z Hollywood. Nie przyszedł, co?”

„No nie.”

„Cieszę się, że zadzwoniłaś. Akurat mam dla ciebie coś ciekawego.”

Dwa tygodnie, Cannes, jakiś polski producent promujący filmy, trzysta euro dziennie za dyspozycyjność.

„Co to znaczy?”

„Zależy od ciebie. Same rozdawanie ulotek to będzie sto euro. Trzysta za inne usługi, poza tym mieszkanie gratis. Można dobrze zarobić.”

Niech będzie, niech będzie i ta dyspozycyjność – pomyślała Monika. Już lepsze to niż mieć na głowie takiego Wojtusia.

W samolocie poczuła się jakoś tak bezpiecznie. Zrozumiała też, że u Dużego Misia trochę już usychała.

Wszystko układało się znakomicie i nawet Patrycja nie robiła jej wyrzutów, że zostanie w domu sama. Akurat wdała się w romans z jakimś Albercikiem.

„Najwyżej zapierdolimy się na śmierć” – podsumowała.

Na lotnisku w Nicei miał ktoś czekać, a tu... dupa. Monika przestraszyła się trochę: że ją umoczono w ten wyjazd, a tak naprawdę na miejscu nic niem ma, że to jakiś żart i tylko straciła pieniądze na bilet, a jeszcze będzie musiała wydać...

Wtedy na parking z piskiem opon wjechał stary, zdezelowany citroen i spocony Arab wybiegł z rozłożonym transparentem: „Monica”. Wbiegł na halę przylotów.

Monika przez chwilę patrzyła na przerażonego chłopaka, przestępującego z nogi na nogę, odetchnęła z ulgą, po czym podeszła do niego z tyłu, klepnęła w ramię i powiedziała:

– Schowaj to gównu, ja jestem Monika.

- My English is not good – odparł.
- A mój to niby zajebisty.

20.

Musiała być niesamowicie wyposzczona, jakby nie uprawiała seksu całe wieki. Z każdym dotykem mocniej drżała.

- Przestań, nie mogę – zaoponowała.

Córka dawno już spała. Przeczytał jej bajkę na dobranoc, a ona patrzyła na nich z radością i wdzięcznością. Miał podejście do dzieci, a mała przecież wyczuwała, że z tatą już jest inaczej.... Był właściwie pewien, że Brunetka jest już jego, że tej nocy do tego dojdzie. Wiedział też, że potrzeba czasu, że musi być cierpliwy, bo inaczej ją spłoszy i wszystko zepsuje. Jeden niewłaściwy ruch i cała operacja się posypie.

Gdy mała zasnęła, siedzieli chwilę jeszcze, patrząc na śpiące spokojnie dziecko, a potem ona wstała pierwsza bez słowa, pociągnęła go za rękę, zamknęła drzwi, oparła się o nie i czekała, aż Marek wpije się w jej usta. Zrobił to, gwałtownie i namiętnie, jak tego oczekiwała, i gdyby ją tam wziął na stojąco, wszystko byłoby prostsze. Uprawialiby dziki seks, skończyli pewnie w minutę, potem kontynuowali w łóżku, poszłoby dalej bez zbędnych komplikacji. Ale on musiał włączyć to swoje sumienie, ten program diagnostyczny na przeczekanie i pozwolić się jej wymknąć. Kiedy więc w końcu wylądowali w sypialni, zamiast się kochać, zaczęli od wina i opowieści.

- Przepraszam, rok z nikim nie byłam – wyznała i opowiedziała mu, jak to Rudy, jej wspaniały, ukochany mąż, nagle oświadczył, że w pracy poznał kogoś innego i w zasadzie to się zakochał, i chce to skończyć, znaczy się z klasą, w sposób cywilizowany, tak żeby pozostali przyjaciółmi. Oczywiście córeczka o niczym nie miała

wiedzieć, on będzie udawał, jeśli tylko zechcą, łożył też będzie na nią i na żonę również, stać go przecież. – Wiesz, mam uraz, do samej siebie w zasadzie, bo się zachowałam jak kretyńka. Na początku po prostu wszystko przyjął, zgodził się, bez żadnych pretensji czy awantur. I wyprowadził się. Udawaliśmy przez jakiś czas, a potem nadeszło największe upokorzenie, bo po tym wszystkim ja jeszcze go próbowałam odzyskać. I przez to straciłam do siebie szacunek. No bo, co tu dużo mówić, strasznie się wygłupiłam. Myślałam, że seksem da się to naprawić. Wbiłam sobie do głowy, że nasz związek się sypie przez seks, że byłam dla Arka za słaba, za mało się starałam. Doprowadziłam do seksu z nim, choć bardzo się wzbraniał. W zasadzie to go zmusiłam, a on – nie chcąc robić większej awantury – uległ i dopiero po wszystkim mi wytłumaczył, że jest inaczej niż myślę, że on naprawdę tamtą nową dziewczynę kocha i nic tego nie zmieni, żadne takie akcje i szantaże i że tylko mogę wszystko pogorszyć.

Marek głaskał ją i słuchał. Starał się skupić na słowach kobiety i nie myśleć o tym, czego się dowiedział tuż przed spotkaniem: Monika znów mu uciekła, tym razem może już na dobre. Próbował się czegoś dowiedzieć od Ola, ale ten przez telefon nie chciał mówić. Powiedział tylko: dobrze, że wyjechała. Inne źródło podało mu kierunek Cannes i hasło: „Ela”. To wystarczyło, żeby zaczął się naprawdę martwić. Kto wie, czy jeszcze kiedyś się zobaczą. Może bezpowrotnie utracił możliwość zaangażowania jej do projektu, który planował przez lata. Cholera, zawsze był trochę nieśmiały. Uważał, że pośpiech jest złym doradcą, że lepiej stopniowo przygotowywać grunt, a tu może się okazać, że tym razem instynkt go całkowicie zawiódł. Zachowawczość potrafi doprowadzić do fiaska nawet najlepszych planów.

Brunetka tymczasem, kompletnie nieświadoma myśli mężczyzny, kontynuowała:

– Ale to nie koniec . Pomyślałam sobie wtedy, że się na Arku zemszczę. Poszłam do nocnego klubu z takim nastawieniem, że się z kimś puszczę, tylko żeby wziąć rewanz; taka ostatnia przecież nie jestem, wyglądam wciąż jako tako, więc się udało. Tyle że trafiłam na frajera, który nie wyczuł, że mnie może mieć tak bez niczego i dosypał mi jakiegoś gówna do drinka Wyobrażasz sobie? Rano w parku, zarzyganą, pokancerowaną, wykorzystaną i ledwie żywą, znalazł mnie ktoś i odprowadził do domu. Wynajęta niania była wściekła, bo miałam wrócić wcześniej. Arka wezwała. Przyjechał, jak mnie zobaczył, to wezwał pogotowie. Pogotowie zadzwoniło po policję. Zrobiła się afera, której nikt nie chciał, sprawa o gwałt, ja pierdolę... wszystko się wysypało, ja przez to nie mogę się odblokować, ciągle o tym myślę, żeby znów czegoś nie wywinąć.

– Nie skrzywdzisz mnie, prawda? – zapytała, ściskając go tak mocno, jakby chciała wniknąć w to męskie ciało, stać się z nim jednością. – Powiedz, że mnie nie skrzywdzisz.

Powiedział. A potem wziął sprawy w swoje ręce.

21.

Na plaży niemiłosiernie grzało słońce, a Monika czuła się jak idiotka. Bianka śmiała się w przerwach, że już lepiej byłoby się pierdolić za kasę. Gdy okazało się, że w hotelu będzie mieszkać właśnie z Bianką, Monia bardzo się ucieszyła. Padły sobie w ramiona, a koleżanka oceniła:

„Boże, taki przypadek to jak trafienie w totka. Niesamowite. Jesteś mała niesamowita.”

Najgorsze, że musiały chodzić po tej plaży w bardzo kusym bikini. To od razu wywoływało napastliwość mężczyzn. No ale przecież taki był cel producenta.

– Film jest o seksie, więc same rozumiecie – powiedział. – Za dwa dni zamienicie się ze zmianą nocną, wtedy będą czekać na was suknie wieczorowe.

Znaczący uśmiech producenta nie podobał się Monice, ale Bianka pociągnęła ją za ramię, jakby wyczuwając, że może dojść do spięcia, które doprowadzi do zakończenia ich współpracy.

– Nie reaguj na tego buca. Musisz przetrwać dla mnie. Nie zdzierzę jakiejś idiotki w swoim pokoju, a jesteś pierwszą normalną, która tu przyjechała.

Bianka siedziała w Cannes od kilku miesięcy. Producent ciągle jej coś wynajdywał, bo w okolicach non stop były jakieś wydarzenia. Jak nie główny festiwal, to jakieś targi, potem koncerty, konferencje, negocjacje, wreszcie zwykłe wycieczki różnych notabli, których też warto było poznać i porozmawiać o biznesach.

„Życie prowincjonalnego producenta w Cannes nie jest łatwe” – mawiał czasem do dziewczyn, niby uskarżając się na te ciągłe rauty, w których brał udział.

Producent udawał gwiazdora, ale z gwiazdy miał co najwyżej pociąg do alkoholu i narkotyków.

– Nawet ruchać mu się nie chce – powiedziała Monice Bianka.

– Jak to?

– No tak. Ciągłe tylko o tym gada, a jak przyjdzie co do czego, to szuka pretekstu, żeby uciec.

– Może jest..., no wiesz.

– Nie, nie gej. Bardziej stawiam na lenistwo. Jemu się już zwyczajnie nie chce. Kiedyś zabrał mnie do swojego pokoju, na

rozliczenia i niby zaczął coś sugerować, ale chyba tylko po to, żebym odmówiła, a ja to wyczułam i dlatego nie odmówiłam, przypierając go do muru, a ten wał dawaj szukać wybiegu, jak tu się teraz wycofać. Schlał się i zasnął. No ale nie gadajmy o bucu, porozmawiajmy o tobie.

Bianka dopytywała Monię o Dużego Misia, Aktora, jej losy po wyprowadzce ze wspólnego mieszkania i odejściu od Eli, no ale najbardziej ją interesowało, czy kogoś ma, tak na poważnie.

– No bo jak mówisz, że z Aktorem to było tylko tak... na przeczekanie, to może coś jednak tam kręciłaś na boku?

– Trochę – przyznała Monika, ale nie wdała się w żadne szczegóły.

Którejś nocy wahała się, czy nie powiedzieć Biance prawdy o sobie. Czy nie powiedzieć jej o Muzyku, o tym, co zrobiła z nią mama i cała rodzina, jak ona się z tym czuła, ale przede wszystkim o swoim największym sekrecie i problemie, którego nie bardzo potrafiła potraktować jak problem, choć czytała, że jednak jest chora, że to nie jest normalne.

Ale nie powiedziała.

Ustały sobie z Bianką, że zawsze razem będą pracować, więc wymieniały się z parą innych dziewczyn co kilka dni. Praca na przyjęciach wieczorem rzeczywiście była ciekawsza i lżejsza niż na plaży, ale dużo więcej było dyskusyjnych sytuacji. Bianka uprzedziła Monikę, że nie musi sypiać z mężczyznami, ale jeśli się zdecyduje jest to jej dodatkowy zarobek.

– Kiedyś było tak, że te napiwki, tak to nazwijmy, zbieraliśmy do wspólnego worka i dzieliliśmy po równo. Wiesz, taki system socjalistyczny, ale to rodziło różne spory. No bo nie wszystkie dziewczyny chciały chodzić na noce do klientów, więc nie

wszystkie zarabiał, za to uważały, że prawo do napiwków mają to samo, no chyba że nazwiemy rzeczy po imieniu.

No bo nikt nie nazywał tego, co robiły, po imieniu. Nawet Biana. Napiwki i różne dodatkowe zarobki trafiały się nie tylko za seks. Na przykład Monię bardzo często ktoś prosił o wspólne zdjęcie, a potem wciskał jakieś pieniądze za to, dostawały też działkę od różnych pośredników oraz premie po tych wszystkich kolacjach z notablami, którzy sobie przyjeżdżali pozwiedzać Cannes.

Monia zapamiętała, że tego dnia, w którym poznała Marka, miała pójść na plażę zamiast pracować na drugą zmianę, ale Biana się pochorowała i postanowiły zamienić się z drugą parą.

– Wieczorem już dam radę.

Dużo później zastanawiała się, czy to tak miało być. Czy ich losy miały się właśnie tak potoczyć, bo obmyślił to jakiś demiurg, czy też jednak był to zupełny przypadek.

Nie, to niemożliwe. To nie był żaden przypadek.

22.

Olo bąknął niby mimochodem, że tam może być też Monika, że pracuje dla Producenta organizującego cały wyjazd, co przesądziło sprawę.

Marek nie wahał się ani chwili.

Więc jednak są sobie przeznaczeni – pomyślał.

Niby zamierzał w tym tygodniu odpuścić wszelkie operacje, skupić się na Brunetce, Rudym i Łysym. Choć i tu miał wyrzuty, pluł sobie w gębę przed lustrem, ale potem wycierał szybę i widział twarz, którą przecież lubił.

„W naszej robocie nie ma miejsca na etykę i moralność” – podsumował. – „Dobrze o tym wiedziałeś przed przyjęciem oferty.

Nikt nie mówił, że będzie łatwo.”

Nie było.

Mimo to, nawet gdy nawiedzały go demony, wyrzuty sumienia, gdy myślał o swoim życiu w kategoriach kłamstwa i fałszu, przyznawał, że jest szczęśliwy. Że te wszystkie intrygi, rozgrywki, wpływ jaki uzyskuje jako lobbysta i to, co kryło się w cieniu, sprawiają mu ogromną, elektryzującą, napełniającą adrenaliną satysfakcję.

Chciał tego życia, marzył o nim, a teraz, gdy już je miał, nie mógł dać się pokonać głupim wyrzutom sumienia.

Posiadł wiedzę dostępną nielicznym. Poznał ludzi ze świecznika. Zwiedził świat i miejsca, które dla zwykłych śmiertelników były całkowicie niedostępne. Manipulował, dzierżąc prym.

Dzięki temu wszystkiemu mógł śmiać się szczerze z naiwnych tekstów w gazetach i książkach. Mógł popisać się od czasu do czasu nietuzinkową, zarezerwowaną dla tych naprawdę wybranych, wiedzą. Posiadł ją i na dodatek rozumiał znacznie lepiej niż wielu polityków. Czuł się jak człowiek z grupy trzymającej władzę. Bardzo wąskiej nigdzie nieokreślonej grupy, nie należącej do żadnej organizacji czy oficjalnych kadr, pociągającej za sznurki, na których końcu znajdowały się pacynki w tym teatrze lalek.

Poza tym, nie był mięczakiem. Nie powinien w ogóle dopuszczać tego bardzo skrytego, swojego prawdziwego, dobrego, wyrozumiałego dla błędów „ja” do głosu. Był twardy, bezwzględny. Był człowiekiem władzy. On decydował, a nie dawał decydować o sobie. Tak było już od dziecka.

– Jasne, jadę!

Bez zastanowienia.

Polska delegacja składała się z paru urzędników z ministerstwa oraz urzędu regulacyjnego. Drugi garnitur. Gdyby nie Monika, Marek z pewnością by odpuścił. To nie był jego poziom. Ale jednak paru z nich miało też rzeczywiste wpływy i warto było z nimi dobrze żyć. Może nawet dostawali od Ola więcej niż ministrowie czy politycy ze świecznika. Niektórzy mogli liczyć na bezpośrednie spotkanie z Dużym Misiem, bez żadnego czekania na korytarzu. Bo mieli to realne panowanie, możliwość podpisywania dokumentów, wydawania konkretnych decyzji.

Olo nie krył zadowolenia, że Marek się zdecydował pomóc. Wyjazdy z nim były dużo ciekawsze i zwykle przynosiły lepsze efekty, zarówno w długim, jak i krótkim terminie. Zawsze potrafił zająć towarzystwo, obracał się w nim zdecydowanie sprawniej niż Olo, który jednak był czasem takim słoniem w składzie porcelany. Zachowując ostrożność, udawało mu się zwykle uniknąć wpadek, ale wystarczyło jedno potknięcie, a w panice robił rozpięduchę, której już nie dało się delikatnie posprzątać. Oj tak, pamiętał kilka takich akcji. Raz – o mały włos – nie doprowadziłby do dymisji rządu premiera, gdy postanowił odwiedzić go po wypadku w towarzystwie króliczków Playboya.

„Myślałem, że będzie to zabawne. Skąd mogłem wiedzieć, że jakiś tabloid cyknie fotkę...” – mówił Markowi podczas jakiegoś pijaństwa. Nie rozumiał subtelności. Był w gruncie rzeczy człowiekiem prostolinijnym, szczerym, zwyczajnym. Wielkie pieniądze, jakie zarabiał i jeszcze większe, przy jakich chodził, nie uderzyły mu do głowy. Twardo stąpał po ziemi i można było na nim polegać.

Przy tym jednak kojarzył się ze starymi czasami, stąd niektóre kręgi zwyczajnie go unikały, obawiały się wspólnych fotografii i tego typu spraw.

Marek tymczasem miał młodość, charyzmę, nowoczesność, urodę. Był człowiekiem sukcesu, z którym nie było żadnego wstydu i ryzyka. Te wszystkie znajomości, subtelności, oprawa, gesty, zdolność do nawiązywania kontaktów z każdym i na każdym poziomie oraz precyzja czyniły z niego człowieka sukcesu, szanowanego przez wszystkich.

Mógł świetnie pośredniczyć w kontaktach z Olem i dalej, z Dużym Misiem oraz innymi.

Wszyscy w zasadzie go lubili, nie miał wrogów.

Na dodatek, co dla Ola nie było bez znaczenia, Marek odwzajemniał się podobną postawą – nie ukrywał, że lubi Ola. Nawet jeśli go krytykował czy się z nim nie zgadzał, to dało się odczuć, że nie było w tym złej krwi.

Marek musiał przyznać, że go lubił. Jednak do Cannes Olo nie pojechał. Wysłał jeszcze esemesa do Marka, że nie da rady, nie może, więc powodzenia.

„Wszystko jest dogadane. Miłych wrażeń.”

Wcale tak dobrze dogadane nie było. Wyjazd od początku układał się nie po ich myśli i trochę to Marka niepokoiło. Już nad Niceą zaczęły się problemy. Samolot, podchodząc do lądowania, nagle podrywał się i robił dodatkowy nawrót, i tak trzy razy, aż w końcu udało mu się usiąść, ku uldze nieźle już przerażonych pasażerów. Potem sama wycieczka po Nicei okazała się nudna i męcząca. Kto to wstawił do programu? Sam Olo czy inny dureń? W Monaco nie czekał na nich żaden książę. Pytanie „gdzie ten pałac i kasyno?” zaczęło pojawiać się zdecydowanie za wcześnie.

A już kolacja w knajpie na wybrzeżu okazała się wyjątkową wtopą, bo kelnerowi padł terminal i musieli zapłacić gotówką, a ani organizator, chłopak wyznaczony i opłacany przez Ola, ani

Marek, który udawał jednego z korumpowanych klientów, jej nie mieli, w związku z czym trzeba było zrobić zrzutkę wśród gości.

– Ale proszę się nie przejmować, wszystko zostanie zwrócone – zapewniał organizator.

Marek pomyślał, że gdyby był tu Olo, chyba Marek by mu.... Ileż to razy pouczał starego przyjaciela, że nigdy nie wolno dopuścić do tego, by klienci mieli poczucie, że coś stracą, że ktoś nimi gra, cokolwiek rozgrywa. Kolacje i przyjęcia miały być tak zaplanowane, żeby w ogóle nie dochodziło do płacenia na miejscu. Wycieczki miały być ciekawe i zajmujące. Atrakcje przygotowane i satysfakcjonujące. W czym problem? Oszczędności na takich sprawach zwyczajnie się nie opłacały. Mogły skutkować tragicznymi nieporozumieniami przy negocjowanych potem wielomilionowych kontraktach.

Co prawda, gdyby był tu Olo, wtopy z pieniędzmi dałoby się zapewne uniknąć. W końcu zawsze powtarzał swoim pracownikom: karta to dobry wynalazek, ale gotówkę trzeba trzymać w kieszeni, na wszelki wypadek. Marek był kiedyś świadkiem sytuacji, w której tłumaczył młodemu marketingowcowi, że karta nigdy nie zastąpi gotówki.

„A co jak twój klient zamorduje jakąś dziewczynę? Zaproponujesz policjantowi łapówkę kartą? Kolego, w walizce zawsze trzeba mieć gotówkę.”

A oni nie mieli.

Następnego dnia popłynęli w rejs katamaranem.: Było zwyczajnie chłodno, a ekipa ubrała się jak na Lazurowe Wybrzeże przystałów krótkie spodenki, kąpielówki, koszulki na ramiączka.

Na łodzi też nie było żadnych sztormiaków, więc gdy zrobiło się naprawdę zimno, trzeba było szybko wracać.

„Co za kutas to wszystko zorganizował?” – zapytał przed zejściem na ląd jeden z dyrektorów. – „Szkoda mu było na jakieś skromne kurteczki z logiem?”

Marek nie ratował sytuacji, bo nie miał argumentów. Udawał jednego z klientów i nie było sensu się podkładać. Chłopak od Ola, pełniący funkcję organizatora, miał pewnie ochotę popełnić samobójstwo, ale Marek dopadł go w kajucie katamaranu i wyjaśnił, żeby przestał się mazgać.

„Kurwa! Pan Olo mnie zajebie. Wszystko spierdoliłem.”

„I tej nocy wszystko naprawisz.”

„Niby jak?”

„Zaufaj mi.”

Marek zakręcił się przed kolacją i udało mu się zamienić parę zdań z Producentem. Wystarczyło. Uzgodnili warunki i ten obiecał, że jego dziewczyny staną na wysokości zadania.

„Wie pan, pewności nigdy nie ma, to musi być pomiędzy nami jasne, bo jednak nie umawiamy się nigdy na takie zlecenia, rozumie pan przecież, że to są artystki, prawie gwiazdy, przynajmniej za takie się uważają, ale... cóż, przy tej kwocie, jestem pewien, że nie będzie wtopy.”

„Nie może być” – zaznaczył Marek i patrzył w oczy Producenta takim wzrokiem, że tamten musiał zrozumieć, że tu nie ma pola na żadną kompromitację.

Jestem ostatnim chujem – miał ochotę sobie wygarnąć, bo przecież wiedział, że robi coś całkowicie niezgodnego z głęboko skrywanym własnym interesem. Nie chciał, żeby doszło do tego, za co właśnie zapłacił.

23.

Producent pierwszy raz postawił sprawę jasno.

– Dziewczyny, nie ma mowy o miganiu się,. Idziemy na całość, rozumiemy się? Jeśli któraś nie chce, niech powie teraz, żeby nie było nieporozumień. Za tę noc dostajecie tyle...

Napisał im na kartce kwotę, oparł się wygodnie i czekał na ich decyzję.

– Tylko podkreślam, żadnego migania.

Wszystkie się zgodziły. Stawka była cztery razy wyższa niż za normalną noc. A przecież nie raz i nie dwa bzykały się za darmo, bo tak wychodziło.

– Ale pamiętajcie, jeden warunek: żadnych uzgodnień na boku, nie bierzecie kasy od klientów, żadnych napiwków, rozumiano? No przecież wy nie kurwy, nie?

Monika jako jedyna chciała odmówić i, gdyby nie Bianka, pewnie by nie poszła. Potem jednak myślała, że to właśnie było owo zrządzenie losu. Nie chciała iść, a przecież tam czekał na nią Marek.

Wyróżniał się z całej gromady. Jedyiny prawdziwy facet. Ale przecież już się kiedyś spotkali... Nie była do końca pewna, skąd go zna, musiało trochę potrwać, zanim sobie poukładała puzzle, ale koniec końców wszystkie klocki trafiły na swoje miejsce. W końcu takich facetów się nie zapomina.

– Co za spotkanie. Pamiętam cię z Lwów Biznesu – zagadnęła pierwsza.

– Ja ciebie też.

– Nie mów?

– Czysta i niewinna.

– Brawo.

Super jej się udało uwinąć przy Marku, inne dziewczyny musiały iść do pokoi z bucami, ona zaś została z tym wyśnionym facetem. On na dodatek zachowywał się jak prawdziwy

dżentelmen, który nic od niej nie chce, a przynajmniej nie od razu. Monia złapała się wręcz na tym, że sama zaczęła myśleć, jak tu by go uwieść, , ale wobec romantycznego nastawienia klienta, nie miała wyjścia, trzeba było poudawać.

Podczas gdy cała ekipa poszła ostro w tango, oni z Markiem wymknęli się ukradkiem na zewnątrz i ruszyli na spacer po plaży.

– To nie jest niebezpieczne? – zapytała przy zejściu. – Nic nam nie grozi?

Marek uśmiechnął się znacząco. Co prawda czasy były już niespokojne, nawet w tak ekskluzywnych kurortach i hotelach zdarzały się napady. Rozumiał, że umiejętności, których nabył przez lata na salach treningowych, a nawet uzbrojenie nie zapewniają stuprocentowej pewności, a jednak był przekonany, że potrafi zapewnić jej bezpieczeństwo.

– Miałem znajomego, który układał horoskopy – odparł. – Różni ludzie przychodzili do niego, chcąc usłyszeć co ich czeka, a on nie mógł się nadziwić, że mu za to płacą, tym bardziej, że nie wymyślał żadnych cukierkowych kawałków. Mówił tym ludziom kiedy umrą, przydarzy im się jakieś nieszczęście, padną ofiarą zbrodni, różne takie czarne rzeczy, jeśli oczywiście karty, kamienie, gwiazdy, czy co tam jeszcze na to wskazywały. W każdym razie, starał się tych ludzi nie oszukiwać, a oni przychodzili i za to płacili. Wiesz dlaczego?

Miała ochotę odpowiedzieć, że nie jest za mądra i żeby jej nie zadawał takich pytań, na które nie ma dobrych odpowiedzi, ale uznała, że może lepiej milczeć, w końcu jej trochę zależało, żeby nie wyjść na debilkę. Wzruszyła lekko ramionami, a Marek kontynuował nie strapiiony jej milczeniem:

– Oczywiście większość ludzi płaciło za to, żeby mieć święty spokój, nie wyzywać losu, dać na wszelki wypadek, po czym

zwyczajnie zapominało, ale było całkiem sporo takich, którzy wierzyli w przepowiednie i potem na nie reagowali.

– W jaki sposób? – wcale jej nie interesowała odpowiedź, ale uznała, że będzie „mądrze” zapytać.

– Zmieniali swoje plany pod wpływem tych horoskopów albo utwierdzali się w decyzjach. Jeśli usłyszeli, że w danym dniu, tygodniu czy miesiącu będą mieli dobrą passę, inwestowali czy kupowali losy na loterii, a jeśli miało im się nie powodzić, rezygnowali z takich działań. Przy bardziej konkretnych przepowiedniach potrafili przekładać wyloty, wyjazdy na wczasy czy spotkania biznesowe. Poznałem kiedyś przedsiębiorcę, który zamówił u tego astrologa horoskop i w wyznaczonym dniu na dobre rozmowy biznesowe wykupił wszystkie miejsca w klasie biznes w samolocie, żeby mieć pewność spotkania z bogatym przedsiębiorcą, który miał tego dnia lecieć tym samolotem.

– Udało mu się?

– Podobno tak. Na dodatek, kiedy biznesmen dowiedział się o okolicznościach, postanowił dać szansę rozmówcy i rzeczywiście rozpoczęli wspólny biznes. Dziś obaj są miliarderami i opowiadają o tym w formie anegdot, przy czym ten wówczas bogaty wytyka biednemu, że przeinwestował, bo mógł uzyskać efekt znacznie taniej, gdyby wykorzystał jakąś platformę do rezerwacji biletów, oferującą znaczne zniżki dla podobnych operacji, na co ten biedny odpowiada, że czasem potrzebne są działania z rozmachem. Gdyby ów bogaty biznesmen dowiedział się o sknerstwie biednego, mógłby...

I tak dalej.

Marek bardzo ciekawie opowiadał o różnych biznesowych przygodach, co Moniki... kompletnie nie interesowało. W zasadzie to nawet przestała go słuchać. Od pewnego momentu myślała

wyłącznie o seksie, bo ten facet z przeszłości, którego postać – mimo bardzo odległego wspomnienia – tak głęboko wbiła się w jej pamięć, zwyczajnie ją podniecał. Znacznie bardziej niż Aktor, wszyscy inni mężczyźni poznani w ciągu ostatnich lat. Kto wie, może był to najbardziej podniecający mężczyzna w jej historii. Najciekawsze było to, że on... jakby tego nie dostrzegał, a przecież dawała mu tak jasne i oczywiste sygnały. Owszem, nie był to pierwszy taki przypadek; Duży Miś zachowywał się równie szarmancko i podobnie nie wykorzystywał pozycji, mimo że mógłby ją mieć po jednym geście, ale tu i teraz było inaczej.

Usiedli na plaży i rozmawiali jeszcze długo, aż całe to jej podniecenie opadło. W głębi duszy zaczęła być mu naprawdę wdzięczna za ten wieczór i poranek, za wschód słońca oraz poczucie, że nie jest tylko stworzona do jednego. Dzięki takim ludziom jak Marek udawało jej się czasem zapomnieć o Muzyku. Rzadko, ale zawsze.

– Czego ode mnie oczekujesz? – zapytała w pewnej chwili.

Marek uśmiechnął się zabójczo, następnie odparł:

– Chcę, żebyś dla mnie pracowała.

– Ale... co miałabym właściwie robić?

– To co teraz.

Zmroziło ją. Wiedział? Musiał wiedzieć. Ale ona też musiała się upewnić. Nawet jeśli nie chciała słyszeć odpowiedzi, nawet jeśli ta odpowiedź nie była jej do niczego potrzebna.

– Czyli?

– Być. Po prostu być.

CZEŚĆ DRUGA

MAREK

24.

Akurat Prezesa Blondasa bardzo chciał uniknąć na tym pierwszym wspólnym wyjeździe, ale się nie udało.

Jakiś życzliwy doradca musiał tamtemu coś szepnąć do ucha, napomknąć, że to będzie wyjątkowy raut, że to sam Marek robi, więc na pewno warto i nagle agencja pośrednicząca w rezerwacjach wykreśliła jakiegoś dyrektora z departamentu merytorycznego i wstawiła Prezesa.

„Prezes Jebany Blondas” – pomyślał Marek, gdy mu o tym zakomunikowano. Był bardzo, ale to bardzo zły, bo planował, żeby nie rozpoczynać od najpoważniejszych wyzwań, był zwolennikiem realizacji planów krok po kroku i najpierw chciał dogadać sprawę z kimś na niższym szczeblu, kto miał wiedzę techniczną, a nie tylko był z zawodu prezesem.

– Kurwa mać! – przeklął, ale nie było już odwrotu.

Z drugiej strony, pomyślał, może to jednak dobrze. Wcześniej czy później musiało do tego dojść, musieli się spotkać i być może zetrzeć, bo Marek przeczuwał, że tak się to skończy. Kto wie, czy ktoś z góry mu nie szepnie słówka, którego tak unikał.

„Spierdalaj”. Może z uzasadnieniem: „To nie twój poziom, kolego”.

– Czemu to źle? – zapytała Monika. Wciąż się wszystkiego uczyła i dopytywała. Bardzo szczegółowo, żeby nie było nieporozumień i Markowi się to niezwykle podobało, bo najgorsze

są niesnaski wynikające z niedogadania pewnych spraw, przemilczeń.

Bardzo wiele błędów popełniamy, gdyż boimy się zapytać. Monika nie bała się nic a nic.

Szybko się zorientował, że nie mógł wybrać lepiej.

Była idealną partnerką do tego biznesu. Cieszył się też, że udało mu się powstrzymać tamtej nocy w Cannes i na plaży do niczego pomiędzy nimi nie doszło. Dzięki temu mogli udawać, że to tylko biznes. Oczywiście oboje czuli przyciąganie jeszcze długo po wydarzeniach na lazurowej plaży, ale też zgodnie uznawali, że to naturalne. Ludzie mogą się przecież lubić, a nawet pożądać, to nic złego. Ważne, żeby tego jednak nie mieszać z biznesem, skutecznie powstrzymać instynkty.

Jeśli się da...

Monika co prawda wciąż miała wrażenie, że relacja z Markiem jest nieco chora, nie pasowały jej te niedopowiedzenia, ale... było jak było. Trudno. Trochę miała poczucie, że są jak bohaterowie klasycznego modelu serialu filmowego – ona i on, niby kochankowie, pociągający się i przyciągający, a jednak w każdym odcinku unikający związku, wyrażenia prawdziwych uczuć. To chyba pociągało widzów, którzy zapewne oczekiwali, że w końcu może się to zdarzyć.

W samolocie, poza Prezesem Blondasem, znalazło się dwóch grubasów: dyrektor generalny instytucji nadzorczej i jego zastępca. Obaj teoretycznie sprawowali nadzór nad Blondasem, byli więc niby ważniejsi, ale bardzo szybko się okazało, kto tu rozdaje karty. Blondas to jednak poziom miliardowy, z poparciem premiera, któremu mówi na „ty”, z którym gra w tenisa, spotyka się na ośmiorniczkach i z którym się wzajemnie prześcigają w komplementach. A te dwa knury... cóż, może kiedyś dostąpią

jakiegoś zaszczytu pomodlenia się z kimś niby ważnym u Ojca Dyrektora.

– Uważaj na niego – poprosił Monikę. – To bardzo dwulicowy, niebezpieczny typ.

– A ci dwaj pozostali?

– Jeszcze nie wiem, ale to inna liga.

– Rozumiem.

Był jeszcze czwarty gość, teoretycznie po ich stronie. Inżynier z Corpo, czyli firmy, która miała na koniec za cały ten wyjazd i świadczone na nim atrakcje zapłacić, choć trzeba to było przeprać przez dwie inne spółki.

„Amerykańskie przepisy antykorupcyjne” – uzasadnił Olo, mrugając okiem. – „Płacenie wprost to łapówka, a przez dwóch pośredników dozwolona stymulacja animatora. Pierdoleni swingersi.”

Tak naprawdę chodziło o coś innego, ale Olo lubił czasem takie różne wycieczki do Ameryki. Wciąż im nie mógł tak do końca zapomnieć, że w czasach PRL, które przecież wspominał z rozrzewnieniem, byli jednak wrogami.

Inżynier – młody, bardzo chudy i wystraszony typ – kompletnie nie czuł towarzystwa. Nie umiał się znaleźć ani przy tych knurach z rządówki, ani przy Monice i Marku. Zestresowany i pozbawiony towarzyskich umiejętności, starał się nie wychylać. Założył więc na uszy słuchawki, puścił sobie Motörhead, z torby wyjął Goethego i... tyle go widzieli.

– Za Amerykę! – zawołał za to Prezes Blondas, unosząc do góry plastikowy kieliszek wypełniony burbonem z Kentucky i rozpoczynając – tym samym – część artystyczną.

– Zdrowie dam! – odparł równie głośno dyrektor nadzoru.

– Damy, nie damy i nie każdemu – dołączył trzeci knur.

Obrzydlistwo – pomyślała Monika. Oby was do tej Ameryki nie wpuścili.

25.

Rudy powąchał paczkę z cygarami, pokręcił głową z niedowierzaniem, że dał się wkreślić w taką akcję, westchnął głęboko i ruszył do biura Ośrodka Centralnego.

– O, dzień dobry panie Arku – powitała go na recepcji blondynka, przypominająca gwiazdę Playboya. – Pan prezes już czeka.

Prezes? Łysy był „tylko” dyrektorem. Kazał się pracownikom nazywać „prezesem”? Rudy znał co prawda parę podobnych przypadków megalomanii, ale akurat po tym urzędniku państwowym się tego nie spodziewał. Gdy pracował w Komendzie Głównej, wydawał mu się całkiem rozsądny, choć bezczelny i chamski. Tłumaczył jednak, że z mundurowymi tak trzeba.

„Jak dajesz im odrobinę miejsca na myślenie, od razu intrygują. Tu trzeba jasno i prosto. Rozkaz ma być wykonany, a jak nie, to wpierdol. Robią, co do nich należy, boją się, wszystko działa jak w zegarku.” – tłumaczył.

„No, chyba że rozkaz jest do dupy” – miał ochotę odpowiedzieć Rudy, ale oczywiście milczał. Zresztą znał z góry odpowiedź:

„Rozkaz zawsze jest dobry. tylko wykonanie może okazać się niewłaściwe.” A jednak to, co zobaczył w Ośrodku, było totalnym przegięciem, i nie chodziło tylko o to, że Łysy zatrudnił sobie na recepcji lolę rodem z wybiegów, nawet jeśli tylko prowincjonalnych. Co tu było grane?

– Zapraszam – lola z szerokim uśmiechem, kręcąc ponętnie biodrami, poprowadziła go do drzwi.

Rudy wszedł ostrożnie. Pierwszy raz był w nowym gabinecie Łysego. Dotąd spotykali się zawsze na zewnątrz lub na Puławskiej.

A tu... Gabinet Łysego umeblowano oryginalnymi, włoskimi kanapami pokrytymi naturalną cielęcą skórą, gustownymi regałami, barkami, na ścianach zawieszono parę całkiem niezłych obrazów. Wzrok przykuwał telewizor. Wielki, chyba ze 100-calowy ekran dobrej firmy pokazywał piękne kobiety, przechadzające się na wybiegu. Łysemu wyraźnie pomieszało się w głowie.

– Coraz częściej pokazują gejów – poskarżył się Łysy, jakby Rudy miał na to wpływ. – Masz coś dla mnie?

Przybysz wręczył dyrektorowi cygara i poczekał, aż ten niecierpliwie rozpakuje podarunek, a następnie z satysfakcją przytknie do nosa ulubioną używkę.

– Wspaniałe.

Pewnie, że wspaniałe – pomyślał Rudy – droższych nie było. Pięć tysięcy za paczkę, złodziejstwo w biały dzień. Przyjaciel, niejaki Gościu, uprzedził Rudego, że na spotkanie trzeba przynieść paczkę jakościowych cygar, bo Łysy postanowił stworzyć swoistą regułę.

„Będziesz miał tyle czasu, ile się pali cygaro.”

Rudy zrobił research i przejrzał bloga Łysego o cygarach. Choć ostatecznie i tak miał go za buca, kupił te cholerne cygara, które dyrektor tak polecał.

– Co tam?

– Jakąś lampę ci postawili pod nosem – Rudy wskazał przez okno nowy element otoczenia.

– Ano wstawili. Mnie się nie chciało protestować. Ponoć ktoś się potknął na zewnątrz, zwichnął nogę i uznał, że to niebezpieczne.

Dobre sobie. Niebezpieczne to jest to, co myśmy ze sobą zrobili, co nie, Arek?

– Oczywiście – przyznał niechętnie Rudy. Żałował od dawna, że się wpięprzył w tę całą akcję, ale nie było już odwrotu. Gościu i Rudy zaszedli zbyt daleko w ustaleniach, żeby Rudy się wycofał. Pierdolone układy!

Łysy rozparł się w skórzanym fotelu, zaciągnął cygarem, wyraźnie zadowolony i rozluźniony zaproponował:

– No dobra, przejdźmy do interesów.

– Właśnie – Rudy odetchnął sztucznie. Wcale nie chciał już robić z nimi interesów, ale skoro nie było wyjścia... – Chciałem delikatnie zauważyć, że faktury nabrały mocy.

– Faktury? – przez twarz Łysego przebiegło coś złowieszczego.

– No – Rudy nie był pewien, jak to ująć. – Zgodnie z ustaleniami i umową wystawiliśmy trzy i terminy minęły w zeszłym tygodniu. Ja już złożyłem zamówienia w Corpo, więc... jakby to powiedzieć, nie ma odwrotu. Mam towar na magazynie za pięćdziesiąt milionów.

Łysy poprawił się na fotelu.

– Co ty chcesz mi powiedzieć?

– Nic... tylko...

– No wał, prosto z mostu. Nic nie wiem o braku płatności. Podejrzewasz coś?

– Nie, absolutnie. Po prostu uznałem, że trzeba ci powiedzieć, bo przecież to też zagrożenie dla budżetu.

– Jak to?

– Będzie trzeba wystawić noty odsetkowe.

– Nie rozumiem, za parę dni zwłoki?

– Takie są przepisy.

– Od razu przepisy.

– To wy je narzucacie. Nie da się tego obejść, bo ustawa jasno mówi o tego typu przypadkach. Więc jeśli dłużej będziecie zwlekać z płatnością, dostaniecie większe odsetki, a to grozi naruszeniem tego... jak to się tam nazywa... dyscypliny budżetowej. Pojawi się rzecznik, kontrola NIK, nie daj Boże. Siłą rzeczy... możesz oberwać. A przecież tego obaj nie chcemy.

Łysy zawahał się.

– Minister się wkurwił – wyznał w końcu.

– Nie rozumiem. Wszystko jest zgodne z prawem.

– No ale się wkurwił.

– To znaczy?

– Znaczy się, że nie ma działki.

Rudy zamarł. A więc o to chodziło. Łysy chciał więcej łapówek. To stawało się już naprawdę niebezpieczne i groziło wpadką o niewyobrażalnej skali. A teraz jeszcze chce w to umoczyć samego ministra... Rudy zwyczajnie przestał wierzyć Łysemu. Kto wie, może minister nie miał zielonego pojęcia, co tu się odpiędała. Tyle że to jeszcze gorzej. Zostawić bez nadzoru jakieś trzy i pół miliarda złotych? Przecież w USA siedziałyby za to sto lat. A w Chinach dostałyby od razu czapę; tam nawet szefa Interpolu potrafią drapnąć za głupie parę milionów dolarów.

– Zrozum, na tym etapie...

– Parę milionów przecież możecie jeszcze odpalić – zdenerwował się Łysy. – Inkasujecie prawie miliard. W perspektywie do podziału są trzy kolejne. Trzeba się dzielić konfiturami, co nie? Tort, jaki jest, każdy widzi...

– Dzielimy się.

– Uczciwie dzielić. Wiesz, każda strona powinna mieć poczucie... sam rozumiesz... pewnej równości...

– Staramy się uczciwie.

– Nie dość się staracie. Trzeba znaleźć jeszcze parę milionów. Powiedzmy pięć. Mam taki oto pomysł, jak to zrobić – Łysy wyciągnął folder z biurka.

Rudy poczuł, że jest cały mokry od potu. A jeśli to wszystko jest jakąś prowokacją? Przecież to, co robił Łysy, w normalnym kraju było nie do pomyślenia. Dobra, jesteśmy w Polsce, ale aż taki numer? Jak chłopaki od hazardu dawali dziesięć lat temu dwadzieścia milionów łapówki to zrobili to w sposób cywilizowany i dyskretny. Nawet specjalna komisja nie była ostatecznie w stanie dojść, kto wziął. Tylko dający ponieśli karę. A akcja z korumpowaniem premiera? Cywilizacja panie taka, że nic nikomu nie można było zarzucić. Akcje kupione za milion, sprzedane za dwa. Czysty zysk. Co z tego, że w jeden dzień? To już w jeden dzień miliona nie można zarobić? W Rosji zarabia się tak dziesiątki.

– Co to?

– Nie widzisz. Projekt domu.

– I?

– Ładny, nie?

– No... ładny... ale... nie rozumiem...

– Kupicie ten projekt. Kupicie tę działkę na Mazurach, która jest tam wskazana, kupicie robotników, wybudujecie dom i... płatność pójdzie... na fakturę... rozumiesz?

Rudy był już całkiem mokry od tego wydzielanego od pół godziny potu. Łysy brał w bezczelny sposób, ale to przechodziło wszelkie wyobrażenia.

– Musimy jasno sobie powiedzieć, że pewne rzeczy są trudne i ryzykowne.

– Ryzyko zostaw mnie, zadbaj o inwestycje.

– Jak mam to wytłumaczyć na zarządzie?

– Twój problem. Powiedz, że potrzebujecie nowego centrum konferencyjnego. Powiedz, że ma być tajne, bo dla służb, to zawsze działa, nikt nie chce wnikać. Wiesz, nowy lokal operacyjny – przejdzie, mówię ci. Potrzebujecie słupa, a ja jestem słupem wprost idealnym. A jak nie ja, to mój tato. Ma już doświadczenie...

– Ale procedury...

– Chcecie zarobić ten miliard czy mam pogadać z waszą konkurencją?

Rudy westchnął. Łapówki łapówkami, ale w razie gdyby był nagrywany, trzeba jednak wyjaśnić, skąd to wszystko się wzięło.

– Tu nie chodzi o miliard tylko o płatności za już zamówiony i w części dostarczony towar. Skala jest tak duża, że jak nie zapłacisz, to będziemy musieli wnieść o upadłość. Stu ludzi straci pracę.

– No wiem.

– Jeśli gazety to wyniuchają...

Łysy spał się.

– Nie strasz mnie gazetami. Mam sześćdziesiąt milionów na reklamy, pamiętaj o tym. Żadna gazeta mnie nie stuknie w trakcie, gdy wykupuję u nich kampanie.

Rudy milczał przez chwilę.

– Pamiętam – mruknął, choć miał ochotę powiedzieć: „się okaże”.

– Cóż. Zastanów się dobrze: albo bierzecie miliard i jesteście grzeczni, albo się kłócimy i wtedy nie macie nic, poza problemami. To co, mamy jasność?

Cygaro powoli dopalało się do końca. Rudy wahał się, ale ostatecznie mruknął:

– Chyba tak.

– Nie lubię słowa „chyba”.

– Tak, mamy jasność – cicho powiedział Rudy.

Łysy uśmiechnął się szeroko, klasnął w dłonie i zgasił cygaro w popielnicze.

– O, to mi się dużo bardziej podoba – spojrzał po raz ostatni w okno. Ustawiona tuż przy nim lampa akurat rozbliła jaskrawym światłem. Testowali.

„Pod latarnią najciemniej” – pomyślał Łysy.

26.

– Patrz, kurwo, z kim rozmawiasz – rzucił knur.

Murzyn na szczęście nie rozumiał po polsku. Wyczuł oczywiście, że nawalony interesant go prowokuje, ale wciąż potrafił zachować profesjonalizm.

– Do You speek English?

– A po chuj? Po ludzku nie rozumiesz, debilu?

– Przestań, Franek, przecież widać, że dopiero zszedł z drzewa – dodał drugi knur.

Prezes Blondas, który przeszedł bez żadnego problemu rozmowę z oficerem imigracyjnym chwilę wcześniej, stał koło Marka i Moniki, nie mogąc powstrzymać głośnego śmiechu. Co chwila pokazywał palcem na swoim „przyjaciół” i powtarzał:

– Ja pierdolę.

A po ostatniej wypowiedzi knura numer dwa dodał:

– Naprawdę zaraz ich cofną.

– Sojusznicy, rozumiesz czarnuchu? – zawołał knur numer jeden. – Jesteśmy sojusznikami. Mój kraj i twój, poniał? A to jest kurwa paszport dyplomatyczny, czego nie widzisz? Honory masz czynić, a nie się przypierdalać, dawaj mi tu jakiegoś oficera ważniejszego. Chu–ju–ar, głąbie?

Inżynier miał wszystko w dupie, stał obok ze słuchawkami na uszach, spokojnie czekając na rozwój wypadków. W sumie, jakby mu kazali wracać, pewnie byłby nawet zadowolony. On się o ten wyjazd w ogóle nie prosił. Stany znał dość dobrze, wyjeżdżał wiele razy, zaplanowane atrakcje nie były niczym szczególnym. Prezes Blondas przykucnął, nie mogąc wytrzymać napadów rozbawienia. Monika... czekała lekko zaniepokojona. Nie bardzo rozumiała, co się dzieje. Marek westchnął i podszedł do oficera imigracyjnego. Przeprosił go za zachowanie „kolegów”, tłumacząc, że obaj bardzo boją się latać, więc trzeba ich przed podróżą „znieczulić” alkoholem.

Oficer uwierzył albo i nie, może podziałał ten paszport „dyplomatyczny”, który wcale nie miał takiego statusu, a może nie chciało mu się już słuchać tego wszystkiego, w każdym razie w końcu ich puścił.

– Ale widok – powiedział Prezes Blondas, gdy zobaczył San Diego. Jego koledzy przysypiali. – Coś czuję, że to będą piękne wakacje.

– Prezentacje – Marek mrugnął do niego okiem.

– A tak, oczywiście. Wspaniałe będą te... prezentacje.

27.

Rudy wyszedł z budynku Ośrodka, zdjął krawat i rozpiął koszulę. W sumie nie wiedział, czy powinien być zadowolony czy rozczarowany przebiegiem rozmowy. Chyba coś pomiędzy. Niby z Łysym się dogadali, niby wszystko szło dobrze. Jako wiceprezes firmy właśnie załatwił jej największy w historii kontrakt. Co z tego, że takimi metodami. Inni przecież też płacili, włącznie z największymi. Gościu był od niego lepszy? To on wszystko w końcu ustawił, Rudy robił w zasadzie za słupa. Jego firma zyska, ale dużo więcej zarobi Corpo Gościa.

Jednak...

Pomyślał o tym, jak wielką odpowiedzialność wziął na siebie, bo jeśli ktoś ich dopadnie, to na nim skupi się nienawiść, to on będzie wszystkiemu winny. Sukces ogłosi prezes, za porażkę wskaże jego. Dlatego wszystko było robione tak, by nikt inny nie miał w firmie styczności z Łysym. Rudy dostawał znacznie wyższą pensję od prezesa właśnie po to, żeby część z niej wyjmować i przeznaczać na łapówki. Teoretycznie nikt o tym nie wiedział. W praktyce wiedzieli wszyscy, włącznie z zarządem Corpo, także tymi notablami w Ameryce. Jeśli jednak trzeba to będzie udowodnić... cóż, zostanie słowo przeciwko słowu. I jeden kozioł ofiarny. A jak Rudy będzie zeznawał, istnieje duże prawdopodobieństwo, że skończy się słowo przeciwko słowom byłego świadka. Seryjny samobójca krąży – Rudy dostał niedawno takiego mema i uznał, że to wcale nie jest przypadek. Popadam w paranoję – pomyślał.

Minął dwóch robotników kończących montaż lampy, wsiadł do terenowej toyoty i odjechał.

– Może wy też jesteście agentami – mruknął pod nosem tak, żeby nikt go nie usłyszał. –

Technicy popatrzyli za autem, sprawdzili coś na niewielkim urządzeniu, a potem zwinęli sprzęt i ruszyli do furgonetki z oznaczeniami służb miejskich. Drzwi z boku pojazdu rozsunęły się zanim do nich dotarli i szybko wskoczyli do środka. Drzwi błyskawicznie wróciły na swoje miejsce.

– Kurwa, miałem wrażenie, że mnie rozpoznał – powiedział jeden z techników. Kilka miesięcy temu pił z Rudym na imprezie u wspólnego znajomego policjanta. Rudy był na tym przyjęciu z żoną, ładną brunetką, którą prawie wszyscy uwodzili, a ten głupi chuj jej nie pilnował. Jakby nie wiedział, że na imprezach

u policjantów żon trzeba bardzo pilnować. W tych sprawach nie ma przyjaciół.

– No, ale ostatecznie nie wyczał.

– Nawet gdyby, nic by to nie zmieniło.

– Pewnie. Na tym etapie już nie. W zasadzie nie rozumiem po co ten cały sprzęt – technik nacisnął przycisk na konsoli i znajdujące się w środku pojazdu monitory rozświectliły się kolorowymi obrazami. – Te wszystkie kamery i drony.

Jeden z monitorów pokazywał obraz z góry, z dużej wysokości, był dodatkowo oznaczony różnymi mapami i współrzędnymi.

– Dostaliśmy od przyjaciół, trzeba przetestować.

– Akurat, dostaliśmy. Zabulimy jak za zboże i za to pewnie ktoś też łyknie konfitury...

– No wiesz, jak te systemy do analizy. Zdaje się, że to ten Rudy je instalował. Mylę się?

Technik pokręcił głową. Kumpel się nie mylił. Nie dalej jak rok temu Rudy z sukcesem zakończył projekt centralnego systemu obsługi zgłoszeń połączony z systemem analizy operacyjnej działań polskiej policji. A teraz sam padnie ich ofiarą.

Życie...

28.

Największe wrażenie zrobiły występy cyrku wodnego w SeaWorld. Prezes Blondas i knury prześcigali się w robieniu fotek, oklaskach, okrzykach i innych, zgodnych z tłumem, reakcjach. Monika wydawała się być pod równie dużym wrażeniem, ale zachowywała mądry (może bezpieczny?) dystans. Marek przy każdym skoku orki czy innego więzionego w parku zwierzęcia wbijał paznokcie w udo. Wciąż miał w pamięci dziesiątki obrazków tragicznych zdarzeń w takich miejscach,

które były co prawda rzadkie, ale jednak do nich dochodziło, a świadczyły o bezsensie prowadzenia takiej działalności.

Człowiek jest jednak gotów do każdego świństwa dla pieniędzy. A przy tym, czy mógł krytycznie oceniać tych wszystkich ludzi, którzy pracowali ze zwierzętami i je oklaskiwali ze szczerzej miłości? Byli w trybach złego systemu, współdziałali ze złem, ale go nie tworzyli.

Dokładnie jak on.

Usprawiedliwiająca, prawda?

Zwiedzanie miasta i kolacja nie przyniosła takich emocji, podobnie jak końcówka wieczoru w hotelowym barze.

Prezes zarządził wielkie picie, ale Inżynier bardzo szybko się wymiksował, być może odrobinę urażony tym, że na zaplanowanej przed kolacją prezentację oferowanego przez amerykańską korporację systemu Genesis, prezesi pojawili się już wyraźnie podpici i mało zainteresowani skróconym do minimum wykładem.

Marek nie pił z założenia, Monika również, zostało więc tylko tych trzech i byli wyraźnie niepokieszeni, że towarzystwo jest takie skromne. Marek żałował, że nie zabrał jakiegoś wesółka, który pomógłby mu rozbawić towarzystwo, ale nie miał dość czasu na organizację, a profesor filozofii, którego wynajmował najczęściej, był akurat na wyjeździe z Gościem.

Ostatecznie alkohol zrobił swoje i po drugiej butelce nikt nie zamierzał roztrząsać problemów. Marek wytrwał do końca z gośćmi, zadbał, żeby knury trafiły do swoich pokoi i na koniec odprowadził Prezesa Blondasa.

Ten zaprosił go jeszcze na rozchodniaczka. Marek nie mógł odmówić, wysłuchał więc pijackiej gadki, trochę oszukiwał przy picciu, co na szczęście przy konsumpcji whisky jest łatwiejsze niż przy wódce pitej z kieliszków, i skorzystał z najbliższej okazji,

żeby się wymiksować. Zanim jednak wyszedł usłyszał to, czego się najbardziej obawiał. Choć przecież po to wziął ze sobą Monikę.

– A to prawda, co o panu mówią, panie Marku?

– Nie wiem, co mówią?

– No, że pana wyjazdy zawsze są w pełni satysfakcjonujące. Że potrafi pan zadbać o gości jak nikt inny.

– Cieszy mnie to. Mam nadzieję, że i tym razem tak będzie.

– Mówią, że... wie pan, jest na nich wszystko, od A do Z. Szczególnie dla nas, słabych mężczyzn...

Marek przytaknął.

– Bo tak sobie myślę, że nie przypadkiem jest z nami pani Monika, prawda? Dobrze myślę? Nie myślę się, bo jeśli się myślę, to rozumiem i najmocniej przepraszam. Nie chcę nikogo urazić, ale sam pan wie, jak to jest z tą naszą ciekawością – niezaspokojona daje się we znaki, ciągle jątrzy i powoduje dyskomfort, tak więc... cóż... Zostawię otwarte drzwi.

Marek wyszedł i wolnym krokiem dotarł do pokoju, który zajmowali z Moniką. Drzwi do Prezesa Blondasa nie zamknęły się. Tamten musiał włożyć coś pomiędzy nie a futrynę.

Wszedł go pokoju. Monika czekała w szlafroku. Była już po kąpieli.

– Twoja kolej – szepnął.

29.

Lampa jakby mu się przyglądała. Łysy obszedł ją i dokładnie obejrzał, stając na palcach i starając się przeniknąć wzrokiem przez mleczną osłonę żarówek. Niby wszystko było w porządku, niczym nie różniła się od pozostałych ustawionych przy ulicy, a jednak... było w niej coś innego. Łysy był fanem komiksów i „Wojny światów”. Dziś miał sen, w którym nowo postawiona

przed budynkiem lampa nagle ożyła i zmieniła się w trójnogi pojazd Marsjan. Obudził się po trafieniu pierwszym promieniem świszczącego lasera.

Rano zebrał pracowników w sali konferencyjnej i zapytał wprost:

– Której, kurwa, było ciemno przed budynkiem? Przez kogo postawili nam tu lampę, co teraz świeci po oczach?

Widząc miny podwładnych, ugryzł się w policzek i przeprosił za wulgaryzm. Kurwa, to nie policja, musiał się pilnować, żeby go nie podkablowali do szefa. Minister już raz interweniował w związku ze skargami personelu. Łysy co rusz wpadał z deszczu pod rynnę, bo osiadli w ministerstwie urzędaszy nie chcieli dać sobie narzucić jego policyjnej władzy. Radził sobie, ale...

„Panie dyrektorze, tak nie można. Nie może pan traktować swoich podwładnych i personelu resortu jak policjantów. To nie służba mundurowa, nie posługujemy się rozkazami, a polecenia służbowe powinny być przekazywane na piśmie, ewentualnie w sposób dyplomatyczny potwierdzone ustnie.”

„Oczywiście, panie ministrze.”

Byli po imieniu, więc minister musiał obawiać się nagrywania albo sam nagrywał. W każdym razie pewnie potrzebował podkładki, dupokrytki, stąd ten język. Łysy dostosował się i nawet na nikim potem nie zemścił. Zrozumiał przekaz, że teraz może być przez jakiś czas na świeczniku, mogą go badać i próbować podkładać świnię. Trzeba było uważać, w końcu gra toczyła się o bardzo wysoką stawkę. Tak naprawdę, nie tylko lampa go niepokoiła. Gdy wchodził do metra miał wrażenie, że jest pod ostrzałem. Nawet rozejrzał się w poszukiwaniu jakiegoś obiektu na niebie. Słyszał, że w Ameryce mają już drony, których nie można dostrzec gołym okiem z ziemi, a one nagrywają filmy

i dźwięk bez przeszkód, ale jak odchodził z policji, a było to przecież niedawno, nie było tego jeszcze na wyposażeniu. Nawet wojsko dopiero zamawiało taki sprzęt, więc będzie na stanie gdzieś za rok. Więc dronów się nie bał. A może helikopter albo kamera z mikrofonem kierunkowym ustawiona gdzieś na jednym z tych bloków. Na dachu czy może za szybą w mieszkaniu operacyjnym. Ale kto mógł go szpiegować? Kto by się zdobył na taką operację? Przecież już raz próbowali i nic z tego nie wyszło. Łysy pięć lat wcześniej miał na karku całe BSW – Biuro Spraw Wewnętrznych, bo życzliwi donieśli, że bierze. Zarzuty się wówczas nie potwierdziły. Przynajmniej oficjalnie. Paradoksalnie pomógł mu dziennikarz, który dostał zlecenie, żeby zaatakować policjanta. Niejaki Zimny. Zamiast zrobić, co mu kazali i odjechać Łysego, on przyjął, że może być niewinny... inni uwierzyli, nawet ten naiwny Zimny uwierzył chyba. Niezłe jaja! Łysy zamiast bury i więzienia dostał awans. Potem Zimny jeszcze dwa razy wkładał mu szpilę przy zamówieniach z wolnej ręki, ale bez skutku. Był już nie do ruszenia. Tak przynajmniej przekonywał emisariusz jednego z ministrów. Więc skąd to przeczucie? Kto mógł go szpiegować?

„Cholera, może Ruscy” – przyszło mu do głowy w metrze. Gdzieś tam w kuluarach koledzy oficerowie powtarzali, że pokój nie jest na zawsze, że Ruscy coś szykują. Albo zrobią im prowokację, albo ponagrywają, na dziwki też trzeba uważać, bo mogą podesłać – przekonywał taki jeden super ostrożny. Łysy pomyślał, że taki cwany, bo ma jedną na boku stałą do dymania, więc nie potrzebuje, a innym by chciał zabronić, jebany pies ogrodnika.

Przejechał kilka stacji i wysiadł na jednej z wcześniejszych niż planował. Wsiadł do tramwaju, wysiadł na następnym

przystanku. Uważnie przyglądał się twarzom, szukając potencjalnych szpiegów. Żadna nie wydawała mu się podejrzana. Żadna się nie powtórzyła. Podobnie samochody.

„Nie no, kurwa. Popadam w paranoję. Ruskich jeszcze będę szukał” – pomyślał i rozluźnił się, gdy zobaczył obok salon samochodowy. To musi być znak, bo właśnie myślał, co kupić ojcu na prezent.

– Dzień dobry – przywitał go sprzedawca. Chyba właśnie zamierzał zamknąć, ale wyczuł, że Łysy może być kimś ważnym, bo błyskawicznie zmienił nastawienie i zaproponował oprowadzenie po salonie. – Co pana najbardziej interesuje? Coś terenowego, miejskiego, sportowego?

– Potrzebuję na dzień ojca.

– Miejski?

– Nie, raczej terenówka, o ten tam mi się podoba – wskazał niezbyt dużego suva.

– Świetny wybór. W tej wersji będzie nawet w promocji cenowej.

– Chcę full opcję. Nie musi być w cenie promocyjnej.

– Oczywiście.

– Ma być cztery na cztery, najmocniejszy silnik, skóra, podgrzewanie, pełna elektronika, co tam jeszcze macie...

– Jasne – sprzedawca już wiedział, że się nie pomylił i dobrze zrobił, że nie spławił klienta. Jak dobrze pójdzie, będzie to jedyny sprzedany w takiej wersji model w Polsce, a za coś takiego koncern potrafił dać dodatkową nagrodę, może i nawet jakąś wycieczkę zagraniczną, premię czy bonus.

– Jak szybko jesteście w stanie dostarczyć?

– Myślę, że wystarczą dwa dni.

Łysy wyjął wizytówkę Rudego i podał sprzedawcy.

– Fakturę na te dane, płatność będzie zaraz po wystawieniu, a dostawa auta tutaj – napisał na kartce adres ojca. – Tylko proszę na dwudziestego trzeciego czerwca zdążyć i żeby nikt tatusiowi nie powiedział, kto jest płatnikiem.

– Oczywiście.

30.

W kawiarni Na Rozdrożu zajęli stolik oddalony od innych. Poniżej zakorkowana Trasa Łazienkowska błyskała odbitymi od szyb refleksami. Kilka dni wcześniej Monika mijiała inną trasę zalaną całkowicie przez ulewne deszcze. Kierowcy to mają przejebane – pomyślała teraz. Marek miał wrażenie, że Monika chce mu podziękować i zakończyć współpracę, dlatego przejął inicjatywę i nie dopuścił jej przez pierwszy kwadrans do głosu. Dopiero widząc, że jest już nieco rozluźniona, pokazał jej kopię przelewu.

– Co to?

– Premia.

– Za co?

– Agencja kupiła system Genesis. Kontrakt za sześćdziesiąt milionów w pierwszej turze.

– Dzięki nam? Dzięki San Diego?

Marek zawahał się.

– Pomogliśmy – przyznał.

– Tak to się odbywa? Fajny wyjazd, jakaś laska, wóda, inne atrakcje i państwowa firma kupuje system za sześćdziesiąt milionów?

– Kto wie, może nawet za trzysta – uzupełnił Marek. – To jedyny dostawca, więc ma monopol. Rozszerzenia będą dużo warte. Dochodzi też obsługa pogwarancyjna, tak zwany

maintenance. Łącznie będzie ze trzysta baniek, w perspektywie jeszcze więcej.

– Ja pier... – wymknęło się Monice. – I wszystko za parę dni chlania i pierdolenia.

Marek pokręcił głową przecząco.

– To nie tak. Oni chodzili za tym kontraktem od wielu lat. Genesis to dobry, potrzebny system. Nie ma tu przekrętu w jakości. Nie ma konkurencji i powinniśmy go kupić. Jeśli zostanie dobrze wykorzystany, wszyscy obywatele Polski zyskają.

– Więc po co my?

– Żeby psuje nie wydali tej kasy na coś, co się kładzie na półce i udaje, że oszczędza.

– Tak bywa?

– Częściej niż myślisz.

Monika pokiwała głową. Wyraźnie miała dość.

– Zasłużyliśmy na premię – podsumował Marek. – Dzielę się z tobą każdą kwotą.

Monika przegryzała to w sobie. Wypłata była ogromna. Nigdy nie widziała takiej. W ogóle nie miała co porównywać tego z sumami, które była w stanie wydębić od Eli czy Producenta, a tu przecież tylko raz musiała się zgodzić na coś więcej niż uśmiechy i grymasy. Prezes Blondas może nie był pierwszej urody i młodości, ale ostatecznie nie narzekała. Miała nawet orgazm, co oczywiście utwierdziło Prezesa Blondasa, że jest macho i musiał spróbować jeszcze raz, choć już z mniejszym sukcesem.

Tak czy inaczej, premia powinna zrobić wrażenie, a jednak coś jej mówiło, że tak nie powinno być, że to typowa... Nie, nie chciała tego nazywać prostytutką, nie była prostytutką, nikt jej nie sprzedał. Ona... cóż, po prostu... chciała iść do tego Blondasa, była

tego ciekawa. Nikt jej nie zmuszał, a tym bardziej nie zapłacił za to, więc...

– Zaraz...

– Monia, to nie jest forma kupienia twoich emocji, czy uśpienia jakichś wyrzutów sumienia. Płacę ci po prostu rzetelnie za wyjazd. Zgodnie z umową. Razem zarobiliśmy te pieniądze, razem z tego korzystamy. Gdyby nie kupili Genesisu, nie byłoby premii, a już ci mówiłem, że to naprawdę korzystny dla kraju zakup, więc nie musisz się stresować...

– Okej. Mimo wszystko sądzę, że to... za dużo.

– Nie dla nas. Jesteśmy najlepsi w tym fachu, przygotowujemy najlepsze wyjazdy referencyjne w kraju, a być może w całej Europie. Mierzymy też wysoko. Dlatego jesteśmy kosztowni. Razem możemy zrobić znacznie więcej.

– No właśnie, z tym razem, bo wiesz, pomyślałam sobie... że... ja to się jednak do tego nie nadaję.

Marek uśmiechnął się pod nosem. Dobrze wszystko zdiagnozował. Balansował na cienkiej linii. Jeden niewłaściwy ruch, a straci Monikę. A to byłaby klęska. Nie mógł do tego dopuścić.

– Bez ciebie to nie będzie to samo.

– Przy tych kwotach na pewno znajdziesz...

– Nie chodzi o twoje ciało, urodę czy nawet wdzięk. To kwestia zupełnie czegoś innego. Jesteś niepowtarzalna i dlatego razem możemy osiągnąć szczyty. Absolutny Mount Everest. Jeśli odejdziesz, ja też przestanę w tym działać. Przez wiele lat szukałem kogoś takiego jak ty. W zasadzie jak cię zobaczyłem na tym przyjęciu, na którym poznałaś Ola, ja wiedziałem, że ty to ty.

Chyba to był komplement – pomyślała Monika, ale milczała dłuższą chwilę.

– Sama nie wiem, muszę to przemyśleć.

– Oczywiście. Pamiętaj, robisz tylko to, co chcesz. Nigdy nie będę cię do niczego zmuszał. Nigdy ci nic nie nakażę. Zawsze będę cię też chronił. Cokolwiek się stanie, możesz na mnie liczyć.

– Rozumiem. Cóż, dziękuję. Pomyślę.

– Do zobaczenia.

– Tak, może...

Wstała i ruszyła w kierunku parkingu taksówek. Marek patrzył za nią z rosnącym spokojem. Chyba się udało. Owszem, Monika w tej chwili była przekonana, że ucieknie, że więcej się z nim nie spotka, nie pojedzie na wyjazd, ale Marek rozumiał, jak działa ludzki umysł. I był pewien, że będzie ciekawa, że ta ciekawość ją zgubi, przyciągnie z powrotem do niego.

Osobiście zamierzał tego dopilnować.

31.

Bardzo potrzebowała pobyć sama, dlatego przeprosiła Patrycję, wzięła prysznic, a potem zamknęła się w pokoju. Miała na sobie miękki dres i czuła się jak w dzieciństwie, kiedy to chowała się przed całym światem w swoim pokoju, siadając na podłodze, czytając jakąś książkę i jedząc jabłka. Zadrzała na wspomnienie Muzyka. Dawno do niej nie przychodził. Jakoś udało jej się o nim zapomnieć, a teraz,... nagle znów poczuła się jak w piwnicy tego starego domu, w którym ją w dzieciństwie zamykano. Niby żeby było bezpieczniej. Skuliła się, słysząc jakiś chrobot w zamku, skrzypnięcie naciskanej klamki, powiew nieco chłodniejszego powietrza z otwartych drzwi. Wilgoć, poczuła ją jak dawniej, jakby była znów tam, piętnaście lat temu, w piwnicy artystycznej willi i...

– No chodź do nas, chłopcy nie mogą przeboleć, że tak sama siedzisz – Patrycja ostrożnie wychyliła głowę przez drzwi. –

Wpadnij chociaż na chwilę.

– Na chwilę, dobrze – przytaknęła.

Wstała pospiesznie, nie chciała być teraz sama, pragnęła odgonić wspomnienia, wyrzucić Muzyka. Już tyle dni do niej nie przychodził, już myślała, że jest bezpieczna. A jednak było to kłamstwo. Jedno z wielu, z jakich utkano jej życie. Pajęczyna kłamstw.

W salonie zabawa wchodziła w szczytową fazę. Większość gości była już dobrze zrobiona i maksymalnie rozbawiona. Jedna wielka impreza. Przyzwyczaiała się do życia Patrycji i jej przyjaciół. Czasem jej odpowiadało, innym razem przeszkadzało. Teraz nie chciała imprezować, ale kto wie, jakby się to skończyło, gdyby nie Patrycja. Czy sama byłaby w stanie uciec przed Muzykiem?

Patrycja klasnęła, bawiący się ludzie zastygli i spojrzeli w ich kierunku.

– To jest Monika, mówiłam wam...

– Cześć – powiedziała Monika.

Uniosła do góry dłoń, nie chcąc witać się z każdym, po czym usiadła przy małej, ledwie ciepłej blondynce i bardzo chudym chłopaku z gęstą brodą.

– Johny – przedstawił się. – Tak na mnie wołają. na imię mam Arek, ale wszyscy mówią Johny.

– Też ładnie – pochwaliła.

Johny zagadywał do niej; był poetą i pisarzem, mówił o swoich utworach i muzie – tej dziewczynie ledwo ciepłej, która w trakcie ich dyskusji całkowicie odpłynęła i zasnęła.

– Podobno śpiewałaś? – zapytał w pewnym momencie.

– Dawno temu.

– Zagrajmy coś razem – zaproponował i usiadł do fortepianu. Monika pokręciła tylko głową, że się nie zgadza i nie będzie

śpiewać.

Johny wahał się przez chwilę, po czym uderzył w klawisze i zagrał jeden z jej ulubionych utworów z repertuaru Elli Fitzgerald. Cry Me a River. Skąd do cholery wiedział, że ona to lubi? Może Patrycja mu powiedziała, jak często słucha tego kawałka. Ale to znaczy, że o niej rozmawiali, a jeśli tak, to... A może rzeczywiście trafił przypadkiem? Dobrze, że nie strzelił w jeszcze bardziej lubiany przez nią kawałek: Love for Sale. Jakby nie patrzeć, ten by dopiero tu pasował. Spojrzała w okno. W ciemności na niebie wisiał księżyc w pełni. Jak wysoko, pomyślała. Wszystko, o czym śpiewała Ella, tak bardzo pasowało do jej życia. Może jest tylko zmyśloną bohaterką z piosenki? Może wcale nie istnieje naprawdę? Nie ma Muzyka, Marka, jej, nie ma też tej sytuacji tutaj i jej śpiewu też nie będzie.

– No nie daj się prosić – zawołał Johny.

– Monia – ponagliła Patrycja.

Pewnie to ona, ona mu powiedziała, co ma zagrać.

Nieważne. Spasowała. Podeszła powoli do fortepianu, przystanąła koło Johny'ego, oparła mu dłoń na ramieniu i zaśpiewała. Jak dawniej, jak to robiła z Muzykiem. Znów na sekundę wdarł się do jej umysłu i ona wiedziała, że żeby go przegonić potrzebuje tego Johny'ego. Że tylko on jej tej nocy może pomóc. Sam lub ze swoją muzą, która przysypiała pod oknem.

Godzinę później była już w swoim pokoju. Z pianistą, którego nie zamierzała tam zapraszać. Był słodki i taki inny od ostatnich znajomych z jej pracy. Lump, poeta, wagabunda. Taki inny od Marka.

– A co z twoją muzą? – zapytała.

– Śpi. Poza tym na zawsze pozostanie tylko przyjaciółką.

– Nie wierzę w przyjaźń.

– Tak jak ona w miłość. Przynajmniej pomiędzy mężczyzną a kobietą.

– Woli dziewczyny?

– I nie chce się leczyć...

Całowali się i po chwili on już był na niej, a potem w niej. Uśmiechał się całym swoim pokracczym ciałem, pięknymi oczami, ustami, buzią cherubinka, której nie mogła ubrać w męskość nawet ta gęsta broda.

Kochali się, jakby to miała być ich ostatnia noc na tym świecie. Tak się trzeba kochać, pomyślała Monika. Jakby to była ostatnia noc życia.

32.

Marek przesiedział prawie dwie godziny pod domem Patrycji. Był zaproszony na tę imprezę, ale uznał, że Monika może poczuć się osaczona. Wolał jednak odpuścić. Poprosił tylko Patrycję, żeby nie zostawiała Moniki, bo się o nią boi.

– Wiesz, trochę zaszaleliśmy w San Diego, może mieć wyrzuty sumienia.

– Wrzuc na luz, zajmę się nią.

– Dzięki.

Chyba się zajęła skutecznie, bo zadzwoniła trochę po północy.

– Jest dobrze, Monia złapała klimat z Johnym.

– Z kim?

– Nie pamiętasz Johny’ego? Poznałam was na przyjęciu u prezydenta. Wiesz, w Wilanowie...

Próbował sobie przypomnieć ten Wilanów. Bez skutku. Patrycję znał jeszcze dłużej niż Ola. To on zarekomendował ją do firmy Dużego Misia. Można powiedzieć, że był ojcem chrzestnym całego

układu. Patrycja i jej ojciec odwdzięczali się jak mogli, Marek mógł zawsze na nich liczyć, z czego czasem korzystał.

– A tak...

– No więc, chyba mają się ku sobie.

– Fajnie.

Marek wcale jednak nie był szczęśliwy. Ten Johny był toksycznym człowiekiem, jeśli dobrze pamiętał. Nie tego życzył Monice. Z drugiej strony dla Marka i jego interesów, może lepiej. Gdyby Monika poznała kogoś rzeczywiście nadającego się na długi związek, może zerwałaby ostatecznie z przeszłością. Tyle że Marek zwyczajnie nie wierzył, że to możliwe. Takie osoby jak Monika są skażone, nie mają szans na ułożenie sobie normalnego życia. Nawet gdyby dostały taką możliwość, szybko by się zaczęły dusić, szybko zatruiłyby otoczenie. Taka jest natura jadowitych stworzeń.

A czy on był inny?

Tak czy inaczej, ważne, że jakoś to poszło, że na chwilę znalazła odskocznię. Odpocznie, uspokoi się, naładuje baterie. A potem wróci do Marka.

Takie jak ona zawsze wracają.

Uruchomił silnik, ale długo jeszcze nie ruszał spod kamienicy. Wahał się, co zrobić. Może powinien ponownie odwiedzić Czarnulę? Ale przecież już kilka tygodni się nie widzieli i chyba powrót do tej drapieżnej kocicy nie byłby zbyt rozsądnym posunięciem. Nie chciało mu się spać. Tego, co zamierzał, też nie pochwalał. Trzy razy zrezygnował z wybrania numeru, w końcu jednak zadzwonił.

– Boże, coś się stało? – zapytała Brunetka.

– Nie śpisz?

– Przecież wiesz, że nie... Dawno nie dzwoniłeś, myślałam, że... sam wiesz... że więcej nie zadzwonisz, że to tylko tak przypadkiem, jeden raz. Zrozumiałabym. W mojej sytuacji to rozumiałe, że nie chcesz się wiązać...

– Masz opiekę do małej?

– Śpi. Możesz wpaść.

– Nie dziś. Może innym razem.

Cisza. Niemal słyszał, jak głośno przełyka ślinę.

– Na chwilę to i ja mogę gdzieś wyskoczyć. Mała śpi twardo, nie budzi się w nocy, a jeśli nawet by się obudziła, nie spanikuje. Zostawię karteczkę, już tak bywało. Powiedz tylko gdzie mam przyjechać.

– Podjadę na parking przy metrze. Ten trochę na uboczu.

– Za ile?

– Dwadzieścia minut.

– Będę.

33.

Trzydzieści kilometrów dalej, nad Zalewem Zegrzyńskim gaszono właśnie ogniska po hucznej imprezie policyjnej. Kilkuset oficerów i pracowników administracji z Komendy Głównej Policji bawiło się przy soczystych karkówkach, ociekających tłuszczem kiełbasach i pieczonym w całości prosiaku. Grało disco polo, było wesoło. Wypito trzy skrzynki wódki, trochę whisky, niewiele wina, za to parę beczek piwa. Większość towarzystwa połączyła się już w pary i poznikała w hotelu. „Będzie Ciechocinek” – komentowali rozbawieni generałowie. Przy stoliku na uboczu zostało około dwudziestu oficerów średniego szczebla.

Wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna przez cały wieczór trzymał się w cieniu, starał się nie rzucić w oczy, ale teraz trudno mu było utrzymać nerwy na wodzy. Niespokojnie zaciskał pięści,

gdy Łysy niewybrednie żartował z mundurowych, korzystając ze swojej ministerialnej władzy. Dostał, jebaniec, kopa w górę i od razu się rzucał. Ale to Wysoki mógł jeszcze przeboleć... Gorzej, że przy każdej okazji Łysy kładł łapę na kolanie siedzącej obok niego pięknej pani inspektor. Nazywano ją tu Mona, choć dziś to „zgrubienie” imienia nie pasowało do drobnej kobiety. Wysoki pamiętał ją jeszcze sprzed lat, gdy ważyła czterdzieści kilo więcej. Już wtedy mu się podobała i już wtedy zaczęli się spotykać. I tak pozostało do dziś, choć Mona upierała się, że muszą to ukrywać. Wysoki też był tego zdania. Więcej, nawet nie powinien przebywać na tym przyjęciu, bo przecież działał pod przykryciem. Był oficerem operacyjnym, tak zwanym przykrywkowcem, który wchodził do środka grup przestępczych i rozpracowywał je od środka. Tam znano go pod pseudonimem Diesel. Dlatego też Mona mówiła na niego ON.

– Ja wam, kurwa, mówię i obiecuję – krzyczał teraz Łysy. – Przypilnuję kasy na modernizację. Nie ma chuja we wsi, żebym choć złotówkę oddał. Na zdrowie!

Wstał, poczekał, aż inni wstaną, stuknęli się kieliszkami, wypili. Siadając znów oparł dłoń na udzie Mony. Diesel mocniej zacisnął pięści, ale jeszcze trwał. W myślach próbował przywołać Monę. „Spójrz tu, wymów się tym pijakom i przyjdź do mnie, bo się to źle skończy.” Nie chodziło o zazdrość. Diesel szanował wybory Mony i był zwyczajnie jej pewien. Widział po minie i po tym, jak zdejmuje z siebie te rozklejone łapska. W twarzy odczytał też chęć dania Łysemu w pysk, powstrzymywaną przez rozsądek. Kiedyś już mieli podobną dyskusję, gdy na jednym z bali dla mundurowych były zastępca komendanta kładł jej ręce niżej niż wypadało. „Będę pijaka bić?” – zapytała wtedy, gdy Diesel się na to boczył. „Powiedziałam, żeby zabrał, bo dostanie w jaja i zabrał”.

Łysemu też powiedziała?

W końcu Mona nie wytrzymała, przeprosiła towarzystwo i powoli zaczęła się zbierać. Chwilę musiała się zegnać z pijakami, ale w końcu udało jej się odejść. Diesel schował się w ostatniej chwili za drzewem. B była już prawie przy wejściu do hotelu, gdy Łysy zrobił parę wulgarnych gestów świadczących o tym, jak zamierza spędzić tę noc i ruszył od stolika za Moną.

Policjantka zniknęła w drzwiach hotelu. Łysy nie spieszył się; zamierzał pewnie odczekać jeszcze chwilę, żeby kobieta trochę odsapnęła, przez co może stałaby się mniej ostrożna.

„Kurwa” – przeklął pod nosem Diesel.

Zgodnie z ustaleniami, nie powinien się wychylać, nie powinien dać się odkryć, ale nie mógł pozwolić Łysemu na dalszy ciąg. Mona może by sobie poradziła, może nawet Łysego zastrzeliła, ale Diesel wolał nie sprawdzać.

– Te, Łysy.

Łysy zatrzymał się w pół kroku. Chyba nie był pewien, czy dobrze usłyszał. Z tyłu oficerowie już o nim zapomnieli, rozmawiali teraz o jakichś silnikach do śmigłowców, które trzeba było obejrzeć na Cyprze i problemie z płynnością wypłat, związaną z jakimś załamaniem budżetowym. Komuś temat wyraźnie nie odpowiadał, bo zaraz skierował dyskusję na zakupy nowych samochodów i przygotowanie bazy serwisowej pod nie.

– Tak, Łysy chuju, dobrze słyszałeś – syknął Diesel i wychynął z cienia. – Do ciebie mówię.

– Co jest, kurwa – obruszył się Łysy. – Nie wiesz, kim jestem? Co tu robisz, łajzo? Jesteś od nas?

Diesel stanął w rozkroku.

– Wracaj do wodopoju i zostaw Monę w spokoju.

– Bo co?

– Jajco, spierdalaj gnoju!

Łysy uśmiechnął się nieszczercze. Podobno kiedyś uprawiał karate, przynajmniej się tak chwalił. Na fejsie wrzucał wiele zdjęć, które miały dokumentować, jakim jest zabijaką i twardzielem. Udał, że chce posłuchać Diesla, następnie zamarkował cios lewą i z pełnym skretem uderzył prawą. Gdyby trafił, pewnie złamałby Dieslowi szczękę, ale nawet gdyby był trzeźwy, nie miał na to szans. Diesel bez trudu uniknął trafienia, delikatnie jedynie się odchylając i równocześnie kontrując krótkim lewym. Trafił idealnie w skroń. Łysy padł zamroczony.

Ktoś przy stoliku zauważył bójkę i po chwili otoczyli ich policjanci. Jakiś grubas rwał się do Diesla, ale dwóch innych komisarzy go powstrzymało.

– Czekaście, ja go znam – zawołał szczupły podinspektor. – To chłopak Mony.

– Aha. Nie nasz biznes – podsumował inny.

Diesel powoli wycofał się w cień. Gdy policjanci ocucili Łysego i zabrali go z powrotem do stołu, wszedł do hotelu i zapukał do Mony.

– Zbieraj się, jedziemy.

Nie musiał dwa razy powtarzać. Gdy dojeżdżali do Warszawy, zatrzymał ich patrol. Dwaj młodzi policjanci nawet specjalnie nie ukrywali, że zostali na nich nasłani przez górę, że ktoś doniósł i polecił sprawdzić akurat ten samochód.

– Kontrola trzeźwości.

Mona pokazała legitymację. Policjant podziękował, uważnie przeczytał dokument, oddał go, a potem podetknął Dieslowi pod nos alkomat. Diesel dmuchnął w urządzenie i czekał spokojnie na wynik. Miał przecucie, żeby nie pić tej nocy. Dobre przecucie.

– Zero zero – powiedział policjant, zaszalutował: – Dziękuję bardzo, szerokiej drogi.

34.

Ściany zdawały się ruszać. Falowały. Dałby głowę, że przed chwilą mu zwyczajnie zamigotały, jak w pieprzonym matriksie. Co jest, do cholery?

Minister spraw wewnętrznych od pewnego czasu odnosił wrażenie, że rzeczywistość płata mu figle. W ogóle to nie był do końca pewien, czy naprawdę jest tym ministrem, czy czasem ktoś nie zrobił sobie z niego żartu. Kto wie, czy to nie jest jakiś teatr w domu wariatów?

Z jego głową zaczęło dziać się niedobrze już dziesięć lat wcześniej, ale im bardziej starał się sobie to udowodnić, tym mocniej rzeczywistość odpowiadała kolejnymi absurdami. Wówczas, jeszcze jako prokurator, przyszły minister prowadził wiele spraw karnych i od pewnego czasu wszystkie przegrywał, dając dokumentnie dupy, a zamiast nagan dostawał pochwały i awanse. Aż do tego stołka.

Próbował uzyskać poradę od lekarza, ale ten był przekonany, że to jakaś prowokacja.

„Panie ministrze, ja naprawdę nie biorę” – powiedział mu.

Był nawet u znachora – bioenergoterapety. Ten jednak zamiast mu pomóc, nagle wyszedł i kto go zastąpił? Sam Duży Miś, jeden z największych w kraju przedsiębiorców. To już nawet nie był absurd. Minister czuł się jak w komedii w stylu Monty Pythona.

„To niemożliwe” – powiedział.

„A jednak” – odparł Duży Miś, składając mu propozycję nie od odrzucenia.

Było minęło.

Teraz zrobiło się jeszcze gorzej. Dwa dni temu przyszedł do niego jakiś dziennikarz. Zimny chyba się nazywał. Mówił, że u niego w ministerstwie szykuje się wielka afera. Że wszyscy na rynku mówią, że Corpo go korumpuje. Minister w życiu nie wziął złotówki. Przynajmniej nie od Corpo, więc mówi temu Zinnemu, że to potworna prowokacja. Będąc pewnym, że ten mu uwierzył, jakoś tak z wdzięczności, otworzył sejf i dał Zinnemu teczkę z tajnymi dokumentami.

„Niech pan przeczyta i spali” – mrugnął okiem.

Zwykle to działało. Dziennikarze dostawali inny, ciekawszy temat i mu odpuszczali. Zimny patrzył na niego jak na wariata, po czym... zniknął.

Tak po prostu. Był i nagle go nie ma.

Świat wirował mu coraz bardziej.

A teraz doszło do tego, że wszędzie widział osoby, których nie mogło tu być. Historyczne i normalne. Przychodził jakiś petent, ale zamiast niego Minister widział kogoś zupełnie innego. Raz był to Einstein, innym razem Ray Charles, ba! raz odwiedziła go Marylin Monroe. Ostatnio zdarzało mu się w twarzach petentów widzieć także własną córkę, Patrycję.

I tak samo było teraz.

Kobieta stojąca przed nim nie tylko wyglądała jak Patrycja, ale próbowała go do tego jeszcze przekonać.

– Tato, to ja – powiedziała.

O nie, nie dam się tak łatwo nabrać.

– Oczywiście. Zajmę się pani sprawą.

– Tato, to naprawdę ja. Obudź się, przestań.

– Potraktuję ją priorytetowo.

Obszedł biurko, wziął kobietę za ramię i z kamiennym obliczem wyprowadził na zewnątrz.

– Tato, błagam cię!

Tym razem uśmiechnął się szeroko, swoim pięknym, wypielegnowanym, wypracowanym przed lustrem zawodowym uśmiechem.

– Proszę być pewną, że sprawa jest w najlepszych rękach. Do widzenia.

– Tato, nie rób mi tego!

– Będzie pani zadowolona.

35.

Było cudnie. W łóżku i poza nim. Johny kochał się finezyjnie, z zapamiętaniem i świadomością własnych umiejętności. Miał też wycucie i dbał o nią, potrafił poczekać, aż będzie gotowa, a na koniec wybuchał jak prawdziwa bomba termojądrowa. Monika reagowała na to wszystko zgodnie z oczekiwaniami, choć nie potrafiła się pozbyć wrażenia, że jest to zachowanie dość wypracowane, wręcz wystudiowane i mało spontaniczne.

Być może, gdyby nie miała tak wielu doświadczeń seksualnych, uznałaby je za wyjątkowe, a tak trochę ją jednak ta spektakularność bawiła, wręcz trąciła patosem. Owszem, było fajnie, nawet bardzo, miała wiele orgazmów, bardzo chętnie by uprawiała seks z Johnym, kiedy tylko by chciał, ale... nie było w tym magii. Nie było też chyba tak oczekiwanej miłości.

Być może to z nią było coś nie tak, może nie potrafiła się po prostu zakochać. Może sprawiła to świadomość własnej ułomności, a może... jakieś przyciąganie Marka, którego udawała, że nie dostrzega, a które dojmująco dawało jej w kość teraz, po decyzji o tym, że zrezygnuje z pracy, którą w gruncie rzeczy już podjęła.

Cóż, a z Johnym... Próbowwała nawet oszukiwać.

Po pierwszej nocy udawali wielką miłość; chodzili cały dzień po Warszawie za rączkę. Johny zabrał ją na ciastko, kawę, lody, kolację. Napisał dla niej wiersz na poczekaniu. Potem pierdolili się w jej pokoju na wszystkie możliwe sposoby.

Trwało to i trwało, i wydawało się dla obojga satysfakcjonujące. Nad ranem on zasnął już spokojnie, wtulony w nią, ona zaś próbowała nie myśleć o Muzyku.

Nie udało się.

Następnego dnia – w towarzystwie Patrycji i Albercika – zrobili sobie piknik na trawniku przed kamienicą. Było bardzo przyjemnie. Chłopcy dyskutowali o polityce i zmianach w rządzie, one rozmawiały o uczuciach. Wtedy Patrycja powiedziała Monice, że boi się o ojca, bo coś z nim się dzieje niedobrego.

– On się w ogóle nie nadaje na tego ministra, którym jest. Jestem nawet pewna, że nie chciał nim być, ale był wygodny, sterowalny, więc go zrobili, a teraz całkowicie odleciał i boję się, że z tego będzie jakaś wielka chryja. Wciągną go w aferę czy inną zadymę, zobaczysz. No ale nie mam jak go ostrzec i uchronić. Ech, jak ja się boję ...

– Nie takie rzeczy się działy.

Pokręciła głową.

– Być może, ale on... ostatnio mnie nie poznał.

– Jak to?

– No zwyczajnie, przyszedłam do niego, a on myślał, że jestem petentem.

– Może żartował.

– Nie, to nie był żart. On sfiksował już całkowicie. A to się dobrze nie może skończyć. Jeśli mamy na czele tak ważnego resortu wariata, to co powiedzieć o całym tym rządzie?

Machnęła ręką, położyła się na plecach i, patrząc w chmury, szepnęła:

– W sumie to nawet zabawne. Rząd jako dom wariatów.

– Coś w tym jest.

– Zostawmy to, powiedz lepiej jak ci z Johnym.

– Sama wiesz...

– Fajny nie? – przeciągnęła. – Koguta ma ponoć takiego, że nawet prostytutki chcą się z nim za darmo pieprzyć.

Monika poczuła suchość w gardle.

– Fajny – przyznała tylko.

– Kogucik...

– Też fajny.

– To złoty chłopak, bardzo wrażliwy, ale i silny.

– Tak.

– I w łóżku ekstra, nie? – jakby nie mogła sobie darować, że Monika nie skomentowała tych uwag o kogucie i prostytutkach.

– No...

– Podobno, ja z nim nie spałam, ale wszystkie tak mówią.

Monika ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć: „to dlaczego żadna z tych wszystkich z nim nie jest?”

– Jest super!

– Mieszkał kiedyś z Albercikiem, na studiach jeszcze. Albercik, to sama widzisz, nic wyjątkowego, ale też jest fajny, ja bym go na żadnego nie zamieniła. Śmieje się, że w tamtych czasach Johny dla nich obu sprowadzał dziewczyny i one wszystkie chciały się tylko z nim pierdolić. Naprawdę dziwne, że wciąż jest wolny.

– No...

– Szczęśliwie już nie...

Potem poszli na spacer na Plac Wilsona, gdzie grali w bule, do późnej nocy siedzieli w knajpie, a w nocy Pati z Albercikiem

dokazywali w swojej sypialni, a Monika z Johnem w swojej. I znów było świetnie.

Choć trochę nudno.

Tak to już było z Moniką, że szybko jej się nudziło.

36.

„Sparing?” – przeczytał Marek wiadomość na komórce. Nie miał informacji o nadawcy, ale był w zasadzie pewny, kto nim jest.

„Piąta?” – odpisał.

„Między piątą a szóstą”

„Ok.”

Podjechał do klubu przy Emilce o czwartej trzydzieści, wjechał na dziesiąte piętro, przebrał się w szatni, porozciągał i trochę rozgrzał przed walką.

– Cześć – Diesel wyciągnął dłoń na powitanie, a potem się uściskali. Znali się tyle lat i – mimo że zaczęli od sporu – Marek dziś uważał Diesla za przyjaciela. W zasadzie był jedną z trzech osób na świecie, którym był w stanie zaufać i powierzyć życie. Fakt, że Dieslowi niektórzy stawiali zarzuty i oczerniali, jego w ogóle nie obchodził. Miał w nosie te wszystkie niechętnie uwagi i plotki. Byli prawdziwymi przyjaciółmi.

– Dwie rundy?

– Trzy.

– Niech będzie.

Począł, aż Diesel się rozgrzeje i weszli do ringu. Przez pierwszą minutę badali się i ich pojedynek niespecjalnie kogokolwiek interesował. Potem Diesel zaatakował wypracowanymi kombinacjami. Lewy prosty, prawy na dół, lewy hak, podwójny prawy, odskok z zamachowym.

Marek przyjmował większość ciosów na gardę, dopiero potem pozwolił sobie na pewną nonszalancję, uniki, a nawet opuszczenie dłoni i zaufanie refleksowi oraz pracy nóg. Chyba dobrze to wyglądało dla oka, bo po chwili wokół ringu zebrało się większość ćwiczących. Marek powiódł spojrzeniem po twardych, męskich, wytatuowanych postaciach. Większość z nich pracowała w ochronie, służbach i policji, bywali tu antyterrorysty, przykrywkowcy czasem z wojskową przeszłością, jak Diesel i ochroniarze z ZOŚK, ale też mafiosi i zwykłe gangusy z Mokotowa czy bramkarze ze stołecznych lokali. I on, jedyny lobbysta – biały kołnierzyk w tym gronie.

– Wasyl – mruknął Diesel, gdy Marek uniknął kolejnej kombinacji i zatańczył przy nim dwukrotnie, zmieniając rytm i pozycję, dzięki czemu znalazł się za plecami przeciwnika, poczekał aż ten stanie frontem i wymierzył mu karę w postaci dwóch prostych i podbródkowego. Gdy powietrze przecięła kontra Diesla, on już był znów z boku. Walczył w stylu swojego idola, Wasyla Łomaczenki.

– Kurwa, tak to możemy się macać i do nocy – mruknął Diesel, gdy ten ponownie mu uciekł.

Diesel był za ciężki na otwartą wojnę, od czasu ich pierwszego pojedynku na Jelonkach nabrał chyba ze trzydzieści kilogramów masy, więc Marek nie dał się sprowokować. Zaczepił go jeszcze paroma ciosami, czekając na koniec rundy.

– Zajebicie – krzyknął ktoś z boku.

– Super robota, panowie.

Ktoś klasnął, potem drugi i pożegnała ich burza braw. Jedynie gdzieś z bardzo daleka usłyszeli jakąś drobną uwagę krytyczną. „Pierdolone psy”. Zeszli z ringu, pożartowali z innymi trenującymi, po czym ruszyli do szatni.

– Chyba się zorientowali – mruknął Diesel, upewniwszy się, że nikt ich nie słyszy.

– Niemożliwe – zapewnił Marek.

– Może powinniśmy dać se siana?

– Dlaczego?

Diesel wzruszył ramionami.

– Za wysoko to idzie. Jeszcze ten Łysy by przeszedł, ale Corpo, Duży Miś i ten czubek z resortu... to po prostu wcześniej czy później wymknie się spod kontroli. Nie pozwolą nam tego zrobić.

– Nie będziemy nikogo pytać.

– Łatwo powiedzieć.

– Już tak bywało.

Diesel nie był przekonany. Pokręcił głową.

– Zamiotą pod dywan, a nas zajebią.

Marek zamarł, a potem zakończył:

– No to zajebią.

37.

Chuj z tą lampą. Wciąż denerwowała Łysego, ale musiała mieć jakąś magiczną ochronę. Kilka dni po bójce z Dieslem nad Zegrzem wynajął dwóch chłopaków, żeby się pozbyli tej kurewskiej lampy, ale wzięli kasę i więcej ich nie widział. Kurwa, sami niehonorowi złodzieje. Uznał, że widać tak musi być, a może Gościu go jakoś ułagodził, bo w piątek czekał przed biurem z nowiuteńkim Harleyem.

Łysy zawsze marzył o takim motorze, teraz nawet było go na niego stać, ale jednak za własne kupić, to szkoda. A tu proszę, Gościu dobrze zrozumiał jego sugestie.

– Przejedziemy się?

– Czemu nie.

Pojechali za miasto, trochę pojeździli opłotkami, aż w końcu trafili na polanę, gdzie czekał samochód Gościa – limuzyna BMW.

– Poradzisz sobie? – zapytał Gość.

– Pewnie – Łysy wziął kluczyki i poczuł przyływ adrenaliny. Gość odjechał, a on miał wszystko. Naprawdę wszystko. No, może poza tą cholerną Andżelą, która jeszcze się opierała, ale jak go zobaczy na harleyu to na pewno się posika w majtki.

Andżelę poznał na jednym z eventów firmowych zorganizowanych przez spółkę, której bardzo zależało na dobrych relacjach z Łysym. Nie zamierzał jej ulec, bo miał wystarczająco dużo przyjaciół, a tamtych zwyczajnie nie było na niego stać i nie mieli argumentów prestiżowych, ale postanowił pójść na przyjęcie tak z przekory. I okazało się, że to było zrządzenie losu, bo wysoka, piękna blondynka od razu wpadła mu w oko. Miała posągową figurę, niezwykle kształtne ciało, biodra, piersi, nogi jak kolumny, usta mięsiste i stworzone do seksu, w ogóle była wspaniała. Pracowała w tej firmie w dziale marketingu i Łysy od razu się złamał. Przyjaciół w końcu nigdy za wiele... Andżela dała się zaprosić na kolację i nawet pocałować, ale kiedy próbował zdobyć choć pierwszą bazę, od razu zaprotestowała.

„Ja nie z takich. Jeśli chcesz czegoś więcej, musisz się trochę postarać” – powiedziała, czym jeszcze bardziej zyskała jego szacunek. Nie lubił tych wszystkich łatwych dziewczynek, które mu podtykano. Andżela była cnotliwa, bardzo religijna, wspaniała. Ideał.

Prawie, bo jednak mogła trochę odpuścić z tymi zasadami. Choć odrobinę. Pierwszą bazę zdobywał przez tydzień, kolejny spędził na okopywaniu się i przygotowaniach do szturm na drugą, ale zanim podjął bardziej zaplanowaną próbę, nastąpił kontratak.

„Jeśli myślisz, że jestem łatwa, lepiej żebyś sobie odpuścił” – powiedziała mu na ostatniej kolacji. – „Interesują mnie trwałe związki.”

„Mnie również” – odparł.

I wciąż był pewien, że to ta jedna jedyna.

Na dodatek bardzo lubiła motocykle.

Sprawdzimy od razu, jaki wywołasz efekt – pomyślał i ruszył pod adres Andzeli na swoim nowym rumaku. Jak dobrze pójdzie, to jeszcze dziś poproszę cię o rękę. A jak będziesz grzeczna, to ślub zorganizujemy choćby na Malediwach.

38.

– Czemu nigdy nie mówisz o sobie?

Właśnie skończyli się kochać w jego samochodzie zaparkowanym w ustronnym miejscu koło zamkniętej szkoły, gdzieś na peryferiach Warszawy. Trochę była zaskoczona tym miejscem, nawet odrobinę zła, że ściąga ją tutaj, ale szybko dała się udobruchać. W sumie to jej chyba bardziej na nim zależało, niż odwrotnie.

Marek poczekał, aż z niego zejdzie, włoży majtki, poprawi spódnicę, sam zapiął rozporek i przeczesał włosy, spoglądając w lusterko, a dopiero potem odpowiedział:

– Co chcesz wiedzieć?

Wszystko – cisnęło się jej na usta. Ale podeszła do niego z innej flanki.

– Ja ciągle opowiadam, ty słuchasz.

– Pytaj!

Zawahala się.

– Dziwnie się czuję, bo nie o to chodzi, żebym pytała. Po prostu... chciałabym coś o tobie wiedzieć, sama nie wiem, czym się

dokładnie zajmujesz poza tymi badaniami na uczelni, bo przecież mówiłeś, że to tylko tak przy okazji... Wiesz, powinieneś coś powiedzieć, skąd pochodzisz, coś o rodzinie, przyjaciółach...

Marek przygryzł wargę.

– Okłamałem cię – szepnął.

Nie wydawała się zaskoczona.

– Z czym?

– Nie pracuję na uczelni. Te badania były oszustwem.

– Nie rozumiem...

– Zobaczyłem cię z córką i bardzo chciałem poznać – skłamał. –

Dlatego wymyśliłem te badania, wziąłem psa od córki kuzynki, resztę znasz.

– Więc mnie sobie upatrzyłeś? – wydawała się zszokowana, ale nie wiedziała czy negatywnie czy pozytywnie.

– Tak, bardzo chciałem cię poznać.

– Jestem ofiarą?

Sam się zastanawiał, ile jej powiedzieć.

– Nie. Raczej bym powiedział: ocaloną.

Roześmiała się.

– No tak, trudno to było ująć inaczej.

Marek zamknął oczy.

– Tak naprawdę prowadzę bardzo dziwną działalność, którą ciężko sklasyfikować. Dla tej uczelni, na którą się powoływałem, też pracowałem, nawet wszedłem z władzami w bardzo bliskie relacje, z rektorami i dziekanami, stąd dostałem legitymację, ale jednak moja działalność polega na czymś zupełnie innym.

– To znaczy?

– W dużym skrócie to kojarzenie ze sobą różnych opcji, które pozornie nie mają ze sobą związku i nie zależy im na zmianie tego stanu rzeczy.

– Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem.

– Staram się przekonać na przykład dwie skonfliktowane strony, że lepiej będzie im współpracować niż rywalizować. Także w miejscach, gdzie wydaje się niemożliwe zakończenie wojny. Pieniądze nie lubią sporów.

– To chyba dobre.

– Chyba. Też tak uważam. Na przykład w polityce niektórzy się strasznie konfliktują, podczas gdy dużo więcej mogą osiągnąć, rozmawiając i dochodząc do kompromisu.

– Fajnie. A jak się nie udaje?

Marek uśmiechnął się promiennie.

– Zabijam ich.

– Kogo?

– Winnych. Pozbywam się tych, którzy nie chcą kompromisów.

Chyba dała się nabrać, bo pobladła.

– Żartuję przecież – dodał. – Zamiast zabijać wywożę za granicę i staram się przekonać do zmiany zdania. Tam jest łatwiej.

– Za granicą?

– Tak, w biurach jakoś ciężko im idzie myślenie. Nad basenem, w pięknych okolicznościach przyrody, przy pełnym słońcu jest dużo lepiej.

Pokiwała głową.

– Słońce zmienia ludzi. Witaminy.

– Księżyc również. Morze i pustynie. Dzikie zwierzęta, egzotyka, dobre jedzenie. Zapewniam wszystko, czego potrzebują moi rozmówcy do zmiany decyzji.

Zabrzmiało to jakoś tak sarkastycznie, chyba nie chwyciła sensu tej wypowiedzi, więc wolała uciec w inny, bardziej interesujący ją temat.

– A w życiu osobistym? Nie masz żony, dzieci? Miałeś kogoś ważnego? A jeśli nie, jak to się stało, że jesteś sam?

– Miałem kiedyś kogoś, ale to się skończyło.

– Dlaczego?

– Zginęła.

Zamarła. Czy powinna dalej pytać?

Marek sam zastanawiał się, czego by chciał. Opowiedzieć jej o wszystkim? Raz na zawsze wyznać, kim jest, co robi, dlaczego? Opowiedzieć o Lenie?

- Była wyjątkowa, inna od wszystkich. Żyła dniem dzisiejszym, nigdy nie rozmawiała o przeszłości i przyszłości. Nie chciała takich pytań i sama też ich nie zadawała. Liczyła się chwila. Tu i teraz. Ciężko z taką osobą nawiązać bliższą relację, a jednak wydawało mi się, że przez chwilę byliśmy bardzo blisko, że się rozumieliśmy, że mogliśmy na sobie polegać. Ona... czułem, jakby była jakimś moim lustrzanym odbiciem. Bardzo... lubiłem ją.

- Kochałeś?

- Pewnie tak.

- Co się stało?

Powiedzieć czy nie? Jak powie, może będzie poczuje ulgę? Przecież żona Rudego tego nigdy tego nie wykorzysta. Jeśli ktoś ich podsłuchuje, to może w końcu dostanie prosto w oczy prawdę?

- Ona wprowadziła mnie do zawodu. Dzięki niej poznałem najważniejsze zasady i ludzi, którzy mnie dalej uczyli, wprowadzili mnie do kolejnych etapów wtajemniczenia. A potem współpracowaliśmy jak partnerzy. Pomagała mi, jeśli jej potrzebowałem. Pewnego dnia poprosiłem, żeby pojechała do pewnego człowieka, żeby zgodziła się na takie prywatne... konsultacje. Ten człowiek był moim dobrym znajomym, można powiedzieć także prawie przyjacielem. To znaczy udawaliśmy

przyjaciół, bo nam było tak wygodnie, zawodowo byliśmy jeszcze bliżej, uważano nas za współników, najbliższych współpracowników, wydawało mi się, że polegamy na sobie. W każdym razie miał specyficzne podejście do biznesu i do ludzi.

- Co znaczy specyficzne?

- Traktował innych jak rzeczy. Lubił robić ludziom krzywdę.

- Nie rozumiem...

- Był socjopata. Człowiekiem, który nie ma żadnych uczuć i nie rozumie, że jego zachcianki mogą innym sprawiać przykrość, ból, cierpienie...

- I ty się z nim przyjaźniłeś?

- Wtedy nie wiedziałem jeszcze, kim jest. Przynajmniej... udawałem, że nie wiem.

Zawahała się. Chyba nie była pewna, czy powinna kontynuować tę rozmowę. Sam podjął:

- Lena, tak miała na imię.

- Ładnie.

Skinał głowę.

- Poprosiłem ją, żeby pojechała z moim przyjacielem na pewną... konferencję, bo sam nie mogłem. Spełniła prośbę, a że lubiła chodzić swoimi ścieżkami, nie posłuchała moich ostrzeżeń. Tydzień później znaleziono ją w lesie. Powiesiła się.

- Boże. Zabił ją?

Marek pokręcił głową.

- Nie, miał żelazne alibi. To było samobójstwo.

Przełknęła głośno ślinę.

- A jednak go obwiniasz, prawda?

- Nie wiem, co jej zrobił, czy to była krzywda fizyczna czy psychiczna, ale to była jego robota. Co innego jest jednak gorsze. Wiesz, ja tak naprawdę czułem, że on jest zły, że krzywdzi

kobiety. Byłem wcześniej u niego w domu na kolacji i widziałem, jak zachowując się żona i dzieci. Potem kilka razy... no wiesz, bywaliśmy w różnych klubach i kobiety, które z nim były, zawsze zachowywały się dziwnie. Ja czułem, że on jest sadystą. Właściwie byłem tego pewien, aiedziałem to. A jednak wysłałem do niego Lenę, oszukując się, że jej nie ruszy. Jestem chyba bardziej winien niż on. Bo; u niego to jakiś defekt osobowości, a u mnie... sam nie wiem... strategia, głupota, błąd?

- Nie zostawiłeś tak tego, prawda?

Uśmiechnął się.

- Nie. Ale i tak zrobiłem za mało.

- I nic już nie będzie tak samo?

- Właśnie.

39.

W samolocie do Vegas zajęli całą klasę biznes. Płaciło Corpo, poza gośćmi z Polski było trzech pięknych menedżerów z korporacji. Marek bardzo się starał zachować obojętność, ale miał wrażenie, że to się nie udaje. Może to przez Monikę, wyraźnie zdenerwowaną i chyba żalującą, że dała się namówić. Kilka dni wcześniej Marek podszedł do niej przed domem i poprosił o chwilę rozmowy.

„Bardzo potrzebuję, żebyś ze mną pojechała” – powiedział. – „Kilka dni, żadnych zobowiązań, jako asystentka.”

„Po co, skoro żadnych zobowiązań?”

Nie odpowiedział wprost.

„Potrzebuję cię.”

„Skończyłam z wyjazdami. Mam chłopaka.”

„Wiem.”

„Więc po co przyszedłeś?”

„Bo wiem, że tobie też tego brakuje.”

Miał rację, brakowało jej Marka, nie mogła już wytrzymać z Johnym. Zresztą zdążyła już zdradzić go ze trzy razy z przypadkowymi mężczyznami, w tym z jego rzekomo najlepszym przyjacielem, czego ten głupek nie zauważył.

Miała wyrzuty sumienia, ale robiła to. Nie potrafiła powiedzieć dlaczego. Myślała o tych swoich zachowaniach jak o chorobie, skażeniu, genetycznej wadzie. Była to forma nimfomanii, więc trudno uznać ją za normę. Oskarżała też za każdym razem Muzyka, jednak czy rzeczywiście szczerze? Czy miała do tego prawo? Czy jej obecną rozwiązłością i zdecydowanie odbiegającymi od normy potrzebami należało obciążać na tego „pierwszego nauczyciela”? Fakt, że wybudził ją ze śpiączki miał o tym przesądzać, decydować? Pewnie że tak! Zgodziła się i siedziała teraz w tym samolocie obok Marka, śmiejąc się z nieśmiesznych żartów faceta, którego Marek nazywał Gościem, a który rzeczywiście wyglądał jak Gościu z tego filmu braci Coen i reprezentował płatnika – firmę Corpo. Że też w takiej wielkiej korporacji zatrudniają długowłosych, brodatych, zaniedbanych menedżerów przypominających lumpów.

Na szczęście Gościu niespecjalnie się nią interesował, dużo bardziej skupiając uwagę na pozostałych klientach, głównie Łysym i Rudym.

Marek był wyraźnie nie w sosie. Monika nie potrafiła wyczuć dlaczego, bo też nie wiedziała o jego rozterkach. Dziwnie jest lecieć w jednym samolocie z klientem, któremu się puka żonę – myślał tymczasem Marek, nawet jeśli ten facet tę żonę już zostawił i tak naprawdę nie ma z nią nic wspólnego. Ale ciekawe jakby zareagował, gdyby Marek mu powiedział? Kto wie, może by mu coś poradził, a może pogratulował i życzył szczęścia. Przecież

to, że jemu się nie udało, wcale nie musiało oznaczać czegoś złego. Marek wiedział, że Rudy zakochał się w innej kobiecie i to był główny powód jego rozstania z Brunetką. Wiedział też, że ich relacje są cywilizowane, poprawne. Istniało więc całkiem duże prawdopodobieństwo, że zareagowałyby na nowe informacje w taki sam sposób.

Tyle że Marek ani nie chciał, ani nie mógł powiedzieć mu prawdy. A gdyby to zrobił, z pewnością Rudy by się wściekł. Bo jednak akcja Marka nie mieściła się w żadnych normach. Także narzuconych przez jego prawdziwych mocodawców. Gdyby się dowiedzieli, złapaliby się za głowę i orzekli:

„Co ty odpierdoliłeś?”

Pomyślał o Dieslu i jego kobiecie, może żeby się usprawiedliwić. Oni też mieli bardzo nieciekawą relację, wiele skomplikowanych problemów do rozwiązania i też prywatnie wchodziła im w konflikty zawodowe. Co poradzić, czasem serce nie wybiera. Przecież nie planował tego seksu z żoną Rudego. No, może trochę.

– Cześć, mogę? – wyrwał go z zamyślenia w połowie lotu Rudy.

Akurat Gościu poprosił Monikę, że chce ją przedstawić Łyseму, Rudy nie miał się gdzie podziać, więc przyszedł do Marka.

– Pewnie – Marek wskazał miejsce Moniki. Rudy usiadł.

Nie dość, że dymałem ci żonę, to jeszcze teraz siedzisz na miejscu osoby, która wydyma ci największe aktywa i to tylko po to, żeby na koniec wydymać całego ciebie – pomyślał. Żebyś został tu jedynym frajerem.

– Marek.

– Rudy – przedstawił się ksywką.

Mocno uścisnęli sobie dłonie. O dziwo uścisk Rudego był bardzo silny.

– Gościu mówił, że boksujesz – zagadnął Rudy.

– Trochę – przyznał Marek. – Amatorsko.

– Lubię boks, ale wolę karate.

– Trenujesz?

– Od piętnastu lat.

Groził mu? To miało coś znaczyć?

– Karate pozwala mi się oderwać od rzeczywistości. Jest bardziej filozoficzne niż boks.

– Mordobicie jak mordobicie – skwitował Marek, gryząc się w język, żeby nie dodać: „pierdolenie to zawsze pierdolenie, bez względu czy swoją żonę czy cudzą.”

Przez chwilę oczami wyobraźni zobaczył nową partnerkę Rudego. Równie atrakcyjną jak Brunetka pracownicę jednego z ministerstw. Bezdzienna, wolna. Wymienił na młodszy model – orzekł jego informator, ale to nie była prawda, bo Marek wiedział już, że pomiędzy Brunetką i Rudym po prostu coś nie zagrało i się skończyło.

Dopiero potem pojawiła się ta druga, czego Brunetka nie dostrzegała. Niestety, tak to już jest, że zawsze zwalamy winę na innych, nie potrafiąc dostrzec własnej. Mimo wszystko dziwnie się czuł z tymi wszystkimi myślami.

– Słyszałem o twoich wyjazdach – powiedział w pewnej chwili Rudy. – Same dobre opinie.

– Mam nadzieję, że teraz też nie będziesz zawiedziony.

– Na pewno. Już jestem zadowolony.

– Cieszę się.

– Lecę, cześć.

Uścisnęli sobie dłonie i Rudy odszedł do Gościa i Łysego, którzy prześcigali się w komplementowaniu i uwodzeniu Moniki. Marek mógł zamknąć na chwilę oczy i oderwać się od rzeczywistości. Zobaczył małego chłopca, który siedząc na nasypie kolejowym,

zastanawiał się, czy nie rzucić się pod nadjeżdżający pociąg. Kilka godzin wcześniej przyszła sąsiadka i powiedziała, że jego mama zginęła na torach. On nie mógł tego zrozumieć. Jak to się mogło stać, taki wypadek. I teraz sam siedział na torach i też chciał się rzucić, bo nie wierzył, że coś lepszego może go czekać.

Mama dbała o niego. Ojciec interesował się tylko pić. Ona była inna, dobra, ale musiała przez ojca więcej pracować, jeździć po świecie, żeby handlować różnymi towarami. I przez to zginęła. Chłopak nigdy nie wybaczył ojcu, uznał, że to jego wina. Potem rozważał nawet żeby zabić starego, ukarać go., ale potem przeszło mu. Jego sąsiad, rówieśnik, powiedział mu, że to wszystko co wokół nie ma znaczenia, liczy się tylko jego wnętrze. To jest najważniejszy świat. Ten chłopak to dopiero miał u siebie prawdziwy horror: ojciec pijak codziennie lał mamę, a jednak wytrzymał. Marek też stwierdził, że wytrzyma. Postanowił coś osiągnąć, stać się najlepszym we wszystkim. W nauce nie bardzo potrafił; przynajmniej nie tak od razu, bo szkolny program go zwyczajnie nie interesował, więc zaczął od boksu. Zwykłych bójek. Chciał pokazać na osiedlu, że nie można z nim zadzierać i szybko zyskał sławę chłopaka, którego lepiej nie prowokować. A potem wchodził na kolejne poziomy. Dużo czytał, szczególnie biografii znanych osób, przez co potrafił się wyróżnić i ominąć szkolne rafy. Potem nagle wszystko się odmieniło i w szkole też zaczął zbierać te czerwone paski, a nawet stypendia. To wówczas postanowił osiągnąć najwyższe możliwe szczyty.

Pewnie ta śmierć mamy też trochę sprawiła, że patrzyli na niego ulgowo. Uczył się zatem takich rzeczy, których inni się nie uczyli, zapisał się na kursy językowe, pokazywał ile jest wart.

Aż w końcu na jego drodze pojawił się ktoś wyjątkowy i podał mu dłoń. Siwy? A może ten następny ktoś? Gdyby nie on, nie

byłoby Marka. Dał szansę stać się kimś szczególnym. Szansę wyczekiwaną przez Marka, która musiała przecież nastąpić. Wiedział, czuł w swoim wewnętrznym świecie, że nadejdzie.

– Pobudka – otworzył oczy i zobaczył tuż nad sobą zatroskaną twarz Moniki. – Miałeś chyba zły sen. Zaraz łądujemy.

Zły sen. To wcale nie był zły sen – pomyślał. Wręcz przeciwnie, sen był dobry.

To, co tu się dzieje, to jest zło.

40.

Bezczelną ustawkę zrobili w tym kasynie. Wynajęli salkę do prywatnej rozgrywki w pokera i udawali, że wszystko jest grą, zabawą. Łysy udawał najlepiej. Opłaciło mu się. Na koniec zebrał żetony, wymienił je na żywą gotówkę, zapakował do walizki i był już bardzo szczęśliwym, bogatym człowiekiem. Jak chłopak z reklamy, który przybywa do Las Vegas bez grosza, a wyjeżdża jako milioner. Sen zza oceanu.

Pozostali udawali, że wszystko gra. Marek zastanawiał się, jak to po latach zostanie ocenione przez amerykańskich przyjaciół. Pamiętał kilka podobnych spraw. Szczególnie wbiła mu się w pamięć kwestia łapówki przy obsłudze hazardu w Polsce. Firma chyba z Teksasu czy innego Kansas oficjalnie wpisała sobie w koszty dwadzieścia milionów dolarów łapówki przekazanej urzędnikom w Polsce, rzekomo tym najwyższym, ale jako biorca wpisany był tylko jeden dyplomata. Z imienia i nazwiska. Kto przy tych restrykcyjnych przepisach przyjął, że to przejdzie, że nikt się nie przyczepi? Może ten sam, który później zapewniał różnym politykom z zupełnie innej opcji niż ta, która wzięła łapówkę, darmowe gify, jak na przykład przeloty prywatnymi samolotami.

„Pamiętaj, że wtedy na potęgę szła korupcja w Panamie, na Kubie, w Meksyku, Azji, krajach afrykańskich, innych republikach bananowych, gdzie nie spojrzysz. Polska nie była wyjątkiem. Korporacje musiały się rozwijać. Przestali przejmować się pozorami. Nie było też tak restrykcyjnych przepisów. Przecież to zostało zapisane jako wydatki marketingowe. Żadna korupcja.”

Gościu tłumaczył te swoje Corpo, ale jednak chyba sam był krytyczny.

„Jesteśmy po jednej stronie barykady” – dodał.

Więc jak traktować tego Łysego i że na tyle mu pozwalamy – miał ochotę zapytać Marek. Przecież już dawno można było go zdjąć. Przerwać cały ten ciąg niebywalej niekompetencji i piramidalnych nadużyć. Mieli masę dowodów. Czemu więc wciąż chodził na wolności, a oni dokumentowali kolejne przestępstwa, część wręcz prowokowali? Jaki sąd to kupi? O co w tym wszystkim chodziło?

„Nie bądź naiwny. To, że Łysy bierze, to jedno, ale korporacja swoje musi zarobić. Uczciwie, bez łapówek, na normalnych usługach. Corpo to najlepszy sprzęt na świecie, nie psuje się i nie będziecie żałować. Nie patrz na Łysego, to mało ważny szczegół” – wyjaśnił Gościu.

„Ten mało ważny szczegół zrobi nam reklamę republiki bananowej na cały świat.”

„Skoro nią jesteśmy.”

„Nie chcemy nią być.”

„Jesteś pewien? Przecież naszym rządowi pasuje legislacyjny chaos, potężna władza urzędników niższego szczebla, cały ten biurokratyczny burdel, brak inwestycji, technologiczna zapaść i rozdawnictwo. Przecież my nie chcemy mieć nowoczesnego państwa, tylko jako takie, żeby jakoś to tam działało, byle

z poparciem Ameryki. Unię można okradać. Ameryka to nasi przyjaciele. Zapewnią nam obronę przed Wielkim Bratem.”

Marek nie był co do tego wszystkiego przekonany, ale przyjął argumentację przyjaciela. Wieczorem pili w pokoju Gościa do rana. Umiejętności Moniki, o dziwo, w ogóle się nie przydały. Skończyli nad ranem.

Ledwo ciepły szedł do swojego pokoju, gdy nagle odniósł wrażenie, że drzwi Moniki są niedomknięte. Pchnął je i wszedł do środka. Monika siedziała na łóżku. Nie spała. Czekała na niego.

– To nie jest dobry pomysł – wybełkotał.

– Więc po co tu przyszedłeś?

41.

Olo zadzwonił wieczorem następnego dnia.

– Mareczku, słońce, to prawda, że świecisz w Nevadzie?

– Tak, jestem w Vegas.

– A nie przeleciałbyś się nad Wielkim Kanionem z moimi dobrymi znajomymi? Duży Miś pięknie prosi.

Marek skrzywił się z niechęcią.

– Nie dam rady, jestem z Corpo.

– Wiem, wiem, rozmawiałem z Gościem. Mówi, że wszystko już załatwione, że zaraz wracają i nie będziesz potrzebny, więc jakby co, on nie ma nic przeciwko. Dobrą flaszkę postawię.

No tak.

– Zmęczony jestem. Poza tym mieliśmy już wracać.

– E tam, przebukujesz bileciki? Nie takie rzeczy się robi dla dobrych klientów, prawda? Przecież o przyjemnościach rozmawiamy. Gdybym cię na jakąś wojnę wysłał, to co innego, ale tu same przyjemności, no nie bądź taki. Blisko jesteście,

zresztą na lotnisko dowiozą cię z hotelu. Masz tam naszą Moniczkę pod ręką?

Gościu musiał wszystko Olowi wyklepać. Nie było sensu dalej się opierać.

– Nie daj się prosić. Dobry to będzie przelot. Super śmigłowce z najwyższej półki, tylko trzeba się jeszcze o wieczór zatroszczyć, bo narzekają, że dzień to mają wypełniony po brzegi, a noce... jakoś takie puste. Dla Techkomu. Zawsze prosiłeś, że jak coś dla nich będzie, to żebym cię w ciemno pisał.

– Techkom – powtórzył Marek. Więc wchodził na najwyższy poziom, choć w sumie niektórzy mogli uważać za takich Łysego i ministra. Techkom to jednak było coś wyjątkowego. Jedna z największych polskich firm. Miliardy w grze. Biznes na skalę międzynarodową. Nie mógł tego odpuścić. – Dobrze, polecimy.

– Wiedziałem, że cię przekonam.

42.

Asystentka nie miała problemu, żeby wprowadzić do budynku ministerstwa swojego chłopaka. Raz już nawet uprawiali seks w tym budynku, co prawda w toalecie, bo w sekretariacie bali się ukrytego podsłuchu czy kamery, ale zawsze. Zaliczone, jak miłość w samolocie, pociągu, lesie, wodzie, na dachu, w kinie, w ogródku sąsiadów. Uwielbiali zaliczać niecodzienne lokacje, a strzeżony budynek ministerstwa zdecydowanie się do nich zaliczał.

„Będzie o czym dzieciom opowiadać” – komentował jej chłopak.

Był trochę hipisem, trochę hipsterem i bumelantem. Nie chciał pracować (komu w dzisiejszych realiach się chce pracować?), więc ona musiała zadbać o pieniądze. Takie czasy, wszystko na głowie kobiet.

Tym razem jednak ściągnęła chłopaka nie po to, żeby się z nim kochać, o nie.

– Muszę ci coś pokazać.

Odczekali w jej pokoju, aż pozostali pracownicy wyjdą z pracy, a potem asystentka wzięła narzeczonego za rękę i poprowadziła do gabinetu ministra.

– Tylko cicho – przycisnęła palec do ust.

Weszli do pustego o tej porze sekretariatu, a następnie asystentka zapukała do drzwi ministra. Gdy po drugim, nieco głośniejszym pukaniu nie było odpowiedzi, nacisnęła klamkę.

Minister spraw wewnętrznych siedział za stołem konferencyjnym bez najmniejszego ruchu, wpatrzony w jakiś nieokreślony punkt w ścianie. Nie mrugał powiekami, oddychał równomiernie, jakby spał.

– O kurwa! – przeklął chłopak.

– To jeszcze nic – szepnęła i pociągnęła go dalej.

Podeszli do ministra na odległość ramienia, chłopak się zaparł i wystraszył, a potem patrzył jak urzeczony, gdy jego dziewczyna przecina dłonią przestrzeń przed oczami ministra.

– Ja pierdołę – mruknął, drapiąc dredy. – Co mu się stało?

– Nic, zawiesił się.

43.

Helikopter przyspieszył i zanurkował w kierunku jeziora Mead. Monika miała wrażenie, że spadają i zaraz się rozbijają. Płozy niemal muskały tafle wody. Pilot błyskał do niej wesołym uśmiechem. Gdy godzinę wcześniej pili szampana i jedli przekąski na dnie Kanionu, niby mimochodem powiedział jej, że mogą w nocy zrobić specjalny przelot, tylko we dwoje. Niestety te atrakcje były już zarezerwowane dla pozostałych pasażerów – pomyślała z żalem, bo pilot był, jak to tu mówili awesome i very

handsome and sexy. Czego nie można było powiedzieć o siedzącym na dwóch fotelach pasażerze – dyrektorze z Techkomu. Facet ważył prawie 180 kilo i trzeba mu było wykupić dwa miejsca. Monika trochę obawiała się, że będzie musiała sobie poradzić z tym ciałem w nocy.

– Pani Moniko, a pani jak sądzi, lepszy jest krótki pin czy długi puk? – wyrwał ją z zamyślenia inny klient, równie brzydki jak ten grubas, za to zdecydowanie bardziej obleśny. Monika uznała, że już wolałaby wylądować z tym tłuściochem. Wyglądał na miłego faceta.

– Pewnie coś pomiędzy – westchnęła.

Mężczyźni roześmieli się.

– Pomędzy to jest jedno wielkie nieporozumienie międzyoperatorskie. Jak w roamingu.

– Co to znaczy?

– Jakby tu pani wytłumaczyć – obleś oblizał usta znacząco. Więc jednak to on. – Roaming to jak swingowanie.

– Każdy z każdym?

– Pięknie to pani ujęła, pani Moniczko. Bardzo pięknie.

44.

Nad warszawskim Wilanowem zachodziło w ferii płomiennych barw sierpniowe słońce, gdy Duży Miś podjechał na plac budowy. Właśnie odebrał telefon od Ola, który przekonywał, że kontrakt z Techkomem jest na dobrej drodze i nie będzie trzeba używać żadnych większych nacisków, bo on załatwi go swoimi sposobami.

„Oby” – uciał Duży Miś. – „Odpowiadasz za to.”

„Jasne szefie.”

„Bo wiesz, że jakby coś, to ja nacisnę tu i tam, no ale wtedy... premii nie będzie.”

„Jasne. Wszystko zrozumiałem” – zapewnił Olo. Uparł się, żeby obsłużyć ten kontrakt, choć Duży Miś wolałby chyba dogadać się z wpływowymi Francuzami, na których miał bezpośrednie przełożenie, a którzy z kolei mieli swoje wpływy w koncernie. Uległ Olowi, bo ten ciągle pieprzył te swoje: „po co z armaty do wróbla”. I podkreślał, że na pewno tak będzie taniej. Zdecydowane opcja francuska była kosztowniejsza, inna skala korupcji. Inne też metody.

„Działaj” – zakończył, westchnął po raz ostatni licząc, że podczas wizytacji nowego apartamentowca będzie miał tylko przyjemne wrażenia.

To była jego najnowsza i najbardziej prestiżowa inwestycja. Oficjalnie warte prawie dwieście milionów luksusowe osiedle dla wyższej klasy średniej. Przestronne, widne apartamenty wybudowane według najnowocześniejszych architektonicznych wzorców, dużo zieleni, przestrzeń, zupełnie nowa jakość. Oczko w głowie Dużego Misia. Żeby to wybudować musiał się bardzo napracować i nachodzić po urzędach. A to też kosztowało, na dodatek nie na fakturę. Nie było już tak łatwo jak w pięknych latach dziewięćdziesiątych, latach wolności, w których dawało się jednemu i wszyscy inni się już uśmiechali. Teraz obilo się o konsultacje społeczne, analizy komputerowe, negocjacje z architektem, który sam doradzał złamanie prawa, bo inaczej się nie da... Kurwica Dużego Misia brała, co też narobili w tym państwie urzędowi mafiosi. To dopiero była cosa nostra. Gdyby nie taki kolega, jeszcze większy Miś, pewnie by się nie udało. Na szczęście dziś byli już w domu. I to blisko sukcesu.

– Kiedy skończycie? – zapytał czekającego nań Inżyniera. Znali się od lat. Wszystkie inwestycje budowlane Duży Miś powierzał właśnie jemu. W ogóle był człowiekiem, który stawiał na ludzi

i darzył ich zaufaniem. Dzięki temu mógł na nich liczyć, byli mu bardzo oddani, czasem wręcz traktowali jak prawdziwego władcę, cesarza.

– Maksimum dwa tygodnie – zapewnił Inżynier.

– To już dwa miesiące opóźnienia. Konkurencja zaczyna mi dziennikarzy nasyłać, że niby coś mi się zawaliło.

– Sam wiesz, jakie były problemy. Dziś już jest bliżej niż dalej.

– Z dziennikarzami sobie poradzę. Jakies nowinki?

Inżynier wiedział jedno: prezes był bardzo wyrozumiały i oddany, ale nie znosił oszustwa i ukrywania problemów. Jedno niedopowiedzenie i wpadał w furję, jeśli nabrzmiewało. Bo dobrze wiedział, że dużo łatwiej zwalczać kłopoty w zarodku, a jeszcze lepiej stosować profilaktykę.

– Jest jeden problem. Ten architekt z Włoch zrezygnował z apartamentu narożnego.

– Nie odpowiada mu?

– Twierdzi, że jest za głośny.

Cholera, pomyślał Duży Miś, nie dość, że trzeba będzie Włochowi zapłacić gotówką, bo mieszkanie miało być formą gratyfikacji, to jeszcze rodzi się tu inny problem – prestiżowo marketingowy.

– W sumie ma rację, jest tuż nad ulicą – dodał Inżynier. – Moglibyśmy zrezygnować z jego sprzedaży, zrobić tam jakieś biuro czy przestrzeń ogólnie dostępną, może z czasem siłownię czy coś.

– Nie, wszystko musi być sprzedane! – zażądał szef.

Inżynier spuścił wzrok. Trudno mu było to obiecać, bo tego apartamentu po prostu nikt nie chciał nawet przy obniżonej cenie. Ale rozumiał też Dużego Misia. Prezes chciał ogłosić w mediach niebывały sukces, a jakby ktoś wyciągnął ten apartament, zaraz by się pojawiły głosy o kłamstwie, o problemach, może inni

zaczęliby przychodzić z pretensjami, że przepłacili. Kłopoty w biznesie lubią się spiętrzać. Jeden wywołuje efekt domina.

– Dobra, zrobimy inaczej – nagle orzekł prezes. To też była cecha, z której go znano; potrafił świetnie zarządzać dużymi projektami, spinać konsorcja, zestawiać oferty i organizować na dużą skalę. Wpadał też na genialne pomysły i od razu wdrażał je do realizacji. – Załatwię sprawę tego apartamentu.

Odszedł na chwilę na stronę. Wybrał na komórce numer prywatny do swojego przyjaciela, Ministra, przyłożył telefon do ucha. Adresat odebrał niemal natychmiast.

– Cześć. Co tam u ciebie?

Minister tradycyjnie westchnął, choć wiedział, że Duży Miś nie lubi narzekania.

– Dużo pracy.

– Pozdrowienia od Patrycji, świetnie pracuje.

– Dziękuję, cieszę się.

– Mam jeszcze jedną niespodziankę. Mówiłeś, że macie tam w ministerstwie kłopot z lokalami dla pracowników spoza Warszawy, prawda?

– No... tak – przyznał Minister. – Przez te unijne fundusze są duże roszady, ciągle kogoś mi tu ściągają i weź zapewnij wszystkim lokale i hotele.

– To przyda ci się apartament w Wilanowie, prawda?

Minister milczał przez chwilę.

– Budżetu już chyba zabra...

– A kto mówi o budżecie?! Dostaniesz za darmo, wydzierżawisz ministerstwu i jeszcze na tym zarobisz. A potem to jakoś rozliczymy.

Stary Pijak z podziwem patrzył przez okno limuzyny. Kierowca przyjechał po niego do siedziby partii i zabrał go w niezwykłą podróż do willi jednego z najbogatszych Polaków. Jebany wybudował sobie pałac w samym środku Parku Narodowego. Niby nie wolno, ale są wyjątki. Jedyny dom w takim miejscu w całym kraju, choć gdzieś pod Poznaniem podobno Jasiu czy inny Stasiu znaleźli jeszcze lepszą miejscówkę na wspaniały pałac. No, ale jeśli im się uda, to dopiero później, na dziś ten dom był jedyny w swoim rodzaju. I należał do wyjątkowej osoby.

Wyjątkowy człowiek, wyjątkowy dom – Pijak musiał też przyznać, że biznesmen załatwił to całkiem fair. Nawet specjalnie nie wykorzystał znajomości, a przecież miał w kieszeni i premierów i prezydentów. W zamian za zgodę na budowę oddał państwu bardzo duży i warty równie wiele, jeśli nie więcej, teren w innym miejscu. Teoretycznie społeczeństwo zyskiwało, bo mogło wybudować na tym terenie szkoły i boiska, czego w Parku przecież robić nie wolno. Tyle że nikt nie wspominał, że kontrakty na budowę dostał ten biznesmen. A może to tylko złe plotki...

Ręka rękę myje – westchnął Pijak. Las go rozluźniał, otworzył szybę i wdychał powietrze. Gdy już byli tak blisko, opadały niepokoje, bo jednak Pijak słyszał, że na gospodarza biznesmena było już kilka zamachów, dlatego bardzo dbał o bezpieczeństwo, choć głównie swoje. Pijak wspomniał wypadek sprzed roku, o którym mówiło się, że to był zamach właśnie na biznesmena. Zginął znany polityk, gość biznesmena.

Potem ktoś ubrał to w wypadek i dopisał do tego jeszcze seksualną historię, że niby polityk korzystał akurat z usług luksusowej prostytutki. Jeśli to prawda, to pewnie opłaconej przez gospodarza.

„Tyle razy korzystał, to ten jeden raz więcej też mógł” – skomentował generał policji, gdy Pijak poszedł z nim o tym

pogadać, bo uważał, że tak tej sprawy nie można zostawić. W cywilizowanych krajach...

Ech, tylko machnąć ręką na te tekturowe państwo. Gdyby nie tacy biznesmeni jak jego dzisiejszy gospodarz, nie byłoby na czym oka zawiesić. Chuj, dupa i kamieni kupa.

– Witaj, witaj! – zawołał od progu Biznesmen. Był otyły, jowialny, bardzo inteligentny. Biznes zaczął już robić za komuny, w państwowej firmie, jako dyrektor. Potem skorzystał z uwolnienia gospodarki, zakręcił się gdzie trzeba, koncesję dostał na ekskluzywne rzeczy i wystartował jak rakietą. Dziś obracał miliardami.

Lubili się. Dużo razem pili. Mieli dobre głowy do picia. A jeszcze lepsze do plotek.

Ochroniarze uważnie przyjrzeni się Pijakowi, ale nie odważyli się go sprawdzić. Biznesmen czasem narzekał, że obawia się trochę tych ochroniarzy.

„Służbom ufać nie można. Raz są z tobą, za chwilę przeciwko tobie. Sami sobie też nie ufają, ale ostatecznie potrafią się wszyscy sprzymierzyć i zdradzić figuranta. Tak nas nazywają. Brzydko nie?”

„Brzydko” – przyznał Pijak.

Biznesmen poprowadził go do mieszkania, usiedli przy suto zastawionym stole, a Pijak wciąż nie mógł wyjść z podziwu jak gustownie urządzono ten pałac w środku. Najwyższej jakości wykładziny i zdobienia, fortepian, obrazy mistrzów na ścianach, kryty basen, palarnia, biblioteka, nocny klub z bilardem, czego tu nie było...

– No opowiadaj, Stasiu, opowiadaj...

– Ech, nie ma co gadać, chuj, dupa...

– I kamieni kupa.

Roześmieli się.

– Nie tak całkiem – Biznesmen powiódł wzrokiem po salonie. Tutaj wyglądało to inaczej niż w gospodarce planowanej. – Potrzeba ci czegoś, Stasiu?

– Tylko wolności i spokoju – odparł Pijak.

Tak sobie gadali o niczym z godzinę, aż wódeczka, zimna, bardzo zimna, rozgrzała ich od środka, zaczęła dobrze wchodzić do głowy i wtedy Stasiu–Pijak zaczął Biznesmenowi sprzedawać najnowsze niusy, bo przecież po to przyjechał. Taka była jego rola, żeby wynieść plotki i sprzedać. Za to zostanie poklepany po plecach, za to nigdy nie będzie biedny, a w następnych wyborach i fundusze na kampanię też się znajdą. Stasiu–Pijak dużo wiedział, był w końcu kiedyś premierem. A co lepsze, próbowano go zrobić też szpiegiem. A od kogo więcej się dowiesz niż od szpiega? Czy prawda, czy fałsz, nieważne. Ważne, że się dowiesz.

– No więc wyobraź sobie, że to poszło jeszcze dalej.

– Co takiego?

– No z tym preziem. Mówiłem ci już o działkach na Mazurach i tej willi w Kazimierzu. Kurwa, kupili ją na... wiesz na kogo? Niby po przyjacielsku, ale przecież wszyscy wiedzą, kto tam rządzi, więc się tego nie zamiecie. A o lotnisku ci mówiłem, jak terminal budowali? Tam dopiero poszły wziętki. No mówię ci, całe osiedle wziętek. Jak mu się dobrać do dupy, to mówię ci, nie da się tego wyprostować. On się z tego majątku nigdy nie wytłumaczy.

– No tak, mówiłeś – odparł znudzony Biznesmen. Te wieści już ze trzy razy słyszał. Trochę nawet zdążył posprawdzać i nieco inaczej to w rzeczywistości wyglądało, choć jeśli chodzi o meritum, to było jak było. Jak to mówią: w każdej plotce jest ziarno prawdy.

– A coś nowego?

– Gdyby nie było, to bym nie zaczynał. To nachyl się teraz – poprosił Pijak, a kiedy Biznesmen się zbliżył dodał: – Teraz jeszcze Duży Miś mu apartament w Wilanowie podarował. Wyobrażasz sobie? Mówią, że nikt nie chciał kupić, to mu podarował. Też na słupa, takiego tam jednego ministra, ale na końcu to dla niego. Kurwa, ja już tego nie rozumiem. Apartament wziąć? Albo o tym Picassie słyszałeś? Na urodziny od Henia przyszedł do pałacu, a ten zamiast odesłać albo chociaż do rejestru wpisać, to go chapnął, pod łapę i do domu. Że niby zwykły obrazek. Picasso, zwykły obrazek, rozumiesz?

Długo jeszcze tak rozmawiali, dużo więcej przy tym wypili. Jeden z ochroniarzy stał przez cały czas przy wejściu, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Z tej odległości nie mógł podsłuchiwać. Zresztą nie chciał i nie musiał. Wszystko się dobrze nagrywało.

46.

Patrycja musiała chyba wyjść z Albercikiem, bo mieszkanie było pogrążone w ciemności. Monika wycieńczona, brudna i padnięta wtoczyła się do środka, zatrzasnęła drzwi, rzuciła na bok walizkę, nie rozpakowując jej i ruszyła w kierunku łazienki. Szybki prysznic i lulu. Siedziała pod strumieniem wody chyba z pół godziny, bo nie była w stanie się myć. Czasem szybki prysznic może zmienić się w takich chwilach w bardzo długi. Miała ochotę tam zasnąć, ale w końcu zakręciła kran, wytarła się, założyła pidżamę i szlafrok, i poszła do sypialni. Wtedy to poczuła... Jakiś bardzo dziwny zapach i świst powietrza. Ktoś siedział na podłodze oparty plecami o łóżko. Rozpoznała Johny'ego i postanowiła nie zapalać światła. Usiadła obok i przymknęła oczy.

– Śpisz?

Nie odpowiedział.

Boże, do czego ona doprowadziła.

– Pewnie nie chcesz ze mną gadać, co? Ktoś ci powiedział? Dowiedziałeś się o mnie? Jeden z twoich przyjaciół?

Pewnie tak, tacy to przyjaciele, że najpierw dorobią ci rogi, a potem jeszcze opowiedzą, żeby dodatkowo upokorzyć. Nie ma przyjaciół.

Sama nie potrafiła tego wytłumaczyć, ale zaczęła temu w sumie wciąż mało znanemu Johny'emu opowiadać o sobie, a jak zaczęła to chciała powiedzieć wszystko. Włącznie z Muzykiem.

– Dziesięć lat miałam, rozumiesz, dziesięć lat, a ten chuj przyszedł do mnie w nocy, ukradł żonie klucz, bo ta go pilnowała, wiedząc jaki to zbok, ale on znalazł sposób, ukradł i przylaźł do mnie i mówi: ...a teraz pokażę ci po co masz guziczki. Tak powiedział.

Wzdrygnęła się, ale wcale nie na wspomnienie. O dziwo, kiedy już zaczęła mówić, jakoś to szło. Było coraz łatwiej, więc opowiedziała o tych sześciu latach z Muzykiem, o tym, jak ją „uczył” miłości, jak pokazywał, jak władać ciałem i mężczyznami, jak ich wykorzystywać. Opowiedziała o swoim buncie i o tym, jak Muzyk pozornie spasował, a potem starał się jej pilnować, żeby do mediów nie poszła, żeby nie rozkręciła zadymy.

– Bo byłaby zadyma , mówię ci, wielka, gdyby się okazało, że taka znana postać, robiąca programy w dwóch telewizjach, gwałci małe dzieci. Byłaby taka zadyma, że by się cała branża nie pozbierała.

Drżała jej dolna warga. Johny milczał. Więc pewnie chciał jeszcze więcej usłyszeć, a z niej odpłynęło całe zmęczenie i poczuła się mocna w tych słowach, w mówieniu, w swojej chęci wywalenia całego szamba, więc powiedziała mu o Aktorze, o Eli, o Cannes,

o Marku, o dawaniu dupy za pieniądze, choć niby nie tak wprost, wreszcie o zdradach, o seksie z tymi wszystkimi mężczyznami, których nawet nie sposób spamiętać.

– Ja nie wiem, jak to się dzieje, ja tego nie rozumiem, to jest poza mną. Po prostu nie mogę się oprzeć, nie widzę żadnego sensu w tym opieraniu, tym bardziej, że mam ciągle chęć, większą od oporów. Nie wiem, czy pojmujesz, ale ciężko się z tym żyje, naprawdę ciężko... Wam się może wydawać, że to jakaś chcica, rozpasanie, że to wszystko dla przyjemności, ale nie zdajecie sobie sprawy, jak męczy, jak potem wypala. Źle mi z tym, Johny, bardzo źle...

Milczał. A ona

nie kłamała. Nie umiała sobie z tym poradzić. Jedynym sposobem było uleganie podszeptom diabła. To na chwilę dawało ukojenie. Tylko na chwilę.

Bo potem... znów się pojawiał ogień. Wolno narastał, rozpalał od środka, żądał ugaszenia. Jak teraz.

Zaczęła całować Johny'ego, chciała z nim seksu, nawet jeśli miałby to zrobić z nią ze złości, nawet gdyby to miał być ostatni raz, ale Johny nie odpowiadał na pocałunki. Usta Johny'ego były zaciśnięte, wargi zimne. Cały był zimny. Monika odskoczyła jak oparzona, podbiegła do włącznika i zapaliła światło.

I krzyknęła.

47.

Krew, wszędzie było pełno krwi. Jak ona mogła jej nie poczuć, nie zauważyć? Pewnie ze zmęczenia, bo przecież czuła, że coś pachnie inaczej, ale nie była w stanie zrozumieć, z czym ma do czynienia.

Siedziała teraz w szpitalu i ciągle myślała o tej krwi, którą była umazana, od której się lepiła.

Całe szczęście, że Marek był pod telefonem i zaraz przyjechał. Zbadał Johny'ego i ją uspokoił, że wszystko będzie dobrze, bo choć chłopak stracił sporo krwi, to podciął sobie żyły tylko dla zwrócenia uwagi, nieskutecznie. Gdyby chciał się naprawdę zabić, zrobiłby to w wannie. A tak... stracił przytomność, zrobiły się zakrzepy, przeżył, może nawet ten szpital był niepotrzebny, ale zadzwonili po karetkę na wszelki wypadek.

I teraz siedzieli razem na korytarzu, czekając na wieści od lekarzy

– To nie była jego pierwsza próba.

– Skąd wiesz?

– Dużo wiem.

– I co teraz? Co ja mam zrobić?

– Nie moja rzecz, ale jak go od razu nie zostawisz, to może mu się kiedyś uda.

– A jeśli robi to jeszcze raz przeze mnie.

– Nic nie poradzisz.

– Spróbuję.

– Po prostu zrób to.

48.

Andżela powiedziała tak. W cudnej scenerii rajskiej wyspy, tak jak o tym oboje marzyli.

Łysy był taki szczęśliwy.

Tańczył całą noc rozbawiony, bawili się z tatą i rodziną, a potem kochali się z Andżelą na wodnym łóżku i szklanej podłodze zatopionej w oceanie. Ech, jakby to sfilmować dla potomnych – myślał Łysy. Poniżej pływały kolorowe rybki

i ukwiały, a nawet ogromne płaszczyki i małe, lecz niezmiennie groźnie prezentujące się, rekiny. Oni się kochali, a pod nimi rekiny uzbrojone w ostre zęby, niesamowite!

Po pijaku to jeszcze im pasowało, ale zachwyty szybko przerodził się w znużenie. Fajnie, egzotycznie, ale na chwilę, a nie na dłużej.

Dobrze, że to tylko dwa tygodnie, pomyślał Łysy.

Razem z nimi na Malediwy przyjechali rodzice i paru przyjaciół. Niewielu, bo po co było się chwalić. Łysy wiedział, że trochę przegina, że jest nieostrożny, ale uznał, że ma wystarczająco mocne plecy, by sobie na takie szaleństwo pozwolić. Był na szczycie. Rządził, władał. Miał pod sobą cztery miliardy. A ten, kto ma taką kasę, może wiele, może wszystko. Trzeba z nim dobrze żyć, jak chce się trochę z tego uszczknąć.

Tutaj, na Malediwach, byli jednak z nim sami przyjaciele, najbliżsi z najbliższych.

Tylko jeden obcy – Rudy z jakąś swoją flądram. Łysy jej nie znał, całkiem ładna, wiedział tylko, że nie żona, bo u Rudego z żoną coś się sknociło. E tam, niech korzysta.

W końcu za wszystko płaci.

49.

Zapewniał, że jadą tylko odpocząć i Monika nawet przez chwilę mu uwierzyła. W samolocie nie było żadnych innych gości. Siedzieli w klasie ekonomicznej, jak zwykli turyści. Pierwszą noc spędzili w tanim hotelu w Bombaju. Potem przelot do Colombo i krótka wycieczka po Sri Lance. Zwiedzili jakieś świątynie, zgubili się w dżungli. Marek opowiadał jej o wojnie i o tym, jak spędził podczas niej tu cały rok w towarzystwie jakiegoś Anglika.

– Co robiłeś?

– Nie wolno mi o tym mówić.

– Że niby jakbyś mi powiedział, to musiałbyś mnie potem zabić?

– Dokładnie tak.

Kiedy przytuliła się do niego w hotelowej łazience, przed lustrem, pomyślała: że naprawdę dobrze razem wyglądają. Gdzieś przez głowę przemknęła jej myśl, że mogłaby się zmienić, gdyby byli taką prawdziwą parą. Gdyby Marek zechciał z nią być naprawdę. Byłaby w stanie zapomnieć o innych mężczyznach, oprzeć się pokusom, zachować wierność. Kłamała? Sama siebie okłamywała? Nie wiedziała. Ale też sam problem był czysto abstrakcyjny, bo nawet jeśli udawali parę, to nią nigdy nie będą. Nie mogła się oszukiwać. Choć, z drugiej strony, przecież warto marzyć...

Druga myśl dotyczyła przyjaźni. Mimo biznesowego charakteru ich relacji czy związku, jakkolwiek by tego nie nazywać, ona miała poczucie, że Marek mógłby dla niej zaryzykować życie, że naprawdę mu na niej zależało i nie chodzi o „aktywa”, o to, że dbał o swoje „narzędzie” pracy.

Nie, on naprawdę ją lubił. Nie tylko podczas miłości, którą uprawiali codziennie w tej podróży, ale podczas różnych banalnych czynności. Przeszło jej nawet przez myśl, że to nie tylko przyjaźń, ale i miłość.

A chyba nigdy dotąd nikogo nie kochała.

Skomplikowany związek, tak czy inaczej.

Nawet jeśli to wszystko robił tylko przez Johnny’ego, tylko po to, żeby wyzbyła się wyrzutów sumienia, zapomniała o tym nieszczęsnym chłopaku, była mu wdzięczna.

Chyba piątego dnia wsiedli w samolot i polecili na Malediwy. Zawieziono ich na wyspę, gdzie byli sami anglojęzyczni turyści, w większości z Kanady, USA i wysp brytyjskich. Nazywała się chyba Kandima albo jakoś podobnie. Marek udawał Bułgara,

mówił, że ma matkę Włoszkę. Ją brali z kolei za Rosjankę. Słabo mówiła po angielsku, więc starała się nie odzywać.

Dostali domek na plaży z własnym niewielkim basenem w rzędzie identycznych lokacji. Rano jedli pyszne massuni z tuńczyka i kokosu, na obiad pikantne curry i placki roshi. Nurkowali, pływali, chodzili na spacer, kochali się.

Monika prawie uwierzyła, że przyjechali tu odpocząć, aż do dnia, gdy w nocy nakryła Marka na robieniu zdjęć .

– Co robisz?

– Miałaś spać – wyraźnie się spieszył.

– ...ale nie śpię. Co to jest?

Aparat miał teleobiektyw i potrafił robić zdjęcia z bardzo dużej odległości. Marek pokazał jej jak przybliży, a ona w kadrze zobaczyła znajomą twarz Łysego na sąsiedniej wysepce. Co tu było grane?

– Wytłumaczysz mi?

Marek wzruszył ramionami.

– Łysy bierze ślub.

– Jak to bierze ślub? Tu, na Malediwach? – Monice wydawało się to wszystko jakąś wielką abstrakcją. Jakim cudem na Malediwach dopadł ich jakiś Łysy i jego znajomi? I wtedy zrozumiała, że jest dokładnie odwrotnie. Pierwszy był Łysy, a dopiero później oni. Byli tu dla Łysego, a nie po to, żeby ukoić jej nerwy. Spojrzała ponownie przez aparat.

– Kim ty jesteś, Marek? Co my tu robimy?

Marek milczał dłuższą chwilę.

– Odpoczywamy.

– Kim jesteś? – powtórzyła.

– Nikim – szepnęła. – Mnie nie ma. Nas nie ma.

Uznali oboje, że lepiej odciąć się od Patrycji i całego tego imprezowego towarzystwa. Marek najpierw przeniósł ją do małego mieszkania na Ursynowie, a potem namówił na kupienie apartamentu na Stegnach.

– Zostanie ci, nikt ci go nie zabierze – przekonywał.

Nie chciała dopytywać, kto by mógł cokolwiek zabierać. Od czasu nakrycia go z aparatem wołała Marka o nic nie pytać.

Trochę było jej szkoda utraty kontaktu z Patrycją, ale też przyznała Markowi rację, że w końcu musi pomyśleć o swojej przyszłości. Wiedziała, że będzie coraz starsza, będą odzywać się różne demony. Zresztą już się odzywały... Któregoś dnia obudziła się na przystanku autobusowym, nie wiedziała, jak tam trafiła, kiedy, co się z nią działo. Nie wiedziała, czy z kimś uprawiała seks, czy się upiła, brała narkotyki, nic nie wiedziała. Miała już podobną akcję, gdy mieszkała z Aktorem, ale wtedy po prostu ostro poszła w tango . A w tym przypadku ... czarna dziura. Dwadzieścia wyciętych z życiorysu godzin.

– Ubierz się ładnie, idziemy do Corpo – poprosił Marek pewnego dnia.

Założyła typowy biurowy kostium, Marek był w garniturze. Pojechali do Corpo, gdzie zaprowadzono ich do niewielkiej salki z małym stołem i jedną ścianą ze szkła. W dole była Warszawa. Trochę przypominało jej to biuro u Dużego Misia. Czekali niespełna pół godziny, aż zostali poproszeni do większej sali konferencyjnej, gdzie za długim stołem siedziało kilkanaście osób. Kilkunastu facetów. Dlaczego nie ma żadnej kobiety?

– Jeśli omówiliśmy już kwestie techniczne, to skupmy się teraz na marketingu. Budżet standardowy, więc uznałem, że najlepiej będzie to wyoutsorsować do pana Marka. Można prosić.

Marek wstał, podłączył netbooka do projektora i rozpoczął prezentację. Monika zastanawiała się, kiedy on ma czas robić

takie prezentacje. W sumie pewnie mógł ktoś robić je za niego, ale... nie, to nie był taki typ.

– Produkt nazywa się Shark – rozpoczął Marek. – Pomyśleliśmy więc, że można jego prezentację zorganizować w jakimś adekwatnym do tej nazwy miejscu. Idealne byłoby RPA, gdzie po prezentacji moglibyśmy zorganizować... nurkowanie z rekinami.

Ktoś chrząknął.

– Problem w tym, że w RPA nie mamy żadnego wdrożenia. Trudno więc będzie uzasadnić taką wizytę referencyjną.

Dyrektor uśmiechnął się szeroko.

– Pan Marek jest od rozwiązywania problemów. A pani Monika rozwiązuje je jeszcze lepiej.

Wszyscy spojrzeli na Monikę, więc uznała, że trzeba coś powiedzieć.

– Oczywiście.

51.

Firma zarządzająca flotą łodzi nurkowych niby należała do tych najbardziej doświadczonych, ale Monika zaraz po wypłynięciu z portu zaczęła się bać, że to może się źle skończyć. Miała wrażenie, że Marek sporo zaryzykował.

Ekstremalne wyprawy sprawdzały się zawsze, jednak pod warunkiem, że nie były za bardzo ekstremalne. Że nie było za zimno, nie trzeba było stać w kolejkach, jak do wejścia na Mount Everest, nikt nikogo nie zabijał. Na tym to ma polegać. Niby strach i adrenalina, ale przede wszystkim bezpieczeństwo. Jeśli do zabawy zapraszamy kostuchę, przestaje być śmiesznie, niektórzy nawet nie chcą zapłacić...

A tu kuter sprawiał wrażenie takiego, że może się zaraz rozpaść, klatka ochronna pokryta rdzą, ciągle krztuszący się silnik wypluwał z siebie kłęby śmierdzących spalin i pozostawiał na falach rozległe plamy oleju, a majtek pod pokładem co chwila wynosił wiadro z pomyjami, bo coś zaczęło „przelekać” w maszynowni. To miało zadowolić prezesów największych polskich spółek?

– Spokojnie, będą zadowoleni. Powiemy potem, że to specjalnie, jak w „Szczękach”. Co to za frajda wypłynąć jakąś bielutką łajbą, jak można zaliczyć prawdziwe ekstremum – Marek uścisnął ją w ramię, ale tak naprawdę robił dobrą minę do złej gry. Dwoił się i troił, żeby mu się panowie prezesi nie rozplakali na pełnym morzu.

Najwięcej musiał chodzić koło Prezesa Blondasa, który już zaczął lekko narzekać: trochę zimno, łajba śmierdzi, te opary jakoś mało ekologiczne, szyper gbur, wódka jakaś nie taka... Tylko Pani Moniczka jak zwykle piękna. No, najpiękniejsza na świecie. „Mam nadzieję, że jej nam rekiny nie zezrą.”

A potem łódź zacumowano koło skalistej, surowej wyspy pełnej uchatek, obsługa opuściła klatkę do wody i wprowadzono do niej pierwszych chętnych nurków. Nie trzeba było długo czekać, bo tutejsi potrafili zwabić rekiny swoimi sposobami.

Gdy tuż przy łodzi wyskoczył wielki na pięć metrów żarłacz biały łapiący zbłąkaną fokę, Monika wiedziała już, że to strzał w dziesiątkę. Nawet jeśli któregoś pożre rekin, wystawią im za ten wyjazd laurkę.

– Ja pierdołę, ja pierdołę! – powtarzał Prezes Blondas po wynurzeniu. – Widzieliście to. Taki chuj był wielki, z dziesięć metrów miał, taki jebaniec wielki, podpłynął mi pod sam nos, a ja

chujowi cyk! i fotkę. Ja pierdolę, ale przeżycie. Niesamowite to było, naprawdę jedyne w swoim rodzaju. Marek, jesteś mistrzem!

Marek usiadł koło Moniki.

– No, to chyba znów się udało?

– Chyba tak.

Nikogo nie wcięło. Rekiny obeszły się smakiem (i uchatkami), prezesi sikali po nogach z emocji.

Wieczorem, przy kolacji, prezesi prześcigali się w licytacjach, który był bliżej pożarcia przez rekina. No a potem standardowo schlali się na maksa i jak zwykle Prezes Blondas okazał się tym z najmocniejszą głową.

– Jebany, znów nie zamknął drzwi – mruknął Marek. – Pójdiesz czy go jakoś splawić?

Monika poprawiła wieczorową suknię i ruszyła w stronę drzwi Prezesa Blondasa. W sumie nie miała z nim jakichś złych wspomnień. Tyle że teraz było jej odrobinę trudniej, bo obejrzała serię rodzinnych zdjęć, które tak chętnie prezentował na facebooku. „Jestem rodzinnym, miłym, tradycyjnym facetem.” Cham, kłamca i hipokryta.

52.

Kolejnego dnia przenieśli się do rancza organizującego specjalne polowania na lwy. Biedne zwierzęta były hodowane tylko po to, żeby jakiś bogaty dupek mógł je zastrzelić dla własnego kaprysu. Monika była zła na Marka, że wszedł w taki układ; oglądanie rekinów w klatkach to jednak nie to samo co zabijanie lwów.

– Może nasi prezesi będą kiepsko strzelać i któregoś jednak pożre lew – powiedział, gdy go sprowokowała.

Akurat, już to widzę – miała ochotę odeprzeć.

O dziwo okazało się, że prezesi rzeczywiście kiepsko strzelają i lew omal jednego nie załatwił. Gdyby nie przewodnik, może ktoś mógłby pochwalić się nie tylko fotką, ale i odgryzioną kończyną. Niezły fun.

Monika nabrała takiego obrzydzenia do całego towarzystwa, że ostatni wieczór postanowiła spędzić w hotelowym pokoju.

– Jakoś im to wytłumaczysz. Głowa mnie boli.

Marek jak zwykle miał dobre podejście, bo zostawił ją w spokoju, ale ostatecznie przeniósł imprezę do jej pokoju. Pijaństwo trwało do białego rana i zakończyło się skandalem, bo na koniec poproszono Monikę o odprowadzenie jednego z prezesów do pokoju, a gdy to zrobiła, tamten nagle zaczął krzyczeć na cały hotel.

– Co to jest? Co to za prowokacja? Jakim prawem? Proszę wezwać ochronę i policję!

Marek i inni prezesi czym prędzej wyskoczyli z nory i oniemiała stanęli przed półnagim prezesem, trzymającym w jednej ręce komórkę, którą chyba nagrywał całe zdarzenie i w drugiej butelkę po koniaku, pustą, ujętą jak maczugę. Robił niezłe przedstawienie, nie bacząc na uczucia skulonej pod ścianą korytarza, przerażonej Moniki.

– Spokojnie, wszystko wyjaśnimy – poprosił Marek, ale tamten się uparł, że ma być policja i koniec, bo musi to być w protokole. Stary cwaniak.

Marek odprowadził Monikę do pokoju, poprosił pozostałych prezesów o rozejście się, a następnie zamknął się w apartamencie z prezesem, ochroną i funkcjonariuszem policji. Wrócił do pokoju nad ranem. Monika nie spała.

– Przepraszam – bąknęła. – Nie wiem, co go napadło. Naprawdę nic nie zrobiłam.

– To nie twoja wina.

– Nie rozumiem?

Marek westchnął.

– Prezes to konkretny facet. Dupczenie go nie interesuje. Woli żywą gotówkę.

– Jak to?

– Proste. Chce twardą walutę w określonych nominałach, bez występów artystycznych.

53.

Diesel unikał ustawek, ale w tym wypadku nie mógł odmówić. Komenda główna przygotowywała całą tę akcję od paru miesięcy, wszystko miało być filmowane z różnych ujęć, w tym przy użyciu tego ich najnowszego cacuszka od Amerykanów, drona.

– Wiesz, że to grozi dekonspiracją – przestrzegł oficera prowadzącego.

– W sumie bardziej podejrzane, gdyby cię tu nie było.

Może i racja.

Ustalili, że Diesel będzie się trzymał przez cały czas trochę z boku, a gdy wkroczy grupa AT, wyciągnie broń i strzeli kilka razy dla ściemy ponad głowami szturmujących policjantów. Odpowiedzą ogniem w podobny sposób, a Diesel uda, że został trafiony. Potem przemyśli co dalej. Tak czy inaczej, nieźle to go zalegenduje. Gościa, który strzelał do glin, a potem wyjdzie dzięki mykowi adwokata. Niby miało to sens, ale Diesel nie lubił akcji, które na papierze były takie gładkie. Zawsze wtedy coś szło nie tak... W efekcie ktoś dostawał po dupie. Tu tym kimś mógł być on sam, więc rzecz jasna nie palił się do tego.

Podczas akcji coś nie dawało mu spokoju. Jakby dostał ostrzeżenie od Boga. Założył pod dres kamizelkę, choć to nie

zostało ustalone. Kamizelka była ostatecznością.

– Po co kamizelka, skoro nasi cię znają i będą strzelać w niebo?
Kamizelka nie zaszkodzi – skwitował w myślach.

Mona była podobnego zdania. Nie ufała tym policyjnym gierkom. Twardo trzymała się zasady: najważniejsze to dbać o swoją dupę, o całej reszcie pomyślimy potem.

Szybko okazało się, że oboje mieli rację. Diesel co prawda poza kamizelką twardo trzymał się ustaleń, ale jeden z funkcjonariuszy AT miał to najwyraźniej głęboko w poważaniu. Gdy Diesel strzelił, ten wymierzył i posłał mu dwie kulki w klatę. Żadne tam strzały ostrzegawcze czy w nogi. Dobrze celował.

Żył, ale bolało jak cholera, gdy go pakowali do więźniarki. Kiedy wywieziono pozostałych gangusów, szef przyszedł go przeprosić, a za nim stanął ten Młody.

– Sorry, nikt mi o tobie nie powiedział – wyznał i była to jedyna prawda tego wieczoru. Czy powinien mieć pretensję do tego młodego, zapewne zapatrzonego w specjalną formację chłopaka? Skąd miał wiedzieć, że na miejscu jest agent pod przykryciem, skoro nie wprowadzono go w temat, niby przypadkiem?

– Spoko, bywa – Diesel przybił mu piątkę, a potem się uściskali.

Za to na dowódcę spojrział jednoznacznie.

– Sorry – zaczął tamten, ale Diesel mu przerwał:

– Spierdalaj, jak nie chcesz w kły.

– Diesel, kurwa, tak nie można....

– Wszystko można. Skoro można do mnie strzelać ostrymi pestkami w dokładnie zaplanowanej akcji to wszystko inne też można.

– To nie tak....

– Powiedziałem, spierdalaj!.

Minął gówniarza, potrącając go barkiem, wziął prysznic, odczekał, aż inni się wyniosą, a potem ruszył do swojej szafki w szatni. Założył bieliznę, cywilne ciuchy i wtedy zobaczył z boku zwinięty kartonik. Może nawet ktoś mógłby go tam jakoś wrzucić przez szparę, ale jednak wyglądało na to, że greps został tam celowo włożony przez kogoś, kto miał klucz. Cóż, klucz niby miał tylko Diesel. Widać, mylił się, że jest jedyny.

Na kartce napisano tylko jedno zdanie.

„Zostaw Łysego w spokoju.”

54.

Jest taki zmęczony, musi odpocząć. Wszystko na jego głowie. Największe unijne projekty nie powiodą się, jeśli on się za nie nie weźmie. W ogóle do Unii weszliśmy tylko dzięki niemu – gdyby nie jego sprawność, nie dałoby się uruchomić Schengen, w ogóle nic by się nie dało...

Skoro media tak twierdzą, to chyba prawda? Piszą o nim na jedynkach, zapraszają do programów telewizyjnych, chwalą go eksperci. Dodając przed jego nazwiskiem dumnie brzmiące tytuły: „doktor”, „doktor inżynier”, „wybitny specjalista”.

Cóż, tak było, szczerą prawdą.

W kraju, który dopiero co wyrósł z komuny, poradził sobie z najważniejszymi problemami transformacji, sprywatyzował (czytaj: sprzedał za bezcen) cały swój majątek, zdziesiątkował (choć z miernym skutkiem) agentów bezpieczeństwa i nieco rozbroił słynne Wojskowe Służby Informacyjne, taki człowiek jak „ojciec doktor inżynier” to skarb.

Nawet Rudy załatwił mu jakąś nagrodę europejską za osiągnięcia w informatyzacji. Oczywiście Łysy nie był głupi i wiedział, jak to się odbywa: firma Rudego kupowała po prostu

„nagrodę”, tytuł „wdrożenie roku” czy jakieś zaszczytne miejsce w rankingu, płacąc za to jak za zboże, bo w ogólnoswiatowej licytacji podobnych wałków. Jak było z tym tam dużym biznesmenem, gdy mu się system w tej największej budżetowej piramidzie wypierdalał? Ano kupiono tytuł najlepszego systemu w administracji i krytycy gęby pozamykali. No bo kto będzie z ekspertami i doktorami inżynierami dyskutował, no kto?

Nie wprost to się przecież kupowało, tylko sponsorując organizację, wpłacając pieniądze na fundację albo opłacając partnerstwo w przygotowaniu eventu, dlatego nikt nie mógł oficjalnie tego nikomu zarzucić, bo by przegrali procesy, musieli przeproszać w gazetach i telewizjach. Zresztą, gdzie to by opublikowali, jak wszystkie media dostawały od nich pieniądze?

I tak za grube setki tysięcy dolarów wyłożone przez Rudego, on, Łysy, zostawał takim mini celebrytą, a wszyscy się nim chwalili, zyskując swoisty fejm. Tak to działa w każdej branży i jakoś ci inni nagradzani nie mają wstydu, więc dlaczego on miałby się boczyć?

Bo jest doktorem inżynierem? Cóż, prawdę mówiąc, ten tytuł nie był aż tak istotny. Czasem też sam przyznawał, że spotykał w firmach młodych gości, którzy o technologiach wiedzieli znacznie więcej niż sławny doktor inżynier.

No ale to on był na szczycie.

Mógł udawać skromność, ale przecież tyle zrobił dla całej tej podłej mundurowej formacji. Zawistnej, nie rozumiejącej reguł gry. Starał się tylko, żeby miała najlepszy sprzęt, najnowocześniejsze rozwiązania, doskonałe procedury, wypracowane na doświadczeniu schematy. Chciał nowoczesnej policji. A oni jak mu zapłacili? Wplątali w cholerną korupcję.

Lubił tak sobie powtarzać przed lustrem, starając się wyglądać wiarygodnie. Cóż, nie wychodziło, ale jakoś tam w głowie zostawało uzasadnienie: to nie ja jestem zły, tylko cały świat wokół. Ja tylko dostosowuję się do reguł, jako informatyk wiem przecież, że najważniejszy jest porządek w procedurach, że trzeba wpisywać dane zgodnie z rubrykami, że nie wolno umieszczać swojej krytyki tam, gdzie nie ma na to pozycji.

A do tego jestem cwany i przebiegły.

Skoro więc nie da się działać dobrze bez wziętek, to on woli brać i być skutecznym niż odwrotnie.

O tak! Łysy był przygotowany nawet na wpadkę i wiedział, jak się obroni. Najważniejsze to mieć dobry plan, alternatywy na rozwój różnych scenariuszy. Miał wiele lat, by je przygotować, dlatego nie przejmował się pozorami, dlatego był taki nieostrożny. Mógł to potem odwrócić, wykorzystać na swoją korzyść.

W końcu największe afery w kraju pozostawały niezmiennie nierozliczone. Jak się dobrze zarządza kryzysem, to nie ma się czego bać. A kto jak kto, ale on – doktor inżynier – potrafił zarządzać kryzysem.

Może nie tak dobrze, jak ten przeklęty Gościu, Rudy czy inni wytrawni gracze rynku, ale całkiem dobrze.

Jednak zarządzanie zarządzaniem, a żyć przecież z czegoś trzeba. Miał już motor, duży samochód, ślub na Malediwach, wesołe wspomnienia z Mazur, na których kupił na firmę dom i działkę, jak jakiś super słup... Czego miał chcieć więcej? Hm, coś się znajdzie...

Zawsze chce się więcej.

– Łysy, ty nas wpierdolisz na jakąś hekatombę – powiedział mu ostatnio Prezes Blondas, gdy Łysy stwierdził, że by przejął projekt dla służby zdrowia, bo tam się źle dzieje. Prezes Blondas

odpowiadał za ten projekt, ale ciągle powtarzał, że go nie chce. W sumie to za nic nie chciał odpowiadać. Służba zdrowia ważna rzecz, od dwudziestu lat nikt nie potrafi jej skutecznie zreformować. Nikomu się to nie opłaci, no może poza pacjentami. Ale kto by się tam martwił o pacjentów. Pacjenci się tylko dodatkiem do systemu. Pośrednim płatnikiem. Na dodatek parametrem stałym, a nie zmiennym. Bez względu ilu ich umrze, zawsze będą nowi, czekający na miejsce w kolejce. Zabraknie autochtonów, sprowadzi się imigrantów. Stała niezmienna.

– Teraz się mówi hatakombę – odparł Łysy.

– Pazerny się stajesz, a to niedobrze – mruknął Blondas. – Ja tam mogę te zdrowie odpuścić, sam wiesz, że mi nie leży. Łączność przecież też odpuściłem, straż ci oddam, nawet wojsko. Są jednak tacy, co im się to bardzo nie spodoba. Oj, baaardzo.

– Mogą mi naskoczyć – roześmiał się Łysy.

– Pycha kroczy przed upadkiem.

– Grozisz mi?

– Ja? Skąd. Ostrzegam. Ja tu, mój drogi, tkwię bezpiecznie od dziesiątek lat, przeżyłem już setki...

Chyba chciał dodać „takich jak ty”, ale zawiesił głos.

– Uważaj – zakończył – i przejdźmy do rzeczy.

„Właśnie, po coś tu przylazł, dupku” – pomyślał Łysy. Prezes Blondas przychodził tylko z interesami, a przecież nic nie chciał mu dać, tylko wziąć. Nawet jebany cygar i whisky nie przyniósł, tylko jego palił i pił, darmożjad pierdolony. Po to zrobił cały wstęp, żeby coś od niego chcieć. Lecz tym razem Łysy się pomylił.

– Premier mnie przysłał – szepnął Blondas.

No tak, kumpłowali się, wpierdalali ośmiorniczki – pojawiło się w głowie Łysego. Układ. Układ, który... cóż, chyba chciał go zaprosić na wyższy poziom. Ja pierdołę!

– Tak? – Łyseму zaschło w gardle. To wszystko było potwierdzeniem jego pozycji. Tego, że osiągnął naprawdę szczyty możliwości. Wszedł na płaszczyznę, z której już się nie spada, tkwi na wieki. Kto wie, jeśli dobrze to rozegra, może po następnych wyborach zostanie ministrem? A może wicepremierem? Tak, właśnie tak. Wicepremier do spraw nowych technologii, doktor inżynier, pseudonim „Łysy”. Ze specjalnymi uprawnieniami. Tak, żeby Polska weszła na absolutny technologiczny szczyt. Już widział oczami wyobraźni, jakie będzie mógł robić numery. Na jaką skalę i z jakim rozmachem działać. Zapisze się w historii. Będzie głośno! Bum!

– Cóż, premier docenia twoje osiągnięcia i uważa, że nie ma lepszej osoby do zajęcia stanowiska...

No mówże wreszcie!

Prezes Blondas zawiesił głos, napił się whisky, zaciągnął cygarem i zakończył:

– ...objęcia funkcji głównego koordynatora do spraw przeciwdziałania korupcji!

Łysy zachłysnął się whisky.

CZEŚĆ DRUGA SŁUŻBY

55.

Nie wierzyła mu, tym razem naprawdę nie wierzyła. Zresztą niespecjalnie próbował ją przekonywać. Gdy z niego ironizowała, kiwał tylko głową z tym swoim rozbijającym, zdystansowanym uśmiechem. A ona czuła się coraz bardziej od niego uzależniona.

Pierwsze dni w Brukseli rzeczywiście spędzili tylko we dwoje. Na dodatek nie w luksusowym hotelu, jak to zwykle bywało. Marek poprosił, żeby ubrała się sportowo i trochę „ukryła” swoją wyjątkową urodę za pomocą zwykłej kurtki i czapki, sam ubrał się podobnie, po czym zawiózł ją do Marolles, gdzie w jednej z kamienic drzwi otworzył im dobrze zbudowany Arab. Uśmiechnął się szeroko i uściskał Marka, a potem przytulił Monikę, pytając:

– Czy to jest ta wspaniała dziewczyna, o której tyle słyszałem?

– Nie ściemniaj, nigdy ci o nikim nie opowiadałem – roześmiał się Marek.

– Tak, wiem, o żadnej ze swoich trzech żon też.

Monika jeszcze przez chwilę obawiała się, że ogromny Arab jest jakimś „klientem”, ale szybko niepokój został wypędzony przez zabawnego i ciekawego mężczyznę. Godzinę później wiedziała już, że Arab z Markiem przebywali razem na jakimś szkoleniu, służyli w wojsku albo czymś podobnym, znali się jak łyse konie, lubili czy nawet przyjaźnili.

Arab uszykował kolację, podał coś do picia, a na koniec zapalili jakieś zioło. Opowiadał o Brukseli, problemach, rosnących niebezpieczeństwach w dzielnicy, w której mieszkał.

– To miasto zmieniło się od naszego ostatniego rautu. Trzeba naprawdę uważać – znacząco spojrział na Monikę. – Nawet z twoją opieką nie wchodziłbym z nią w ciemne uliczki. Trzymajcie się ludzi i uważajcie na zadymy. W ostatnim zamachu zginął Khaleb, pamiętasz go? Opowiadał, że jego nikt tu nie ruszy, bo się brata z każdą stroną. A trafił go przypadkowy odłamek...

– Na coś trzeba umrzeć – mruknął Marek.

– Co u Sary?

– Zaraz wróci – Arab spojrział na zegarek. – Kończy dyżur przed jedenastą, chłopaki ze zmiany ją przywożą, a ja ostatnio zawsze po nią schodzę.

– Aż tak źle?

– Wiesz, że tu większość mieszkań socjalnych. Na dole mam nową rodzinę, jeszcze jej za bardzo nie poznałem, oni mnie też, wolę uważać. Pamiętasz tego Ukraińca, który mieszkał tu – wskazał gdzieś za ścianę, – jak byłeś poprzednim razem?

– To było z pięć lat temu.

– Ale pamiętasz? Facet mordował bezdomnych. Wychodził w nocy na spacer, łaził po różnych kazamatach i jak wyczał, że kogoś może sobie zarznąć, podcinał mu gardło albo dźgał kilkadziesiąt razy. Myślałem, że nigdy nie złapiemy sprawcy, bo modus wskazywał na kogoś zupełnie innego. Szukaliśmy wśród psycholi, seksualnych takich, a tu zbój siedział mi pod nosem i okazał się ukraińskim kelnerem. Taka siurpryza.

Wtedy Monikę olśniło.

– Jesteś policjantem?

Arab spojrział na Marka wyraźnie zaskoczony, jakby chciał powiedzieć: „To ona nic nie wie?” Marek nie zareagował. Może ledwie dostrzegalnie skinął głową, jakby chciał dać gospodarzowi do zrozumienia, że ten może wszystko powiedzieć.

– No tak – odparł zatem. – W kryminalnej siedzę od dwóch lat. Wcześniej narkotyki i przestępczość zorganizowana.

– A Marka aresztowałeś i tak się poznaliście? – uśmiechnęła się promiennie, jakby to miał być żart. Ale wszyscy w pokoju dobrze wiedzieli, że nim nie jest.

– My, psy, musimy się trzymać razem – Marek przerwał ciszę i uściskał Araba, ten oddał uścisk. Śmiali się przez chwilę, a potem Arab spoważniał i powiedział:

– Wiesz, mała, są sprawy, które ciężko wyjaśnić. Czasem myślisz, że wiesz wszystko, a nic nie wiesz, ludzie okazują się potworami i odwrotnie. Plakietki, mundury, legitymacje nic nie znaczą – nagle wyciągnął zza pleców kaburę z bronią, położył ją na stole i wydobyl pistolet. Wyjął magazynek, sprawdził, czy w komorze nie ma pocisku, po czym przystawił sobie do skroni. – To życie, w którym mam codziennie przystawioną broń do skroni, niby nie nabitą, ale nigdy nie wiem, czy przyjaciel mi nie podłożył świni, czy czasami jakimś cudem nie znajduje się tam pocisk.

– Przestań, odłóż to – poprosił Marek. – Monika nie lubi broni.

– To prawda – przyznała Monika.

– Uczą nas w tym zawodzie, żeby nigdy nikomu nie ufać i że dawny przyjaciel może przyjechać cię zabić. Ale przecież gdybyśmy nie mieli takich przyjaciół, gdybyśmy nie potrafili sobie powiedzieć, że na kimś można się w końcu oprzeć, to nic by nie miało sensu, człowiek by ciągle się oglądał za plecy.

– Może tak trzeba... – mruknął Marek.

– Ja wolę wierzyć, że nie. I powiem ci, mała, że nieistotne, czy minie lat pięć czy sto, jakie mundury czy garnitury założymy, czy będziemy po tej stronie krat czy po drugiej, to jak przyjedzie do mnie Marek, to będę wiedział, że na nim mogę polegać jak na bracie, a nawet bardziej. I to jest dla mnie ważne. Na nim i jeszcze na jednym takim skurwielu.

W tym momencie ktoś otworzył drzwi kluczem. Arab zdziwił się, spojrzął na Marka, który wyszczerzył zęby szeroko.

– O wilku mowa – powiedział.

Do mieszkania wszedł ogromny mężczyzna, którego Monika nigdy dotąd nie widziała. Facet wyglądał jak ostatni bandzior, miał ogromne mięśnie co do milimetra pokryte tatuażami. Wyglądał prawie tak źle jak gangster Wojtuś od Dużego Misia, ale to prawie robiło różnicę, bo jednak w oczach miał coś takiego, co sprawiało, że Monika mogłaby temu facetowi zaufać.

– W mordę, Diesel, co wy tu za zjazd robicie? Mam się bać?

– Mam nadzieję, że cieszyć, bracie – odparł Diesel.

Uściskali się i wtedy zza pleców Diesla wyszły dwie kobiety. Były równie atrakcyjne jak Monika, ale jednak inne i dziewczyna posmutniała. No tak, ci dwaj mają normalne dziewczyny, a tylko Marek w tym gronie związał się z kurwą.

56.

Ani słowem nie dały jej odczuć, że jest gorsza, choć Monika była pewna, że wiedzą. Może słyszały też o Muzyku, może Marek lub ktoś inny wszystko im o niej i jej losach opowiedział.

Sara była żydówką, śledczą w wydziale do spraw dzieci i młodzieży. Miała kruczoczarne włosy, śniadą cerę, ale w rysach twarzy ewidentnie czuło się żydowskie pochodzenie. Dość szybko

wyjaśniła też Monice, że jej mężowi to nie przeszkadza i odwrotnie.

„Tu jest inny świat niż tam” – powiedziała, nie określając, co dokładnie oznacza „tam”.

Mona była prawie dwa razy starsza od Moniki, ale wciąż atrakcyjna. Szybko wydało się, że w polskiej policji zajmuje dość eksponowane stanowisko. Nie ukrywali też przed Moniką, że Diesel jest agentem działającym pod przykryciem. Wszystko to trochę oszołomiło Monikę, miała wrażenie, że albo ktoś zrobił sobie z niej żarty, albo przechodzi jakiś przyspieszony kurs uświadamiający. Skoro wszyscy tu są glinami lub agentami, kim zatem jest Marek? Kim jest ona sama? Czy na pewno tylko zwykłą dziwką? Może kimś znacznie więcej?

Niestety, Marek ani nikt z obecnych nie zamierzał jej tego wyjaśniać. Po prostu uznali, że wystarczająco dużo zostało powiedziane i nie ma konieczności dodawania czegokolwiek więcej. Diesel podsumował sytuację, opowiadając anegdotę o terroryście, który przez całe życie był spokojnym obywatelem, tyle że z radykalnymi poglądami, aż coś w nim wybuchło i wpisał na forum internetowym, że chętnie by wysadził cały ten parlament w powietrze.

– Wiesz jak się skończyło? – zapytał Diesel. – Tego samego dnia napisał do niego na internecie tajemniczy „Ktoś” z podobnymi poglądami. Następnego pojawiło się dwóch studentów. Potem czterech kolejnych. Aż profesor stworzył grupę bojową, która była gotowa wskoczyć za nim w ogień i wysadzić te ładunki wybuchowe, które zresztą mu dostarczyli. A na koniec...

– Okazało się, że wszyscy są agentami?

– Niestety poza profesorem. Być może nigdy by nie doszło do materializacji jego radykalnych poglądów – wtrącił Marek.

– A może wysadziłby ten sejm. I co wtedy? Kto byłby winny? – Sara patrzyła badawczo na Monikę.

– Dobra, co w sprawie? – zapytał Marek.

– Znalazłem to w szafce – Diesel pokazał Markowi greps z ostrzeżeniem, że ma odczepić się od Łysego. Po chwili wahania dodał jeszcze: – Podczas akcji ktoś do mnie strzelił niby przypadkiem. Gdybym nie miał kamizelki, nie siedziałbym tu z wami.

– A ja dostałam awans do CBS – powiedziała Mona. – Mam się zająć porwaniami dla okupu.

– Aha, czyli chcą posprzątać.

– Na to wygląda – przytaknął Diesel, po czym wymownie spojrzął na Monę: – Powiedz mu.

– W ministerstwie krąży plotka, że Łysy zostanie głównym koordynatorem do spraw korupcji.

– O kurwa! – przeklął Marek.

– Jeśli to się stanie, będzie miał wgląd do wszystkich operacji, także naszych. Nie damy rady tego posprzątać.

Marek zastanawiał się przez chwilę.

– Nie można jakoś przyblokować?

– Niby jak? Ponoć Blondas za tym lobbuje, a wiesz, że jego nie jebniemy i plecy u pierwszego nie mają tu większego znaczenia.

Marek spojrzął na Monikę.

– Cóż, na Blondasa coś byśmy znaleźli.

Monika poczuła, że palą ją policzki.

– Zaraz, zaraz, ja nie będę przeciwko nikomu zeznawać – szepnęła. – Jeśli to wam chodzi po głowie...

Marek uśmiechnął się uspokajająco.

– No co ty, nie będzie żadnych zeznań. Spokojnie.

Chyba mówił szczerze.

– Zebrałem trochę kwitów, na wyrok pewnie za mało, ale na krótki areszt wystarczy. A to spowoduje, że się wszyscy od Blondasa odwrócą i każdy temat, w który jest zamieszany, nagle zacznie śmierdzieć. Łysy straci plecy.

– Jedno jest pewne – mruknął Marek. – Nie możemy dopuścić, by dobrał się do akt. Jeśli tylko dostaniemy sygnał, że może je mieć, trzeba kończyć akcję.

– Zgadzam się, choć znasz moje zdanie. Ja bym to wszystko wypierdolił na jakiś serwer w Chinach i niech się to dalej rozgrywa na Twitterze.

– Dość tych smutów, pora się pobawić – przerwała im Sara, wstała i tanecznym krokiem podeszła do stereo.

Więcej nie poruszali tematów „zawodowych”. Jedli, pili, żartowali, śmiali się. Monika dawno nie czuła się tak dobrze. Mimo, że gdzieś w tyle głowy cały czas pojawiała się pytanie, czy jest we właściwym miejscu.

57.

A więc Marek jest policjantem albo kimś podobnym. Szpiegiem, agentem, tajnym współpracownikiem realizującym swoje „operacje” przy aprobacie, a może też we współpracy z jakąś służbą i innymi policjantami, nie tylko z Polski. A kim, w takim razie, jestem ja?

Może była głupia, ale nie aż tak, by nie zrozumieć, że stała się częścią operacji specjalnej, została bezwiednie wykorzystana. Zarazem była jakoś wewnętrznie przekonana, że Marek jej nie okłamuje, że nie zamierza jej powoływać na żadnego świadka, nie zmusi do zeznań, nie zabierze pieniędzy, nie będzie niczym groził, nikogo na nią nie naśle. Czuła się... bezpiecznie. Dziwnie, ale bezpiecznie.

Po prostu była częścią zasłony dymnej, uwiarygodnienia jego postaci, na pewno było to nadużycie, nie powinno to wszystko się stać, ale kogo to będzie obchodzić?

– Ciebie nie ma. Nas nie ma – powtórzył jej w nocy Marek. Kochali się, a potem długo jeszcze leżeli i nie mogli zasnąć. Marek bawił się jej włosami i szeptał uspokajająco. – Nie pozwolę zrobić ci krzywdy, nie bój się. Już zawsze będę się tobą opiekował.

„Jak kurwą?” – miała ochotę zapytać.

„Nie jesteś kurwą, jesteś kimś innym, wyjątkowym. Pamiętasz, co mówił Arab? Ludzie zmieniają się w potwory i odwrotnie. Przywdziewają różne maski. Ale w tym wszystkim trafiają się osoby bez masek, na których możemy polegać. Jestem kimś takim. Nigdy cię nie zdradzę” – pewnie by odpowiedział. W każdym razie coś podobnego słyszała w sennych koszmarach, które ją potem nawiedziły.

„Nie przeszkadza ci to, co robimy? To, że sypiam z innymi? Że na tym zarabiamy? To jest bez znaczenia?”

„Jest jak jest. Ważne, kim jesteśmy tu i teraz, inne rzeczy nie mają znaczenia.”

„To tylko seks?”

„Nie o to chodzi. To tylko maska.”

Rano cała grupa zebrała się w kuchni na śniadaniu i znów był bardzo miło. Ani na chwilę Monika nie poczuła się gorsza. Może więc Marek mówił prawdę, może to nie jest żadna poza. Tu i teraz są prawdziwi, są przyjaciółmi, może nawet kochają się, są gotowi oddać za siebie życie, są braćmi i siostrami krwi. A to, co na zewnątrz, to są tylko maski.

Siedziała, patrzyła na nich wszystkich i wtedy pojawiło się jeszcze to jedno pytanie. Czy już kocha Marka? Czy może go pokochać? Czy w ogóle kogokolwiek jest w stanie kochać? I czy

czasem nie odpowiada jej taki układ? Przecież jedno wiedziała: nie jest w stanie dochować wierności żadnemu mężczyźnie. Nieważne kim jest i nieważne, przez kogo to się dzieje. Ważny jest fakt. Czy zatem związek z Markiem nie jest dla niej idealny? Jest jedynym mężczyzną na ziemi, który nie będzie wymagać od niej wierności. A może się myli? Może gdyby się ze sobą związali tak naprawdę, on zmieniłby reguły gry? Powiedział: od dziś jesteś tylko moja. Co ona by odpowiedziała? Mogłaby go okłamać, a może kłamstwo okazałoby się prawdą?

– Mamy coś jeszcze do załatwienia – powiedział Marek, gdy wysiedli z taksówki bliżej centrum.

– Wiedziałam – mruknęła.

Uśmiechnął się tylko.

Zameldowali się w jednym z luksusowych hoteli, przebrali, wzięli prysznic, a następnie w pośpiechu, bo Marek ciągle zerkał na zegarek, zeszli na dół i ruszyli do jednej z restauracji.

– Nie jestem głodna.

– Jesteś, jesteś.

Usiedli przy stoliku, Marek rozluźnił się, zerknął na zegarek z wyraźną ulgą. A więc zdążyli. Zamówili coś małego, a potem Marek zmusił ją do wyboru kilku dań głównych.

– To jedna z najlepszych restauracji, skorzystaj.

Wzięła typowo belgijskie przysmaki. Jakieś mule, frytki, deser czekoladowy, Marek zmusił ją do skosztowania piwa. Mogła jeść i pić wszystko, nigdy się tym nie przejmowała, ale piwa zwyczajnie nie lubiła.

Kwadrans po ich wejściu lokal zaczęli zapełniać ludzie w eleganckich garniturach i garsonkach. W pierwszej chwili pomyślała, że to bankierzy, ale wtedy przypomniała sobie, że są w Brukseli, w pobliżu budynków Parlamentu Europejskiego.

– Przyjrzyj się uważnie ludziom przy stoliku przy oknie, po prawej, koło tej kolumny z lisem – powiedział w pewnej chwili Marek. – Tylko dyskretnie. Nie zwracaj na siebie uwagi.

Spojrzała. Dwóch facetów i kobieta – niezbyt ładna, wymalowana, wyglądająca na dość niemiłą.

– Kto to?

– Kobiety nie znam. Przystojniejszy z tych dwóch ma na imię Bartosz. Dziś nic nie znaczy, jest prawie anonimowy.

– Dlaczego nas interesuje?

Wzruszył ramionami.

– Typują go na gwiazdę. A gwiazdami warto się zainteresować na wczesnym etapie rozwoju ich talentu. Kto wie, czy kiedyś nie zostanie prezydentem.

58.

Bartosz Nowak należał do osób wyjątkowo cierpliwych, wyważonych, spokojnych i kompetentnych. Pochodził z rodziny o dużych tradycjach patriotycznych, przez lata opowiadano mu o przodkach i korzeniach sięgających początków polskiej państwowości. Jego ojciec był uniwersyteckim profesorem, dziadek działaczem narodowym i bojownikiem zasłużonym podczas wojny. Bartosza uważano za naturalnego kontynuatora tej linii, od dziecka zdradzającego zainteresowania naukowe i polityczne. Miał duże zdolności językowe, świetną pamięć, skończył prestiżową uczelnię w Polsce i odbył kilka stypendialnych kursów na uczelniach w Anglii i Francji. Świetnie posługiwał się angielskim, niezłe rosyjskim i francuskim. Znał wystarczająco dużo słów, by dogadać się w prostej dyskusji z Niemcem czy Hiszpanem. Nawet trochę radził sobie z portugalskim.

Do Brukseli trafił z polecenia, najpierw do gabinetu politycznego jednego z posłów do Parlamentu, z którym jeździł pomiędzy stolicą Belgii a Strasburgiem i Luksemburgiem. Niedługo później jego umiejętności zauważył sam szef Parlamentu Europejskiego, dzięki czemu skierowano go do prac merytorycznych kilku komisji. Dziś wciąż pozostawał politycznie na zapleczu partii rządzącej, ale już typowano go na przyszłego kandydata do najwyższych stanowisk – także na premiera lub prezydenta.

Nadawał się na to stanowisko. Poza kompetencjami, miał uregulowane życie rodzinne, piękną żonę, dwójkę dzieci, stabilną sytuację finansową, żadnych ciemnych kart, no może poza przygodami z młodości, w tym epizodem narkotykowym.

Ten ostatni trochę dawał mu w kość, szczególnie ostatnio, gdy w Brukseli pojawił się dawny znajomy z ogólniaka – niejaki Andrzej, chłopak będący dokładną odwrotnością Bartosza. Andrzej nie skończył studiów, migał się przed ciężką pracą, nie bardzo radził sobie z dokumentami i emocjami, rozwiódł się zanim wziął ślub i ciągle potrzebował pieniędzy.

W szkole się przyjaźnili, razem popalali trawkę, mieli wspólne koleżanki, nawet jedną z dziewczyn. W sumie Bartosz poznał i zakochał się w przyszłej żonie dzięki Andrzejowi, dlatego, gdy nagle ten pojawił się w Brukseli, ciężko było mu odmówić i go zbyć.

Poszli na lunch, potem na parę kolacji, Andrzej wyblagał pracę u Bartosza. A teraz panoszył się po tej Brukseli, ciągle opowiadał, że jest asystentem (zaufanym!), prawą ręką przyszłego... och, co on tam nie wymyślał.

Coraz częściej namawiał Bartosza na chodzenie na skróty. Bartosz zaczął unikać dawnego przyjaciela, a teraz przeprowadził

się jeszcze z mieszkania, z którego od pewnego czasu razem korzystali, do hotelu.

„Na parę dni” – powiedział żonie, gdy dopytywała, czemu zmienił hotel. Nie chciał jej mówić o Andrzeju. Miała już wystarczająco dość jego długich nieobecności i różnych podejrzeń. Znany z bardzo luźnego sposobu bycia Andrzej wywołałby z pewnością awanturę, a tego nie potrzebował.

Tego dnia wyjątkowo udało mu się od rana unikać Andrzeja i właśnie załatwił jego przeniesienie do Warszawy, dzięki czemu za parę dni zniknie z jego życia. Uff, ale czuł ulgę. Dzięki temu był rozluźniony i wszystko znów zaczęło mu się układać. Nawet prace nad opinią o tych cholernych kredytach frankowych, które wcześniej czy później wywołają krach nie tylko w jego kraju, ale też w wielu innych. Narobimy sobie przez to problemów – przekonywał jedną z posłanek, którą zabrał na lunch.

Wieczorem wyszedł z biura rozluźniony i szczęśliwy. Poszedł na piwo i pomyślał, że może zbyt surowo potraktował tego Andrzeja. A potem wzięło mu się na wspominki i żale, że nie jest z rodziną, że traci tu czas, a przecież on jest w życiu najważniejszy. Traci go tutaj, zamiast spędzać dni z dziećmi i żoną, kochać się z nią, bawić z młodymi, chodzić na spacer, przyrządzać wspólne posiłki.

– To koniec. Ostatni rok – obiecał sobie. – Wracamy do Warszawy.

Z tym postanowieniem zrobiło mu się tak lekko, że postanowił wypić dwa piwa więcej. Hotel był blisko. Po dwóch machnął zatem jeszcze trzecie. Dobre mieli to piwo w tej Belgii. Wyjątkowo smaczne. Ważone na miejscu według receptur jakichś zakonników. Znali się na tym.

Wracał lekko podchmielony, tuż przed hotelem za długo spojrzął na jakąś blondynkę i ona się do niego uśmiechnęła. Cóż,

działał na kobiety. Był bardzo przystojnym mężczyzną i miał to coś w oczach. Cóż, kobiety też działały na niego, poczuł to teraz w spodniach, poczuł coś, czego nie chciał poczuć, bo jednak miał w życiu jedną najważniejszą zasadę: nie wolno zdradzić prawdziwej miłości. A on był prawdziwie, od dawna zakochany. I wierny.

To „coś” nic zatem nie znaczyło.

Wjechał windą na szóste piętro. Wysiadł i ruszył do pokoju. Za rogiem zawahał się, bo jakaś kobieta, równie piękna, a może nawet piękniejsza od tej blondynki na ulicy, nie potrafiła otworzyć drzwi kluczem elektronicznym.

Skąd wy w tej Belgii bierzecie tyle pięknych kobiet?

Wkładała ten klucz albo złą stroną, albo za szybko go przeciągała, bo ciągle zamiast zielonej, zapalała się czerwona lampka. Minał dziewczynę z uśmiechem, stanął trzy drzwi dalej, bez trudu otworzył zamek do swojego pokoju i po raz ostatni spojrzał na kobietę.

Piękna, wyjątkowo piękna.

Ostatni raz włożyła źle klucz i ze złością kopnęła w drzwi, przeklinając:

– Cholerna elektronika.

Niesamowite – pomyślał, że też się nie domyślił po jej rysach i tym charakterystycznym błysku w oczach.

– O, pani z Polski? – zawołał. – Cóż za przypadek.

59.

Powiniennem jej powiedzieć – pomyślał Marek, gdy Brunetka z wyraźnym zawodem zareagowała na jego wstrzemięźliwość.

– Musimy pogadać.

– Wiedziałam – mruknęła. – To koniec?

– Nie o to chodzi.

Spojrzała badawczo. Marek nie odwrócił wzroku, zamierzał to załatwić jak mężczyzna. Brunetka była naprawdę porządną kobietą i nie zasłużyła na to, co ją spotka. Nic nie mógł poradzić, że tak się stanie. To było poza nimi. Nie chciał być jednak jak ten cholerny agent Tomek, który bezwzględnie wykorzystuje wypracowane przez legendę kontakty.

– Musisz mnie uważnie posłuchać – poprosił.

Zmieszała się.

– Przecież słucham.

– Ale tak na poważnie.

Poprawiła włosy, niczego już nie rozumiała.

– No?

– Za chwilę wokół ciebie zaczną się dziać różne, bardzo dziwne rzeczy, dlatego ja muszę zniknąć i nie powinnaś o mnie nikomu mówić, dla własnego dobra. Własnego i małej, rozumiesz? Nie proszę o nic złego, nikt cię o mnie nie zapyta, po prostu zapomnij na jakiś czas, co się między nami wydarzyło.

– Nie rozumiem – bąknęła. W rzeczywistości dobrze rozumiała. Marek kończył ich związek. Z jakiegoś powodu musiał lub chciał. To było jasne. Ale ta wymyślona do tego otoczka wydawała jej się mocno naciągana.

– Marek, powiedz po prostu, że to koniec. Jesteśmy dorośli. Nie musisz zagrywać intrygami z kosmosu...

– Uwierz mi, naprawdę nie o to chodzi, ale nie mogę nic więcej powiedzieć. Postaraj się... po prostu wrócić do tego, co było przed...

– Aha.

– Wspomnisz moje słowa za kilka dni.

– Na pewno.

– Przepraszam.

Westchnęła. Miała nic nie mówić, ale w sumie to nie mogła się opanować i chyba nie chciała powstrzymywać.

– Wiesz co, Marek? Spierdalaj! Po prostu spierdalaj!

60.

Belmondziak pojawił się jak nocna mara, jak duch. Była tak zaskoczona, że omal nie krzyknęła i nie wydrapała mu oczu. Serce waliło jak oszalałe, z trudem łapała oddech.

– Przepraszam, nie chciałem cię wystraszyć.

Raz, dwa, trzy...

– Skąd znasz ten adres?

– Ela mi podała.

Chciała oskarżyć go o kłamstwo, ale po chwili zastanowienia uznała, że to jednak możliwe. Miały ze sobą jeszcze różne rozliczenia i Ela robiła wciąż przelewy, więc Monika podawała jej nowe dane, w tym adresy. Zmieniała bank, podawała nowy numer konta. Przy każdej umowie wpisywała adres. Pewnie wpisała też nowy. Nic dziwnego.

– Czego chcesz?

– Pogadajmy, zajmie to tylko chwilę.

– Zajmuję się już czymś innym.

– Wiem, ale wysłuchaj mnie. Zgodziła się zejść do pobliskiej sieciówki na kawę. Tam Belmondziak szybko przeszedł do rzeczy:

– Stary umiera – nie musiał dodawać, że ma na myśli Muzyka. Belmondziak był znanym agentem wielu gwiazd, ale najbardziej przyjaźnił się z Muzykiem. Ich relacja była szczególna, choć Monika nigdy nie poznała źródeł. To Belmondziak zawsze ją przekonywał, że powinna dobrze żyć z Muzykiem, bo jego wpływy w tym środowisku są ogromne i pozostaną także po śmierci. –

Chce uporządkować stare sprawy. Nie chce, żeby na dzieci czy wnuki wylało się wiadro pomyj, jak odejdzie.

– Nie zamierzam o nim nic mówić.

– Teraz nie zamierzasz, a potem nie wiadomo. Chce się upewnić, żeby spokojnie odejść.

– W jaki sposób?

– Podpiszemy umowę. Zobowiązasz się, że nie powiesz nikomu o waszym związku, a on w zamian...

– Nie było żadnego związku – przerwała.

Uniósł do góry dłonie w geście: ja tylko przekazuję, ja nic nie wiem, jestem tylko pośrednikiem.

– Chodzi o wasze relacje.

– Relacje polegały na tym, że twój mocodawca mnie gwałcił i wykorzystywał.

– Ja nic nie chcę wiedzieć...

– Musisz wiedzieć – Monika nagle się rozkręciła. – Skoro przychodzisz w jego imieniu, powinieneś wiedzieć. Miałam dziesięć lat, gdy się do mnie dobrał pierwszy raz, wiesz? Może nawet mniej, nie bardzo pamiętam. Stało się to w piwnicy jego domu, a potem w wielu innych miejscach. W samochodzie, w jego biurach, w zakamarku hali produkcji telewizyjnej, gdzie sobie tylko zażyczył. Gdy robił to w domu, za ścianą spała jego żona, słynna piosenkarka – miała dobry sen i słaby słuch. Wiedziała, że trzeba nas, małe dziewczynki, przed mężem chronić i zamykać. Skąd wiedziała? Jak mi wsadził pierwszy raz swojego chuja byłam małą dziewczynką. To nie było z miłości ani z dobra. Po prostu chciał się we mnie spuścić, rozumiesz?

– Przestań, proszę...

– Robił to, bo mnie od siebie uzależnił, bo oplótł wokół palca moją mamę, całą moją rodzinę i otoczenie. Bo był autorytetem,

który przecież nie mógł nic złego robić, co nie? A jednak robił. Robił bardzo złe rzeczy.

– Zapłaci ci.

– I to wystarczy? Wtedy też płacił, żeby mnie gwałcić. Uważa, że na tym się to powinno skończyć?

– Nie chce skrzywdzić innych. Niewinnych...

O kim myślał? O żonie, która przecież musiała wiedzieć, a jednak przez te wszystkie lata milczała? Czy może o córce? Cóż, może to jednak jest już bez znaczenia.

– A ja? Nie liczę się? To ja jestem winna, że mnie wykorzystał? Że mnie zgwałcił? Ja mam za to płacić? Przepraszam najmocniej wysoki sędzie, że mając dziesięć lat dałam się zgwałcić mojemu nauczycielowi, przy aprobacie jego żony, mojej matki, producentów i innych notabli. Winna. Zapłacę.

– On płaci.

– Ile?

– Dwieście tysięcy.

– Phi, tyle to zarabiam...

– Nie może więcej. Jest was... zbyt wiele. Musi dać też innym.

Monika oniemiała. Wiedziała. Czuła w środku, że nie była jedyna. Że wcześniej kogoś takiego miał. Że po niej były inne. Ile?

– Ile nas jest?

Belmondziak przełknął głośno ślinę.

– Nie nagrywasz?

– Gdzie miałabym schować podsłuch? – Miała na sobie lekką sukienkę, telefon komórkowy został na kuchennym blacie.

Skinął głową, dając znać, że jej wierzy.

– Wiele. Zrozum. Jak każda z was dostanie dwieście, to i tak on się mocno wykosztuje, a musi przecież uważać, żeby córka się nie zorientowała...

– Wiele – powtórzyła Monika, a potem oznajmiła: – Nic od niego nie chcę. Nie przyjmę żadnych pieniędzy.

– Ale...

– Co, ale?

Belmondziak poprawił opadające na czoło włosy.

– Nie powiesz nikomu? Nie zdradzisz go?

Prychnęła.

– Idź już.

– A nie mogłabyś chociaż podpisać tego pisma, że nic nie powiesz? Wiesz, bez żadnych zobowiązań. Po prostu podpisujesz, że coś tam było, ale nic nie będziesz mówić... Tak, żeby stary spokojnie mógł umrzeć.

– Niech zdycha niespokojnie – warknęła.

– On nie jest zły, przecież wiesz.... Nie zasługuje na...

– Zasługuje na prawdę. Tylko tyle.

– Ale...

– Tylko prawda ma znaczenie.

61.

Marek nie krył zaskoczenia. To zlecenie zamierzał obsłużyć sam, nie potrzebował jej. A jednak się uparła, żeby z nim jechać.

– W porządku, ale nie szarżuj, dobrze?

– Będę grzeczna – obiecała.

Założyła gustowną suknię zgodnie z sugestiami, w której prezentowała się jak prawdziwa dama. Marek przyszedł po nią w bardzo eleganckim smokingu, poprowadził do równie gustownego Aston Martina. Wyglądali trochę jak para z „Jamesa Bonda”, ba! nawet samochód pasował.

– Nie gramy w filmie? – upewniła się.

– Tego nie wie nikt – odpowiedział zagadkowo.

Przyjęcie, na które zmierzali, odbywało się w austriackim zamku. Marek nie wiedział dokładnie dlaczego, ale powiedziano mu, że z powodu zagranicznych potencjalnych inwestorów. Płatnik, jedna z czołowych polskich firm z sektora finansowego, organizowała w zasadzie największą ofertę sprzedaży akcji w Europie w tym roku. Było to spektakularne, bo chyba po raz pierwszy wychodzili na całą Europę, a nie tylko na region. Dużą kampanię zorganizowano także w londyńskim City, a nawet wykupili reklamy w USA. To coś znaczyło.

– Polska firma też może uderzyć globalnie, przynajmniej tak im się wydaje – szepnął Marek.

– A ty jak myślisz?

– Dla mnie to trochę chucpa, ale pewnie się uda. W sumie na tym to polega.

Nie chciał tylko powiedzieć, jaka jest jego rola i czy ktoś mu zapłacił. Po tym, co zobaczyła w Brukseli, wcale nie zamierzała pytać. Sama też rozumiała nieco inaczej własną rolę i było z tym jej dobrze. Już nie jestem kurwą, jestem agentką, ot co! To chyba wyższy stopień?

Dzień wcześniej w hotelu byli świadkami dość zabawnej sytuacji. Jakiś pijany Rosjanin w barze hałaśliwie szukał chętnych do operacji uwiedzenia kanclerza Austrii.

Głośno opowiadał, że chętnie zatrudni „na etat” dziewczynę, która przekaże jego ofertę kanclerzowi.

– Najchętniej studentkę, ale pani Moniczka też się nada – zaproponował Markowi po krótkiej rozmowie.

– Pani Moniczka już zajęta – odparł Marek grzecznie i z sympatycznym uśmiechem, – ale tam siedzi samotnie taka dziewczyna z Bośni, studentka. Warto zagadać.

– Pewnie, że warto. Krasawica – ocenił Rosjanin.

– Jak mu się to uda, to kaktus mi tu wyrośnie – skomentowała Monika.

– Uważaj, bo to odważny zakład.

– No co ty, przecież to jakiś gruby żart.

– Dlaczego? Kanclerz lubi takie laski, ciebie też by chętnie „wysłuchał”. Wystarczy go dobrze podejść i już masz chłopaka na smyczy. W pewnym wieku politycy dzieciennieją. Są łatwiejsi i bardziej naiwni od nastolatków.

– Więc czemu nie spróbujesz?

– A po co mi kanclerz Austrii? Po co mam się mieszać w interesy, które mnie przerastają? Byli już tacy i dobrze nie skończyli. To nie mój poziom, nie moja bajka. Ja nie widzę w tym żadnych korzyści. Mogłbym tylko sobie narobić kłopotów, praktycznie bez żadnych potencjalnych zysków. Co innego Władimir. O, on ma w tym interes. On lubi takie rozgrywki, jego one ekscytują.

– Czy obecność tego Rosjanina tutaj ma znaczenie? Czy ta cholerna oferta nie jest dla nas niebezpieczna?

– Owszem – odparł Marek. – To na pewno też analizuje. Jeśli uzna, że trzeba nam zdestabilizować rynek finansowy, taka firma nada się aż za dobrze. Wiesz, cały ten nasz koszmarek giełdowy aż się prosi, żeby go spenetrować i poważnie przetrzepać. Praktycznie każda oferta jest robiona w celu „sfinansowania kosztów emisji”.

– Nie rozumiem?

– Pozyskujesz pieniądze tylko po to, żeby zapłacić za to pozyskanie i poprawić sobie płynność, a w niektórych przypadkach zwyczajnie je ukraść. Takie perpetuum mobile przy nieświadomości dawców kapitału. Rynek przeżarty jest przez korupcję, układy i niemoralne postępowanie sprzedawców. W to

wszystko wmieszany jest audyt, doradcy, maklerzy, banki i nadzór. Instytucje zaufania publicznego to pic na wodę fotomontaż, bo one na każdym kroku tylko patrzą, jak tu złupić klienta, zamiast dać mu zarobić lub chociaż rzetelnie obsłużyć. Poziom patologii jest niebotyczny i trudny do zrozumienia, no ale klasyczny dla republik bananowych. Dlatego normalni inwestorzy dawno z niego odpłynęli. Pozostali jedynie hazardziści, ale i ci już też uciekają, bo jednak z oszustami ciężko wygrać, a internet dał niebywałe możliwości dla takich uzależnionych straceńców. Od czasu do czasu zdarzają się próby wrobienia podstępem jakiejś grupy ludzi i z taką mamy tu do czynienia. Będą cię przekonywać, że warto, że to dla zysku, a tak naprawdę chodzi tylko o pobranie prowizji.

– I tak jest wszędzie na świecie?

– Nie do końca. Tam możesz trafić na takie rodzyнки jak Google, Facebook, Tesla, dziesiątki innych, które narodziły się w garażach, a potem, także dzięki kapitałowi z giełdy, wyrosły na globalnych gigantów, dzieląc się zyskami z tymi, którzy w nie uwierzyli. U nas, niestety, chodzi tylko o zgarnięcie haraczu. A ponieważ rynek się kurczy, a gąb do wyżywienia nie ubywa, zatem stawki rosną, a sposoby naboru naiwnych są coraz bardziej bezczelne i coraz trudniej ukryć istnienie zorganizowanego systemu tego oszustwa, począwszy od systemu emerytalnego, przez banki, po nadzór. Wszyscy są umoczeni.

– A może wszyscy chcą umoczyć? – za ich plecami pojawił się Olo. – Cóż za spotkanie, Mareczku, w takich pięknych okolicznościach przyrody. Na dodatek z cudowną Moniczką, ale dojrzałaś dziewczyno, no pięknie, cudnie wyglądasz. Że też ja cię puściłem od siebie.

– Nawet doradziłaś ucieczkę – mrugnęła okiem.

– Czasem cierpię na dobre serce.

– Co u Wojtusia?

– A wyobraź sobie, że zniknął, biedaczysko. Wcześniej trochę narozrabiał. Kilka osób cierpiało przez niego. No, ale jak się daje cierpienie, to w pewnej chwili się odbiera. Słyszeliście o równowadze światła i ciemności, prawda?

– Tylko nie wchodźmy w Kabałę – zaznaczył Marek. – Już mnie próbowałeś zachęcić w Los Angeles...

– Nawet Madonna go nie przekonała – Olo wyjaśnił Monice. – Byliśmy w Centrum Kabały razem, każdy, kto to zobaczy, chce być z nami, a ten jeden się oparł.

– Mam inne spojrzenie na świat.

– I tak ostatecznie zrozumiesz swój błąd. Możemy spróbować cię przekonać już teraz, bo zobacz, kogo przyprowadziłem...

Dwaj niepozorni, ubrani tradycyjnie Żydzi z pejsami wijącymi się po policzkach przenikali jak cienie pomiędzy bankierami. Na pierwszy rzut oka nie wyglądali na osoby rządzące światem czy wielkich bogaczy.

– To rabin Jeshua Oz i Avi Bergman – wyjaśnił Olo. – Pierwszy ma pod sobą jakieś sto miliardów, drugi... nawet nie policzę. Skromni, religijni, bardzo przyjaźnie nastawieni ludzie. Ja ich, nie chwając się, tu przywiodłem. Jedno ich pierdnięcie waży tyle, co cały ten pałac.

– Oby się zaraz nie okazało, że to my im jesteśmy winni te sto bilionów.

Olo roześmiał się szczerze.

– Jaka niespodzianka. O antysemityzm to cię, Mareczku, nie podejrzewałem.

– Tak jak ja ciebie o bezinteresowność – odparł z uśmiechem Marek.

– Tak w ogóle, to pozwól na stronę.

Olo odciągnął Marka na bok i upewniwszy się, że nikt ich nie słyszy, szepnął:

– Wiesz, ludzie zaczynają różnie gadać.

– Jacy ludzie?

– Tacy, co dużo wiedzą.

– O czym?

– No, o tobie i Moniczce, i paru innych dobrych osobach, z którymi się lubiliśmy, które poznaliśmy...

– Mów wprost – uciął Marek.

– Wprost to taka gazeta – Olo uśmiechnął się niepewnie. – Swoją drogą mówią, że coś właśnie w tym „Wprost” ma wybuchnąć. Ty nie masz z tym nic wspólnego, co?

– A co mówią?

– Wiesz, że ja tak wprost to nie lubię. Nasza branża składa się z niedopowiedzeń i to znacznie lepiej się sprawdza.

– Trudno dementować niedopowiedzenia.

Olo skinął głową.

– Mówią, że jakieś nagrania się pojawiają. Że tych nagrań dużo, nawet bardzo i że są tam mocne materiały.

– Co ja miałbym mieć z tym wspólnego?

– No właśnie. Masz coś? – Olo skończył z niedopowiedzeniami.

Marek pokręcił głową.

– Nic nie wiem – skłamał.

– Bo wiesz, jak ty byś coś nagrywał, to by była straszna wtopa dla nas wszystkich. Takie nagrania to w ogóle byłoby coś nie do pomyślenia...

– Nie lubię nagrywać. Brzydzę się tym.

– O, to chciałem usłyszeć – uśmiechnął się Olo. – Ale tak hipotetycznie: gdybyś jednak nagrywał, to kolegi byś nie nagrał,

prawda?

– Tylko chuje nagrywają kolegów.

62.

Monika przez chwilę przyglądała się rozmowie Ola z Markiem, a potem skupiła wzrok na starszym mężczyźnie, który przypominał jej byłego premiera. Był w towarzystwie przepięknej, długonogiej blondynki, która uśmiechała się zalotnie do kolejnych poznawanych finansistów. Kobieta była bardzo atrakcyjna, seksowna, miała znaczące rumieńce na twarzy. Mężczyźni uwielbiali takie sygnały.

– Kto wie, może zostanie pierwszą panią prezydent – usłyszała z boku.

Stał przy niej wysoki, szczupły mężczyzna ze starannie uczesanymi włosami.

– Bogdan – przedstawił się. Powiedział, że jest bankierem, jednym z tych, którzy spinają transakcję. Monika pomyślała o słowach Marka i chyba niechęć wykwitła na jej twarzy, bo Bogdan dodał: – I nie należę do tych, którzy pobierają haracze. Bazuję na zaufaniu i uczciwości.

– Słyszałam, że jak ktoś mówi o uczciwości to należy na niego szczególnie uważać.

– To prawda, ale zdarzają się też szczerzy i uczciwi.

– I pan do nich należy?

– Bogdan, poproszę.

– I ty do nich należysz?

– Staram się. Poproszę o szansę, a udowodnię.

– Jakiego rodzaju szansę?

– Proszę powierzyć mi powiedzmy tysiąc, a za tydzień oddam dziesięć – zaproponował.

– Hm, a jak stracę ten tysiąc?

– To może zrobimy inaczej, ja za ciebie założę ten tysiąc, a oddam dziesięć.

Czy to była negocjacja ceny za noc? Nie była zainteresowana.

– Nie szukam dziś możliwości... inwestycyjnych.

– Jest jakaś szansa, żeby cię przekonać?

– Próbuje – nie mogła oderwać wzroku od tej blondynki, więc uznał pewnie, że to jest jakaś szansa, bo powiedział:

– Zdradzę więc ci tajemnicę. Za tydzień Stary ogłosi, że nominuje Blondi do kandydowania na urząd prezydenta. Jeszcze prawie nikt o tym nie wie, więc to informacja warta całkiem sporo. Na dziś oczywiście, bo za tydzień wartość spadnie do zera. Czasem tak bywa, trzeba umieć wykorzystać wiedzę lub walory, gdy mają maksymalną cenę. W tym tkwi zresztą tajemnica sukcesu wszystkich inwestorów, z których część widzisz tutaj.

– A ty skąd o niej wiesz?

– Namówiłem Starego.

– A to jakim sposobem?

– Ano takim, że przekazałem mu prośbę od Jasia.

– Od kogo?

– A... takiego Misia.

Pomyślała o Dużym Misiu, ale Bogdan chyba naprawdę czytał w jej myślach, bo zaraz zaprzeczył.

– Nie, nie, nie. Nie tego Misia. I nawet nie chodzi o żadne relacje korupcyjne, choć Stary nie jest od nich wolny.

– To znaczy?

– Pamiętasz jak sprzedawano taką spółkę – w tym momencie napisał jej krótką nazwę na dłoni – portal internetowy Techkomowi?

– Nie – zaprzeczyła.

– No więc tam przy transakcji nagle dostawiono jedną spółkę, która zyskała w parę dni milion dolarów. Być może słyszałaś... nie, no to ci chętnie opowiem. Otóż część akcji udziałowiec sprzedał zamiast do Techkomu spółce krzak, a spółka krzak po paru dniach odsprzedała te same akcje, doliczając sobie milion dolarów. Czysty zysk, tylko jedna operacja. To była kaska dla Starego od dawcy. Stary wziął, w normalnym kraju byłby na wieki skompromitowany, bo sprawa wyszła, a u nas wyznacza kandydatów na prezydentów.

– To trzeba by jeszcze udowodnić – zaznaczyła.

– W tym państwie? Żartujesz? Można to udowodnić w jeden dzień, ale przecież nikomu na tym nie zależy. Tu nawet jak dowody leżą na ulicy, nic nikomu nie udowadniają. Takie mamy służby, system, sędziów, a może i oczekiwania społeczeństwa, któremu wystarczą obietnice.

– Ale powiedziałaś, że Staremu akurat nie chodziło o korupcję.

– W przypadku kandydatki na panią prezydent? Nie, to układ towarzyski. Żona Jasia przyjaźni się z Blondi, sobie wymyśliły, że fajnie by z niej zrobić panią prezydent, albo chociaż kandydatkę. Same są ciekawe, czy to się uda.

– Przecież to głupie.

– W kraju kretynów głupota jest zaletą.

– Bez szans.

– Też tak sędzę, ale ile będzie przy tym zabawy. A wyobraź sobie, jaki panie i panowie będą mieli ubaw, jak się okaże, że ich opinia o wyborcach jest zasadna. Jasio ostatnio wziął sobie nową stewardesse, sprawa się odrobinę rozlała po salonach, mówi się, że żona wściekła, to ją chce trochę udobruchać. To co, namówię cię choć na drinka?

Marek zniknął gdzieś z Olem, nie mogła go nigdzie dostrzec. Może Bogdan był dobrą opcją na przeczekanie?

– Zgoda, ale tylko jednego.

63.

Marek nigdzie nie mógł odnaleźć Moniki. Chwilę jeszcze jej szukał, po czym stanął z boku i skupił się na obserwowaniu nawiązywanych właśnie relacji. Mieszało się tu wszystko. Prawicowcy z lewicowcami, narodowcy z działaczami LGBT, gwałceni z gwałcącymi. Jakby byli w miejscu, w którym poglądy, idee czy nawet doświadczenia nie mają żadnego znaczenia. Liczą się tylko pieniądze, które można zarobić. Olo właśnie podszedł do byłego premiera Starego, ściskającego jakąś atrakcyjną blondynkę, po chwili dołączyli do niego dwaj żydowscy inwestorzy, następnie agent rosyjskiego wywiadu, wreszcie sam Minister, ojciec Patrycji. W telewizji tak się zarzekał, że dopadnie Starego za tę łapówkę na akcjach portalu sprzedanego Techkomowi, a tu... proszę, dwa zaprzyjaźnione mysie pysie.

Przy głównym wejściu zrobił się rumor i do sali weszli oczekiwani przez wszystkich goście – Duży Miś i Jasio.

Większość finansistów rzuciła się powitać najważniejszych ludzi w Polsce. Wśród nich było kilku mniejszych inwestorów, którzy wkrótce mieli przejąć pierwsze skrzypce, bo tak przecież zawsze się dzieje. Młode wilczki zastępują starych. Powoli era Jasia i Dużego Misia mija. Zastąpią ich Ernest, Wolak, Wolski, którego już nazywają Cesarzem, co doprowadza niekiedy do zabawnych pomyłek.

– Pan nie biegnie do kolejki, by uściskać dłonie władców? – usłyszał z boku.

Spojrzał zaskoczony na stojącego obok dziennikarza. Znów się spotkali, choć dotąd ich sobie nie przedstawiono.

– Kuba Zimny – dziennikarz podał mu dłoń.

Marek uściśnął ją z wyraźną niechęcią; czuł alkohol od Zimnego, który poza tym nawet nie potrafił się ubrać na takie przyjęcie. Jakiś tani garnitur, niedopasowany, koszula chyba od Chińczyka, niedoprasowana. Jezu, dzieciaku, wyglądasz, jakby cię porwali i zrzucili tu na spadochronie niczym lokalną atrakcję. I te za długie włosy...

– Marek.

– Cały czas działa pan niezależnie czy związał się już z jedną lub drugą stroną? – zapytał Zimny.

Marek rozważał, co mu odpowiedzieć i o co w zasadzie pyta. W środowisku dziennikarskim rozpuszczano czasem plotki, że Marek jest człowiekiem Jasia, a inna grupa mówiła, że Dużego Misia. Oczywiście to była nieprawda. Tak samo jak zmyślane okazały się doniesienia o rzekomej wojnie biznesmenów. Łączyła ich może chłódna, może nacechowana rywalizacją, ale jednak przyjaźń. Zarówno on, jak i Olo spinali wiele wspólnych biznesów obu przedsiębiorców. I niestety tak Marka, jak i Ola, nie dopuszczano do tych największych, gdzie biznesmeni bezpośrednio kumali się z ministrami, premierami i prezydentami.

Marek bardzo chciał to zmienić. Na razie bez powodzenia. I chyba już niestety tak zostanie.

– Człowiek wolny nie chce być niewolnikiem.

– Ale może skutecznie udawać.

Marek spojrzał na Zimnego. Może ten dziennikarz nie był aż tak głupi, jak myślał rzekomy lobbysta.

– Podobno wywalili pana z Expressu, to prawda?

– Podobno.

– To co pan tu robi?

– Udaję niewolnika – uśmiechnął się.

- Czyjego?
- A to już jest wiedza zastrzeżona.
- Wiedzą zastrzeżoną dobrze się handluje.
- Co pan proponuje w zamian?

Marek wzruszył ramionami. W tym momencie zobaczył w kolejce do Dużego Misia maklera, którego nazwisko musiał wygrzebać gdzieś z głębi, ale w końcu sobie przypomniał: Karol Trybuchowski z Krakowskiego Domu Inwestycyjnego. Pijak, ale bardzo sympatyczny. Prawicowiec hipokryta, jak oni wszyscy. Niby religijny, wróg Gazety Wyborczej, hasła o uczciwości na sztandarach, a w prawdziwym życiu totalne zaprzeczenie szczytnych ideałów.

Marek nie wchodził w interesy maklerów, więc nie był pewien, czy to, co pisał o Karolu Zimny było prawdą, ale zapamiętał ich konflikt jeszcze z lektury Expressu. Dziennikarz twierdził chyba, że Trybuchowski korumpuje samego przewodniczącego Komisji Nadzoru Finansowego, niejakiego Klasyka. Zarzuty wyglądały poważnie, bo Klasyk dostał akcje KDI, na których zarobił chyba z dziesięć milionów. Jak ktoś taki miał po tym wszystkim nadzorować ten dom maklerski? Szczególnie, jeśli poza interesami, przyjaźnił się z Karolem, pił z nim wódkę, może nawet chodził na dziewczyny. W polskiej rzeczywistości ani to nikogo nie dziwiło, ani nie bulwersowało. Jedynie Zimnego, który kipiał oburzeniem, lecz nic nie mógł wskórać, skoro wszyscy inni odwracali wzrok. Ślepe portfele? Konflikt interesów? Insider trading? Kurwa, kto by u nas rozliczał za coś takiego?

- Lubi pan podobno mówić, że wystarczy, żeby dobrzy ludzie nic nie robili, a zło zwycięży?
- Już nie. Kiedyś wydawało mi się to prawdziwe.
- A teraz dlaczego się zdezwuowało?

– Może dlatego – Zimny wskazał w kierunku, w którym patrzył Marek.

Do Karola Trybuchowskiego podszedł niepozorny mężczyzna w okularach. Marek z początku go nie rozpoznał, a potem omal nie przeklął. Kolejny pijak. Dwóch pijaków zawsze się ze sobą dogada. Gorzej, że jeden był podejrzewanym o korupcję maklerem, a drugi byłym szefem Centralnego Biura Antykorupcyjnego, który, gdy o podejrzeniach pisał Zimny, prowadził w tej sprawie śledztwo. No tak, pijany spadnie z czwartego piętra, otrzepie się i wróci na imprezę, dopiero rano dostrzegając siniaki i ewentualne złamania. Nic ich nie zniszczy.

– Teraz pan rozumie?

– Znają się ze starych czasów – mruknął Marek.

– To coś zmienia? Stare czy nowe czasy? Konflikt interesów jest dość jasno określony zarówno w prawie, jak i w sensie moralnym. Tak wiele trzeba, by go dostrzec? A przecież wystarczyłoby się z takich spraw wyłączać i nie byłoby zarzutów, a tak... Wie pan, jak to się skończyło?

– Nie – przyznał Marek. Nie śledził sprawy aż tak.

– KDI zbankrutowało, a fundusze, którymi zarządzali przestały wypłacać pieniądze. Po kontroli okazało się, że ich kasę lokowano w inne bankrutujące firmy.

– Zgaduję, że nie były to drobne kwoty.

– Zależy dla kogo. Dla Jasia czy Dużego Misia może i drobne, dla osób, które ulokowały tam swoje oszczędności te kilkaset milionów mogły oznaczać nawet życie.

– Nie warto go przeliczać na pieniądze.

– Z pewnością wszyscy oni tak myślą – Zimny zrobił gest dłonią, jakby miał na myśli wszystkich tych finansistów.

– A robią dokładnie coś innego – dokończył Marek za dziennikarza. – To jak, powie mi pan, czyjego niewolnika udaje?

– Prawdy – szepnął Zimny. – Jeden z tematów KDI wciąż nie daje mi spokoju.

– Tak, który dokładnie?

– Podobno przy każdej ofercie wynajmowali dziewczyny do towarzystwa. Tak, żeby zarządzający funduszami emerytalnymi czuli się lepiej niż na imprezach konkurencji. Podobno ich przyjęcia słynęły z tego.

Marek skrzywił się z niechęcią.

– Podobno – mruknął.

– Prawda czy nie?

– Coś było w tabloidach, ale ja nie komentuję plotek. Plotki, panie Jakubie, mają to do siebie, że nawet jak zawierają ziarno prawdy, ono zostaje zdeptane przez kłamstwa. Ciężko potem je wyłowić, oczyścić.

– Mówiono, że te imprezy obsługiwał jeden wyjątkowy stręczyciel.

Oho! panie Zimny, zaraz pan zasłuży na odpowiedź według kodeksu Boziewicza.

– Tak? Zna pan nazwisko?

– A pan? Podobno pan wie wszystko?

– Zdecydowanie przesada. O procederze, o którym pan mówi nie mam zielonego pojęcia.

– Ale prawda dla pana też ma znaczenie?

– Jeśli jest prawdziwa.

Zimny pokiwał głową, dopił drinka i bez pożegnania ruszył w kierunku wyjścia.

Prawda właśnie wychodzi, pomyślał Marek, a potem przez dłuższą chwilę zastanawiał się nad tym dziennikarzem, o którym

tyle złego słyszał. Może niesłusznie go ocenił. Popatrzył na byłego już szefa CBA i zaczął się zastanawiać, czy jest jakaś szansa, żeby poznać go z Moniką. Albo chociaż z Dieslem. Gdy na horyzoncie pojawiła się Monika, właśnie do maklera i szefa służb podchodził jakiś gruby facet w okularach o nieco zniewieściałych ruchach, w towarzystwie odrobinę mniejszego mężczyzny o twarzy przypominającej fokę. Wyszli z kolejki do Dużego Misia i ruszyli na taras. Marek – niby od niechcienia – poszedł w ich kierunku, ale za dużo nie zdołał usłyszeć, bo gdy tylko się zbliżył, zamilkli. Zdażył tylko złapać parę słów. Coś o podsłuchach, Ciechu, ośmiorniczkach i budce strażnika.

64.

Zimny czekał w zaparkowanym samochodzie, tak jak sugerował jego informator. Było już koło trzeciej w nocy i impreza dobiegała końca. Wypił trochę, więc i tak chciał odczekać, żeby nie wpaść na jeździe po pijaku, choć nie sądził, żeby przekroczył dozwolony limit. Zamierzał przeczekać do rana, może dłużej. Nieraz spał w samochodzie.

Informator twierdził, że jeśli go posłucha, Zimny będzie mógł udokumentować fakt wynajmowania przez maklerów pań do towarzystwa, ale niestety, mimo że bardzo uważnie się przyglądał, nie był w stanie znaleźć jakichkolwiek dowodów na potwierdzenie stawianych tez. Nie pierwszy i nie ostatni raz dał się nabrać, pomyślał.

Owszem, pięknych kobiet na przyjęciu kończącym road show Polskiego Zakładu Usług Finansowych było co niemiara. Pewnie nie jeden prezes i makler sobie robili z tego żarty i zapewniali, że „wiedzą” o ich roli. Tylko czy to oznaczało, że można było je oskarżać o uprawianie najstarszego zawodu świata?

Może dla nowych mediów tak, bo utarła się praktyka, że wystarczy kogoś znać, zostać z kimś zobaczonym, albo o kogoś się otrzeć biznesowo i towarzysko, a dziennikarze od razu wyciągali proste wnioski. Gdy Zimny któremuś zarzucił, że to nadużycie, ten się popukał w głowę i odparł:

„A co, może mam chodzić za jednym tematem pół roku, jak ty? Kto mi za to zapłaci? Toż przecież jeśli w jednym KRS mamy dwa nazwiska, to znaczy, że się znają, nie?”

W ten sposób można udowodnić wszystko, nawet działanie na rzecz Rosji rzekomych agentów. Ech, KGB pewnie żałuje, że nie miała takich możliwości dawniej.

Żeby jeszcze wskazane w KRS osoby należały do „podejrzanych”, ale ten dziennikarz akurat oskarżył o znajomość ludzi, którzy mieli po prostu te same nazwiska, jak jego podejrzani, a nawet o sobie nie wiedzieli, nie będąc żadną rodziną, ani współnikami. Przypadkowa zbieżność nazwisk, zdaniem tego dziennikarza niemożliwa, bo sprawdzić numerów PESEL mu się nie chciało. Zdaniem sądu warta przeprosin i odszkodowania. Ale to za pięć lat.

Cóż, nie da się zawrócić kijem rzeki.

„Ty i twoje zasady to przeszłość. Dziś trzeba myśleć nowocześnie. Zresztą spójrz, jak skończyłeś. Jako niewiarygodny błazen, którego nikt nie chce słuchać” – ocenił go niedawno przyjaciel z prokuratury. Tyle lat razem, tyle wspólnych, prawdziwych tematów, które rozwiązywali miesiącami, próbując rozgryźć poszlaki i gromadząc dowody. A w jego głosie poczuł nie tylko współczucie, ale coś na kształt pretensji: jak, do cholery, mogłeś do tego doprowadzić? Jakim cudem taki gość jak ty, człowiek, który wygrał wszystkie procesy sądowe, pisał tylko

prawdę i przez dziesięć lat zbudował niebywałą wiarygodność na rynku, stracił ją w parę tygodni, bo nie potrafił „w nowe media”?

No tak, niewiarygodny błazen, dobre określenie. Kilka razy próbował zainteresować media tematami, które do niego trafiały, ale lekceważono go albo nie ufano przekazywanym dokumentom. Nie raz miał ochotę wybuchnąć, że przecież ich nie podrobił, że wystarczy je przeczytać, by ocenić, ale machnął ręką, bo... tym ludziom nawet się nie chciało czytać. Oni tkwili w świecie, w którym trzeba im pokazać coś na zdjęciu, opowiedzieć w trzech zdaniach, zaprezentować na filmie czy podsłuchu, ewentualnie wypunktować w streszczeniu, byle nie za długim.

Dokumenty? Akta? Grzebanie w papierach? Kto nam za to zapłaci? Kto kupi nasz czas?

Nie rozumiał tego nowego świata mediów. Nie rozumiał, że dowody nic nie znaczą, bo lepsze są fejki, prowokacje, marketingowe ściemy i żarty w postaci puszcanych na Twitterze przecieków.

Zajął się sobą i stwierdził, że będzie pisał już tylko książki na zlecenie. O dziwo nie narzekał na chętnych. Ba! Nawet miał kolejkę.

Czasem jednak, jak w tym przypadku, przeszłość go ściagała i nie mógł się powstrzymać, by choć spróbować wyjaśnić sprawę. Ciągnie wilka do lasu.

„Pamiętasz zarzuty o wynajmowanie prostytutek przez KDI? No to możesz to udowodnić. Zainteresuj się szczególnie tym człowiekiem. To on organizuje ten biznes” – sprawę zapoczątkował mail tej treści, a dołączone zdjęcie przedstawiało mężczyznę, z którym przed chwilą rozmawiał i który przedstawił się tylko imieniem Marek. Na zdjęciu stał obok pięknej kobiety o imieniu

Monika (tak dopisał informator), gdzieś na jakimś luksusowym jachcie.

Do dziś dostał wiele poszlak i niby dowodów. Informacje o wycieczkach do RPA, USA, na Malediwy, w dziesiątki innych miejsc. Wycieczki sponsorowane przez wielkie koncerny i firmy. Ale tak naprawdę niczego twardego nie znaleziono. Trudno więc było zadać temu facetowi pytanie wprost. A już tej Monice? Co miał zrobić? Podejść do niej i wypalić: „Czy przypadkiem nie jest pani luksusową prostytutką?” A może od razu dodać: „Jeśli tak, to ja chętnie napisałbym o pani książkę.”

„Poobserwuj, a będzie ci dane” – zakończył informator.

Ukrywał się za nickiem i fałszywym adresem w sieci, ale Zimny za pomocą przyjaciela – hakera Grubego – trochę poszperał i znalazł powiązanie z serwerem używanym przykrywkowo w zasadzie tylko przez jedną ze służb specjalnych. Zadziwiające, jak oni potrafią dać ciała. Z drugiej strony może zrobiono to specjalnie – teoretycznie uwiarygodniając informatora. Jeszcze z innej beczki: Zimny pamiętał, że w zasadzie każdy news przekazywany przez służby był manipulowany niemal zgodnie z wzorcem żartu o Radiu Erewań. Na koniec wszystko okazywało się zupełnie inaczej niż w przekazanym „grepsie”.

No, ale nawet jeśli ten Marek nie jest stręczycielem, a ta Monika prostytutką, to w jakiś sposób ich osoby go zaciekały. Zdążył już ustalić, że cypryjskie spółki Marka pojawiają się przy wielu operacjach, wystawiają faktury za różne usługi, pomagają w wyjazdach referencyjnych wielkim korporacjom, państwowym firmom i urzędom, a sam Marek jest uznawany za jednego z najbardziej sprawnych lobbystów i organizatorów przeróżnych przedsięwzięć. Znał wszystkich, wszyscy znali jego.

„Cóż, może to jeszcze nie prostytutka, ale zobaczymy.”

Koło trzeciej większość gości opuściła pałac, rozjeżdżając się do hoteli. Marka i Moniki wciąż nie było. Dopiero przed czwartą wyszli z pałacu, ale nie wspólnie.

Najpierw ona w towarzystwie jakiegoś wysokiego bankiera w wieku około czterdziestu lat. Szczupły, nie wyróżniający się z tłumu, w normalnym świecie raczej nie miałby większych szans uwieść kogoś takiego jak Monika. Czy to dowód? Szli jakby byli w dobrej komitywie. Za nimi Zimny zobaczył samotnego Marka. Wydawał się całkowicie trzeźwy i jakiś taki pozbawiony emocji, ale gdy Kuba popatrzył w jego twarz przez zoom teleobiektywu, dostrzegł coś na kształt desperackiego bólu. Ten facet bezgłośnie i bez łez płakał z rozpacz.

A więc jednak to prawda?

65.

Noc na pustyni była rzeczywiście zimna. Temperatura spadła prawie do zera, więc gdy wyszli z wielkiego namiotu Beduinów, obaj drżeli mimo ciepłych kurtek dostarczonych przez Gościa. Łysy popatrzył na surowy krajobraz i zarys światła narastającego na wschodzie.

– Wkrótce świt – szepnął. – Piękne to życie.

Kudłaty stanął tuż za jego plecami.

– Może być jeszcze piękniejsze.

– W jaki sposób?

– Prosty. Najlepsze są proste sposoby...

Łysy przeciągnął się z zadowoleniem. Jego życie dotąd przypominało rollercoaster, ale ostatnio znalazło się na wyjątkowo wznoszącej prostej. Wszystko się układało. Poustawiał sobie firmy, żeby nikt mu nie podskakiwał. Projekty szły sprawnie, realizacje wyjątkowo udanie, pieniądze wydawano zgodnie

z planem, minister cieszył się jak głupi i chwalił nim aż za bardzo, przez co dostał tę fuchę koordynatora do spraw korupcji, co już zakrawało na kpinę rodem z Monty Pythona, a na dodatek z Andżelą było coraz goręcej. Ostatnio mu powiedziała, że nie miała lepszego mężczyzny. Nie była pierwszą z taką deklaracją, ale pierwszą, której uwierzył, bo naprawdę było im wspaniale. Chciała mieć z nim dziecko. On wcześniej obiecał sobie, że nie będzie miał dzieci, bo ich zwyczajnie nie lubił, ale teraz zmieniał zdanie.

Piękne to życie.

A ten chuj Kudłaty chce mu je zabrać.

– To znaczy? Nie lubię zagadek...

Kudłaty zawahał się. Dobrze go przygotowano na szkoleniu, że inicjatywa musi wyjść od figuranta. Inaczej w sądzie dowód może okazać się niewystarczający, szczególnie w przypadku kogoś takiego jak Łysy. Nie będą mieli dowodu dającego podstawy do prowokacji, a zatem jedynym, który poniesie konsekwencje może być on, Kudłaty. Był już doświadczonym agentem, niezbyt sprawnym, z kilkoma naganami na koncie i nie chciał kolejnej.

I chyba właśnie w tej chwili zaczął podejrzewać, że to podstęp. Że ktoś z niego zakpił.

Łysy trzymał się ustalonego scenariusza. Gościu ostrzegł go przed wyjazdem przed Kudłatym i wprost powiedział, że to agent ABW i żeby uważał, bo może dojść do jakiejś bezczelnej ustawki i na pewno to będzie realizacja, a nie coś szczerego, od serca. Łysy był wdzięczny Gościowi. Również za zaproponowane rozbrojenie bomby. Żeby jednak plan się udał musiał jeszcze chwilę przytrzymać tu Kudłatego. Ależ będziesz miał niespodziankę, jak wrócisz do namiotu, kolego.

W namiocie Gościu z Rudym przysiedli przy wejściu na czatach. Gościu trochę się dziwił radości i beztrójce Rudego. W sumie ta akcja powinna go wystraszyć, ale najwyraźniej w powiedzeniu o tym, że pycha kroczy przed upadkiem, rzeczywiście było dużo prawdy.

Z tyłu jeden z ich wspólnych przyjaciół, handlowiec Rudego głośno stękał.

- Pospiesz się – ponaglił Gościu.
- Łatwo powiedzieć – dobiegło z ciemności.
- Zaraz wrócą – dodał Rudy.
- Dam radę.

Stęknął jeszcze raz, dwa. A potem Rudy z Gościem to poczuli. Smród był naprawdę wyjątkowy.

- Boże, coś ty jadł?
- To co wy, tyle że mam problemy z jelitem.
- Lepiej przebadaj.
- W każdym razie zrobione. Idziemy spać.

Smród nieco zmalął, gdy handlowiec zawiązał plecak, w który przed chwilą się załatał i zagrzebał go w ciuchach Kudłatego. W plecaku było prawie sto tysięcy złotych. A teraz jeszcze kupa handlowca. I rodząca się legenda, którą potem, w dziesiątek plotek i dygresji, będą rozpowszechniać agenci ABW.

67.

Łysy nie wziął, nic nie chciał, nic nie zaproponował. Może był uczciwy? – pomyślał Kudłaty. Może te sygnały, że jest chętny, wzięły się z dupy. Gdy Kudłaty w przypływie ostatniego aktu desperacji zaczął coś sugerować, że mógłby nieźle się podzielić za zakup serwerów i to z góry, żywą gotówką, Łysy uciał krótko:

„Złóż ofertę w przetargu. Jak będzie najlepsza, zostanie wybrana przez komisję. Ja na nią nie wpływam. Wybieram

zawsze najlepsze dla kraju rozwiązania. Pro publico bono.”

Wrócili do namiotu i Kudłaty próbował jeszcze zasnąć, ale nie potrafił. Miał wrażenie, że coś śmierdzi i to bardzo blisko niego. Długo jeszcze myślał, żeby to sprawdzić, ale ostatecznie przykrył plecak ciuchami i zasnął. Śniło mu się, że jest Jamesem Bondem i właśnie wchodzi do kasyna z piękną podwójną agentką. Ona miała na sobie białą suknię i trzymała w ręku kieliszek czerwonego wina. On obejmował ją ramieniem i patrzył na najnowszy model sportowego bmw. Czuł pod pachą delikatne mrowienie od kabury niewielkiego walthera i wtedy w sen wkradł się chochlik. Ostatnio przecież nawet zakazali mu nosić broń.

„Jeszcze się postrzelisz w tyłek, jak ten inny twój kolega nieudacznik.”

Kiedy się obudził, w namiocie nikogo już nie było. Wszyscy dosiedli quadów i rozgrzewali silniki. W końcu była okazja, żeby zbadać źródło smrodu. Zresztą i tak, zgodnie z procedurą, miał co jakiś czas kontrolować powierzony fundusz operacyjny. Wyjął plecak, rozpiął go i omal nie zemdleł, widząc obsrane, a przecież oznaczone wcześniej przez techników, banknoty.

– Ja pierdołę! – przeklął.

Spojrzał z nienawiścią na wyjście i nerwy mu puściły. Wybiegł z namiotu, krzycząc, że ich wszystkich zapierdoli, że to, co zrobili jest działaniem terrorystycznym przeciwko państwu polskiemu, ale na szczęście nikt go nie słyszał, bo cała grupa odjechała już na quadach wystarczająco daleko.

– Ja pierdołę – powtórzył Kudłaty. – Który chuj mi nasrał do plecaka? No, który?

Jedno było pewne: nie był to Łysy.

Westchnął, wrócił do namiotu, wyniósł z niego plecak i próbował oczyścić pieniądze z odchodów. Wiedział jednak, że nie

przestaną śmierdzieć. A jakoś będzie trzeba to teraz spróbować zakamuflować, ukryć.

Popłakał się, a potem zaczął śmiać.

Cholera, coś jest w powiedzeniu: śmierdząca kasa.

68.

Kudłaty miał wrażenie, że na korytarz w ABW wszyscy funkcjonariusze wyszli, żeby sobie go obejrzyć. Prawdę mówiąc, wisiało mu to. Wmówił sobie, że on przynajmniej próbuje coś robić, a nie tylko zbierać kwity na innych. Praca operacyjna czasem wymaga poświęceń.

Co niektórzy zaciskali sobie nosy palcami, dając znać, że plotka już się rozeszła. No tak, pomyślał Kudłaty, jestem jedynym agentem, który dał obsrać fundusze operacyjne. W sumie niezły numer. Udało mu się to zbyć śmiechem, więc nie był zły na kolegów i koleżanki. W innych okolicznościach pewnie sam by reagował podobnie. Poza tym – można się przecież pośmiać. Cóż, nieudana akcja, nie pierwsza i nie ostatnia. I tak w porównaniu z tym, co odpierdalali ostatnio oficerowie z Agencji Wywiadu, to były małe myki.

Stanął przed gabinetem dowódcy, poprawił marynarkę i zapukał. Sekretarka wprowadziła go i zaproponowała kawę.

Kawa była podła. Czekał z kwadrans, w końcu generał wyszedł ze swojego pokoju, poprosił o drugą kawę i zaprosił Kudłatego do pokoju.

Zanim się w nim znalazł, Kudłaty zarejestrował, że sekretarka robi kawę dla generała z drugiego ekspresu i pomyślał, że to jest straszne kurewstwo robić takie akcje. Jak się gościowi proponuje kawę, powinno się robić jak najlepszą, a nie odwrotnie.

Przestało mu być żal siebie, całej tej służby i obsranej kasy. W jednej chwili stracił cały swój patriotyzm i szacunek dla przełożonego. Siedzi taki chuj za biurkiem, nigdy nic dobrego nie zrobił, ale mlaska, jakby co najmniej dotarł na Marsa. Ty nawet prochu nie wachałeś, a teraz będziesz mi gównu wypominał?

– Co tam Kudłaty? Podobno coś się zesrało?

– I to na rzadko, towarzyszu generale – odparł wesoło Kudłaty. Jak odchodzić ze służby, to z przytupem.

– Humor wam dopisuje – generał zdjął okulary i patrzył na niego badawczo.

– Jak nie można płakać, trzeba się śmiać, co nie? Co u pana żony?

Generał popatrzył na niego z zadumą. Wszyscy mówili, że żona mu się puszcza z jednym sportowcem. Wziął sobie dwadzieścia lat młodszą to ma.

Pokręcił głową i wcisnął nos w papiery. Kudłaty nie był pewien, czy to oznacza zakończenie audiencji, zwolnienie, nagane, czy cokolwiek innego.

W sumie było mu to już obojętne.

69.

Marek zastanawiał się, na ile te wszystkie ostatnie wydarzenia się wiążą i stanowią zagrożenie dla jego operacji.

Pojawienie się Zimnego było tu najbardziej niebezpieczne, bo oznaczało, że w grze jest ktoś jeszcze, kogo nie uwzględnili. Ten ktoś dał znać przez Zimnego, że czegoś chce, przy czym jeszcze nie wiadomo czego. Wypytywanie czy nawet torturowanie byłego dziennikarza nie miało sensu, bo prawdopodobnie ten pijak nie zdawał sobie sprawy, że ktoś tak go wykorzystuje.

W najlepszym razie o tym nie wie. W najgorszym – ściśle współpracuje z „szantażystą” – chyba tak należało określić nieznanego, choć na razie niczego nie zażądał.

Druga niepokojąca akcja nastąpiła na pustyni w Maroku. Usłyszał o niej od Gościa, który niby wszystko rozbroił, ale gdy Marek usłyszał jakimi metodami, omal nie zemdleł, a potem miał ochotę udusić Gościa.

– Czyś ty, chłopie, zwariował? Sranie do plecaka z kasą? Kto to wymyślił? Sztubackie i niebezpieczne. Jeszcze Łysy się zorientuje.

Nie powiedział tego Gościowi, ale kiedyś, bardzo dawno temu, na początku swojej kariery, gdy występował jeszcze pod innym imieniem, miał nieprzyjemną przygodę związaną z fekaliami, więc jego skory do skojarzeń umysł zaczął przeczuwać jakiś spisek. Bo przecież w przypadku nie wierzył.

– E tam, Łyseму się spodobało. Uznał za niezły numer, a nawet utwierdził się w przekonaniu, że jest bezkarny. Zaraz po powrocie kazał Rudemu zwiększyć częstotliwość wpłat na konta swoich znajomych.

– Niesamowite.

– Coś trzeba było wymyślić – Gościu wrócił do sedna.

– Ale sranie? Naprawdę nie mogliście się oprzeć?

– Najprostszy pomysł, bo jeszcze głupi chuj Łysy, mimo ostrzeżeń, by się połasił. A tak nie miał możliwości wziąć. Oczywiście go ostrzeżliśmy wcześniej, że to prowokacja, ale ten wał pokiwał głową i zdawał się za bardzo nie przejmować. Miałem wrażenie, że chce nam powiedzieć: spoko spoko, chłopaki, koordynatora premiera nikt nie ruszy.

– Kurwa mać!

– Więc sam widzisz, że trzeba było coś wymyślić. Do Łysego dotarło, że to kasa nie dla niego.

- Żeby się nie okazało, że też nie dla nas sam Łysy.
- Spokojnie, mamy wszystko pod kontrolą. Drań się nie wywinie. Mówiłem ci, że Rudego pogania batem.
- Oby.

Najgorsze było jednak coś innego. Monika zniknęła. Marek zaczął się już obawiać, że to coś znacznie poważniejszego niż zwykły bunt. A co, jeśli źle ją ocenił i zwyczajnie zerwała się na zawsze? Jeśli tak, pokazanie Monice prawdziwej twarzy, zabranie na spotkanie ich „grupy” do Brukseli było fatalnym w skutkach błędem. Jeśli ktoś się do niej teraz dobierze, żeby wykorzystać przeciwko nim, może to stanowić zagrożenie nie tylko dla bieżącej operacji, ale wielu agentów działających pod przykryciem. Poznała Diesla, Araba, Sarę. Łatwo będzie przez to namierzyć ich kontakty. Ilu ludziom przez głupotę Marka może grozić teraz niebezpieczeństwo? Teraz i w przyszłości, bo przecież Monika jest jak bomba z zapalnikiem czasowym, który losowo wybiera moment detonacji. Ludzie tak mają, że potrafią latami coś trzymać w tajemnicy, po czym wychodzą przed kamerę i walą kawę na ławę.

Siwy nie raz go przestrzegał: „Człowiek, choćby był zaszczuty i sterroryzowany, zawsze znajdzie w sobie siłę, żeby się zbuntować, zaprotestować. Szczególnie jeśli ma coś do ujawnienia, jakąś swoją prawdę, która wcale nie musi być prawdą. Ale on musi ją wyjawić!”

Pierwszy raz w życiu Marek zaufał komuś spoza firmy. Pierwszy raz w życiu pozwolił, by uczucia i emocje wzięły górę nad rozsądkiem i chłodną kalkulacją.

A tu taka wtopa...

Początkowo to miał być taki żart, trochę zemsta za postawę i działania partnera. Poszła z Bogdanem, bo Marek nie zaoponował. Gdy zobaczył ich na przyjęciu PZUF, wycofał się. Patrzył tym swoim zimnym spojrzeniem bez wyrazu, a Monika z każdą chwilą utwierdzała się w przekonaniu, że zwyczajnie chce się zemścić. A że potrafiła...

Na dodatek Bogdan był naprawdę miły i zabawny. Zaskakiwał ją na każdym kroku pewnością siebie, inteligentnymi ripostami i wiedzą. Kiedy wylądowali w łóżku, okazało się, że jest do tego świetnym kochankiem i człowiekiem z wyobraźnią. Monika zatem postanowiła pociągnąć temat. Tym bardziej, że propozycja wyszła od nowego kochanka.

– Mam spółkę w zachodniej Polsce, może pojedziemy ją obejrzyć? Chcesz poznać trochę biznesu od środka?

– A jeśli jestem tajną agentką?

Roześmiał się głośno.

– Tym bardziej powinnaś się zainteresować.

– A ty bać.

– W takim towarzystwie, z przyjemnością.

Monika wahała się jeszcze chwilę.

– Czym zajmuje się twoja spółka?

– Produkcją pieniędzy.

– Tak można?

– Dlaczego nie? Mówiłem ci, jestem bankierem.

– Raczej, że spinasz transakcje. Myślałam, że tylko państwo może... hm, produkować pieniądze.

– Oddało częściowo ten przywilej bankom, przez co wszyscy za to kiedyś zapłacimy końcem naszej cywilizacji, ale ja pokażę ci jak można produkować pieniądze, nie będąc państwem ani takim typowym bankiem.

Zagryzła wargę. Ten jego słodki, nieco zbyt wyrafinowany uśmiech.

– Zgoda, czemu nie. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Wyjechali z samego rana, Bogdan prowadził. Auto nie wyróżniało się jakoś szczególnie. Zwykły jaguar. Na dodatek bez kierowcy i dość leciwy. Dziwnie pachniał, jakby jakimś mazidłem. Monika zamierzała początkowo nie informować w ogóle Marka, żeby się trochę o nią bał, ale potem uznała, że to może doprowadzić do komplikacji i napisała wiadomość:

„Nie martw się o mnie. Jadę z klientem na krótki wypad. Dam znać wieczorem.”

Bez odpowiedzi. Dopiero po dwóch godzinach napisał:

„OK”

Zaliczyli jakiś hotel po drodze. Znów się kochali i ponownie było super, wcześniej zaliczając przyjemną kolację i spacer, podczas których Bogdanowi nie zamykała się buzia. W ogóle nie wypytywał jej, tylko sam mówił. Najpierw o rodzinie, bogatym ojcu, który dorobił się na firmie polonijnej, matce dziennikarce, „kupionej” urokiem biznesmena, sposobem bycia, ale też pewnie trochę pieniędzmi, braciach i siostrze, intrygach pomiędzy rodzeństwem wynikających z walki o wpływy w korporacji ojca. Wszystko to brzmiało intrygująco, a jak doszło do różnych szczegółów osobistych, związków i rozwodów, zrobiła się trochę z tego Dynastia.

– Fajnie – podsumowała. – Masz o czym opowiadać.

– Jestem prawie jak Patrick Melrose.

Nie znała.

– Kto to?

– Bohater literacki stworzony przez angielskiego pisarza pochodzącego z rodziny arystokratycznej. Może to niedługo

sfilmują, to będzie bardziej znany.

– Pewnie zepsuty.

– Bardzo. I gwałcony przez własnego ojca.

Ostatnie zdanie padło niby przypadkiem, bez żadnego akcentu. A jednak siedziało potem w jej głowie. Wadziło. Drażniło jak jakaś zadra. Może powinno ją przestrzec, że trzeba uciekać, że to ma jakiś związek z nią, że pojawienie się „bankiera” nie jest tu przypadkowe. Może Bogdan dał jej sygnał, ostrzeżenie, ostatnią szansę, by uciekła.

Szansę, której nie wykorzystała .

Zamiast tego napisała ostatniego sms-a do Marka:

„Nie będzie mnie parę dni. Odezwę się, jak wrócę do wawy.”

71.

Decyzję podjęto na najwyższym szczeblu. Według Marka wciąż była przedwczesna, ale nie mógł nic poradzić. W końcu w służbach nie wolno negować rozkazów.

– Wiesz – powiedział mu Gościu. – Za dużo się zaczęło tu mieszać. Te uwalone głównem pieniądze, pytania od OLAFa w sprawie działań Łysego, ten kurwa jebany Zimny pojawiający się rzekomo przypadkiem... Ale tak naprawdę to ty przesądziłeś.

– Niby jak?

– Ostatni raport. Przeczytaj, co żeś sam napisał.

Marek nie do końca pamiętał. Owszem, napisał raport z wydarzeń w pałacu pod Alpami, ale nie widział w nim niczego przesądzającego o konieczności zakończenia operacji i finalizacji sprawy. Zimny? Tylko parę zdań o dziennikarzu, zresztą już byłym, wywalonym ze wszystkich redakcji, niewiarygodnym i kompletnie nieistotnym.

Z jego powodu na pewno nie można było się przestraszyć, że media mogą coś wyniuchać. Nie, to zbyt grubymi nićmi szyte. Więc co?

– Ostatnie dwa zdania – wskazał Gościu.

Wtedy sobie przypomniał. Tajemnicza rozmowa byłego szefa CBA z maklerem, wielkim grubasem i człowiekiem – foką. Może niepotrzebnie o tym pisał, no ale zgodnie ze starą zasadą służb, lepiej nie chomikować informacji, które mogą kiedyś zaistnieć, a które wydają się obecnie bez znaczenia. Zawsze w razie czego można do tego wrócić i powiedzieć: no przecież raportowałem.

– Cholera.

– Ponoć jest ostra napierdalanka pomiędzy nami i nimi.

– Wyścigi, jak zwykle...

– Właśnie.

Od dawna CBA rywalizowało z ABW, szczególnie w czasach, gdy tymi służbami rządziły dwie przeciwne opcje polityczne. Premier starał się to łagodzić, jednak wychodziło jak zwykle. Zamiast współpracy, wielka nienawiść i wyścig nie tylko o to, kto kogo wyprzedzi, ale wręcz zniszczy. Swoją drogą – trudno się dziwić, przecież normą jest, że każdy mechanik powie klientowi o poprzedniku, że miał do czynienia z najgorszym patałachem i teraz on, fachowiec, musi poprawić. Jeszcze do tego ten Zimny.

– Kurwa – wymknęło mu się.

Teraz wszystko stało się jasne. Zaplątanie w sprawę Zimnego i byłego szefa CBA spowodowało panikę na górze. I to Marek zrobił... przypadkiem. Przecież nie chciał. Jednak rozumiał. Przypomniał sobie sytuację sprzed jakiegoś czasu, gdy Zimny napisał niby głupi artykuł o tym, jak ich szef próbuje aresztować szefa drugiej służby i odwrotnie. Zimny twierdził, że były szef CBA chroni grupę mafijną, która próbuje przemycić przez sejm

ustawę hazardową. Nowa legislacja miała umożliwić firmie maklerów z KDI zarobienie na jednoręcznych bandytach. Te urzędnicy miałyby nawet wejść do sieci handlowych i stać się ważnym systemowo elementem oskubywania Polaków przez mafię. Zimny natrafił w KRS na jakieś operacje z Cyprzem świadczące o przygotowaniach do takiego ruchu. Maklerzy kupowali spółki hazardowe i przeprowadzali transakcje tak, żeby dodatkowo wyprowadzić pieniądze z giełdy na Cypr. Dla nich liczył się tylko zysk, nic więcej.

– Kurwa – powtórzył, bo obraz układał mu się w całość.

Gościu tylko kiwał głową.

No tak, artykuł przeszedł bez echa, a były szef CBA zamiast się tłumaczyć z tych działań odpalił aferę hazardową u przeciwników, przerzucając winę w całości na oponentów politycznych.

Niech się tamci tłumaczą. Premier, kompletnie nieświadomy, o co toczy się prawdziwa gra i jak go zrobiono w konia, zareagował dymisją, ale to już było za późno.

Na dodatek, czego w artykułach także nie było, ale w zeznaniach tak i one dotarły do Marka, ten Zimny opowiadał jakieś bajki o nagraniach dokonywanych w różnych knajpach i to od wielu lat, a przewodziła temu zaufana grupa przyjaciół byłego szefa CBA z jednym technikiem bankowym na czele.

– Już rozumiesz?

Tak, rozumiał, co nie zmieniało faktu, że spalenie operacji przygotowywanej przez Marka przez prawie pięć lat było totalnie złe.

– Czołem! – usłyszeli i obaj wstali pospiesznie.

Do pokoju wszedł szef Marka, generał, który jako jedyny – poza oficerami operacyjnymi jak Gościu i Diesel – znał jego prawdziwą tożsamość, rolę w całej operacji i wszystkie stworzone wokół misji

legandy. Podał dłonie obu podwładnym i wyciągnął z nesesera kilka teczek. Przekazał oficerom i patrzył uważnie w ich twarze.

– Mamy jasność?

Gościu zamknął teczkę. Skinął głową.

Marek przeczytał dwa razy. Rozkaz był dyskusyjny, ale w sytuacji szefa chyba stanowił jedyne możliwe rozwiązanie. W sumie może to i dobrze.

– Jakieś zdanie odmienne? – ponaglił.

– Nie – Marek pokręcił głową. Słowo pisane zawsze wygra z mówionym.

– To podpiszcie i oddajcie.

Podpisali rozkazy, oddali teczki.

– Dziękuję – szef wstał. Ciągle się spieszył i miał już taki styl bycia, że się nie spoufalał, nie żartował, nie rozmawiał o rodzinie.

– To nic osobistego.

– Jasne, szefie.

Zatrzymał się w pół kroku. Zdjął okulary, przetarł je i delikatnie się uśmiechnął.

– Świetna robota. Jestem dumny, że mogłem z wami pracować.

Wyszedł, zanim Gościu powiedział „wzajemnie”. Marek zastanawiał się. Niby też szef mu pasował. Cenił jego profesjonalizm i ten cały chłód, analityczny zmysł, zdolność do przestrzennego postrzegania problemów. Marek szanował też decyzyjność przełożonego oraz to, że otrzymał od generała tak dużą wolność i bezpieczeństwo, dzięki czemu nic z tego, co robił, nie przeciekło ani do mediów, ani do ich wrogów. Tak powinno to funkcjonować w służbach, choć jeśli chodzi o nominację na koordynatora do spraw przeciwdziałania korupcji dla Łysego... cóż, uważał, że akurat przed tym trzeba było premiera ostrzec, a nie ładować w taki gnój. Wszędzie intrygi.

„Zawsze będzie wytłumaczenie, że twoje bezpieczeństwo było ważniejsze niż informacja dla premiera” – uzasadnił chyba nieco fałszywie Gościu.

Marek był najbardziej zakonspirowanym agentem pod przykryciem działającym w Polsce chyba w całej jej historii. Ani Gościu, ani Diesel, ani setki innych osób nie mogli się z nim równać. Zresztą tak naprawdę bardzo mało wiedzieli o jego prawdziwej roli i podwójnej tożsamości. Mogli coś tam podejrzewać, w końcu się przyjaźnili, ale i tak nie mieli pojęcia, o jaką stawkę grają. Dzięki Markowi do więzienia trafiło już kilkudziesięciu najgroźniejszych przestępców, bandytów ściganych przez państwo od lat. I żaden z nich nie wiedział, że to Marek jest kretem.

A teraz przyszedł czas na biznes.

I również biznesmeni nie dowiedzą się, kto zdradził. Będą się wzajemnie oskarżać, podejrzewać i nawet z zeznań w sądzie nie wywnioskują, że chodzi o tego niepozornego, zaufanego lobbystę, którego przecież w towarzystwo wprowadził sam Siwy. Dobry mentor, ale nawet tacy popełniają błędy. Marek, gdy wyłowił go stary lobbysta, był już człowiekiem pracującym z kimś innym. Choć w gruncie rzeczy, to sam do końca nie wiedział, kto tu jest dobry, a kto zły. A może nic nie było czarno–białe?

Szkoda tylko, że to koniec.

– Jakaś wódka? – zapytał Gościu. – Chyba czas się porządnie upić.

– Wiesz, że nie piję.

Wyszedł, zostawiając Gościa w lokalu konspiracyjnym. Był to dom położony za wysokim murem w jednej z podwarszawskich miejscowości. Żaden sąsiad nie miał pojęcia, co się w nim mieści. Niektórzy tylko dziwili się, że przez całą noc jest bardzo dobrze

oświetlony i ciągle ktoś się kręci przy murach. I te kamery wystające na każdym kroku. Choć dziś kamery są na większości posesji, to jednak umieszczenie setki w jednym domu chyba było przesadą i świadczyło zapewne o megalomanii tajemniczego właściciela, którego nikt nie znał.

Gościu zgodnie z zasadami musiał zostać w domu jeszcze co najmniej pół godziny.

Marek wsiadł do auta i wyjechał za bramę.

Kto wie, czy nie po raz ostatni ją przekraczał. Na razie ma urlop. Kilka miesięcy wolności. Co potem? Nowa tożsamość czy powrót do któregoś z wcześniejszych wcieleń? W końcu żadne nie zostało spalone.

Wyjechał, zatrzymał się na skrzyżowaniu i popatrzył przez chwilę w szczelnie zasłonięte okna, za którymi paliło się światło i podejmowano ostateczne decyzje o realizacji zatrzymań. Byli tam agenci CBA, ABW i kilku innych służb, byli oficerowie odpowiedzialni za zabezpieczenie największej w historii operacji równoczesnych zatrzymań. Żaden z nich nigdy nie poznał tożsamości Marka i nie spotkał się z nim jako z agentem. Część oczywiście miała styczność i uważała lobbystę za wybitnego chuja, któremu chętnie by założyli kajdanki. O dziwo (dla nich) rozkazy aresztowań tego „cwaniaka” nie dotyczyły.

Cóż, pomyślał Marek, trzeba się ewakuować. Jutro o szóstej rano w całej Polsce kilkuset ubranych na czarno policjantów dokona dziesiątek zatrzymań.

A Marek nic więcej nie będzie miał z nimi wspólnego. Jego rola została zakończona.

Do Poznania dotarli późnym wieczorem, więc Bogdan zdecydował, że spędzą noc w jego domu na przedmieściach.

– Jutro zawiozę cię w szczególne miejsce, ale robić to po nocy byłoby prawdziwym grzechem.

– Nie mogę się doczekać.

– I słusznie.

Intrygowała ją ta pewność siebie, choć nie był pierwszym mężczyzną obdarzonym tą cechą, z którym się związała. O nie, większość robiła za pewniaków, miała ego napompowane jak balon.

Od pewnego momentu zaczęła nowego kochanka porównywać z Markiem i doszła do wniosku, że to dlatego tak bardzo jej podpasował. Był nowszą, jeszcze nieopatrzoną i wciąż intrygującą wersją Marka. Może nie tak męski i przystojny, nie tak dobry w łóżku, nie taki doskonały, ale kto wie, czy z czasem nie wyrobi się jeszcze lepiej.

Ten sam błysk w oczach, zdecydowanie, pewność siebie, wyższość, ale nie denerwująca, tylko taka przyjemna, jaka cechuje autorytety. Do tego człowiek–zagadka. No drugi Marek. Tego Bogdanowi jednak powiedzieć nie mogła. Nie chciała i nie mogła. Jeszcze w samochodzie złapała się na dylemacie: a co będzie, jeśli nowy partner jej tak podpasuje, że zdecyduje się z nim zostać i tym samym ostatecznie zdradzi Marka? Czy to będzie fair? Czy w ten sposób nie nadużyje zaufania partnera, który tak się przed nią odkrył?

„Ale przecież miał szansę.”

– Co mówiłaś?

– Nic ważnego. Przepraszam, coś mi się przypomniało.

– Miłego?

– Raczej nie.

– To nie rozmawiajmy o tym.

Dom był przestronny, zadbane i ekskluzywny, ale bez przesady. Żadne tam baseny i drogie obrazy w środku. Nawet nie było pianina. Po prostu nowoczesna willa, zimna i stonowana, z działką sąsiadującą z gęstym lasem.

Bogdan rozpalił w kominku, zrobił klimat, wzięli prysznic, ale jakoś nie mieli ochoty na seks, więc leżeli tylko na rozłożystym łóżku, wpatrując się w dogasający ogień i refleksy pełzające po ogromnej ścianie ze szkła.

Monika ciągle miała wrażenie, że w tym lesie za szybą widzi jakieś cienie, demony, potwory czyhające tylko na okazję, żeby ją porwać w noc. Dlatego zamknęła w końcu oczy i choć nie mogła zasnąć, trwała tak do rana.

Następnego dnia odwiedzili jakiegoś znajomego Bogdana, który okazał się byłym ministrem zdrowia, realizującym obecnie interesy chyba hotelarskie. Nie wyglądali na przyjaciół tylko typowych ludzi interesu. Przywitanie było jeszcze w miarę ciepłe, ale po byłym ministrze dało się poznać, że wcale się nie cieszy. Gdy mężczyźni odeszli na bok, Monika widziała, jak tamten się denerwuje i gwałtownie gestykułuje. Bogdan pozostał niewzruszony. Zakończył dyskusję jakimś krótkim zdaniem. Choć Monika go nie słyszała, to z ust wyczytała coś na kształt:

„Masz czas do jutra.”

Wzdrygnęła się. Niepokój nie minął, gdy Bogdan wziął ją za ramię i wyprowadził na zewnątrz, a potem do samochodu. W tym uścisku było coś bardzo niedobrego.

– Kumpel Jasia, myśli, że mu wszystko wolno.

– Jakiego Jasia?

– Tego. Właśnie tego.

Monika postanowiła nie dopytywać. Choć trochę się niepokoiła całą sytuacją, to na razie postanowiła nie reagować. Ruszyli w drogę i wtedy Bogdan wrócił jeszcze na chwilę do poprzedniego wątku.

– Przepraszam, nie powinnaś tego oglądać, ale ten facet od kilku lat próbuje mnie rolować i pomyślałem, że się trochę przypomnę.

– Nie ma sprawy – bąknęła.

– Przyjaźnił się z Jasiem i uważał, że to wystarczy, żeby mój ojciec nie upominał się o zwrot długów. Mój ojciec oczywiście też tak uważał, bo lizał tyłek Alicji.

– Jakiej Alicji?

– No, tej Alicji – mruknął Bogdan. – Ona to dopiero namieszała w tej naszej pokrętej transformacji. Ale dość o tym, jedziemy się bawić, a nie rozmawiać o starych, przykrych ludziach, których czasy właśnie mijają. Za chwilę wszyscy popełnią samobójstwa, padną ofiarą wypadków, znikną z naszego życia i przestaniemy się zastanawiać czy to tylko teorie spiskowe, czy uśmiech złośliwego losu. Kto wie, może ktoś ich wykreśli z kart historii i nasze wnuki nie będą nawet wiedzieć, że istnieli. Jak stare, nikomu niepotrzebne legendy.

Nie rozumiała, więc nie odpowiedziała.

– Gdzie jedziemy? – zapytała za to.

– Mojego ojca oskarżono ostatnio o jeden incydent i pomyślałem, że to dobry motyw do rozpoczęcia czegoś ważnego w życiu.

– To znaczy?

– Pozwól się zaskoczyć.

Trochę już miała dość zaskoczeń, ale skinęła tylko głową. Godzinę później jaguar wjechał w gęsty las, mijając tabliczkę

jakiegoś parku narodowego. I po chwili ukazał się im niezwykle widok. W środku lasu, na wyspie pośrodku jeziora stał ogromny, y gotycki zamek. To znaczy obiekt udający taką budowlę, bo w rzeczywistości postawiono go niedawno przy użyciu imitujących czerwone cegły prefabrykatów.

– Ostatni projekt mojego ojca – pochwalił się Bogdan. – Okropny, prawda?

– Jezu – przyznała. – Dreszcze przechodzą.

– Poczekaj, aż zobaczysz to coś w środku.

73.

Operator w centrum zarządzania miał przed sobą trzydzieści dwa monitory. Lata praktyki sprawiły, że potrafił nimi bardzo sprawnie zarządzać, dzięki czemu grupa oficerów i oficjeli mogła z zapartym tchem obserwować jednocześnie pracę dwudziestu niezależnych zespołów realizacyjnych koordynowanych przez centra w Katowicach, Poznaniu, Gdańsku, Warszawie i Krakowie.

– Pokaż jedynekę – poprosił realizator z dyżurki.

Operator natychmiast wykonał polecenie, wrzucając na główny, sześćdziesięciocalowy ekran obraz z kamery dowódcy oddziału wchodzącego do jakiegoś ministerialnego notabla. Łysy mężczyzna całkowicie zaskoczony najściem, położył się grzecznie na ziemi i czekał na skucie kajdankami. Policjanci z AT zabezpieczyli teren, a potem Łysemu pozwolono się ubrać i posadzono na fotelu, gdzie prokurator i policjanci podtykali mu pod nos kolejne dokumenty, w tym nakaz zatrzymania i przeszukania.

„Dyrektor Centrum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych zatrzymany za korupcję” – przeczytał operator wprowadzoną przez realizatora notkę, która potem zostanie przekazana służbom

prasowym wraz z krótkim materiałem telewizyjnym do puszczenia w świat.

– Daj szóstkę – usłyszał.

Przerzucił na główny ekran obraz z kamery numer sześć. Tym razem notabile zobaczyli w dużym powiększeniu ujęcie z masztu łodzi motorowej, która z dużą prędkością podpływała do luksusowego jachtu na pełnym morzu. Na burcie jachtu widniał napis: „Projekt Polska”.

– Dziewiątka!

Suwak na konsoli został przesunięty na pozycję numer dziewięć. Kamera z kasku antyterrorysty pokazała plecy dwóch sprawnych żołnierzy osaczających Prezesa Blondasa, który krzyczał i się odgrażał:

– Nie wiecie z kim zadzieracie.

„Prezes jednego z największych polskich koncernów podejrzany o przyjmowanie łapówek i ustawianie przetargów” – pojawiło się na ekranie.

– Trójka! Czwórka! Daj z podziałem na pół!

Operator podzielił ekran na pół i wrzucił ujęcia z kamery numer trzy i cztery. Dwóch grubych knurów właśnie zapinano w kajdanki w ich domach.

– Stasiu, co ty narobiłeś? – krzyczała żona jednego z nich. – To jakaś pomyłka, panowie. Stasiu jest prezesem rządowej agencji. Pomyliliście się...

„Prezesi agencji rządowej bawili się w San Diego za pieniądze firm dostarczających sprzęt.”

Jeden ze stojących w centrum notabli chrząknął głośno. Zdaje się, że był bliskim przyjacielem jednego z zatrzymanych, nie raz i nie dwa pili razem wódkę. Oczywiście od dziś go nie zna i w ogóle nie pamięta, żeby się kiedykolwiek znali, ale strach, że ktoś się

kiedyś przyczepi, na zawsze już pozostanie. Życie polityka to nie są same przyjemności. „Czasem mamy bardziej przefikane niż górnicy” – pomyślał. Tyle, że odrobinę więcej zarabiamy.

– Daj dwójkę!

Tym razem obraz był rejestrowany przez normalną kamerę BETA, a policjanci nie mieli na sobie sprzętu. Trzech agentów w kurtkach weszło do mieszkania Rudego, pokazało mu nakaz zatrzymania i przesłuchania. Operator niczego nie napisał.

– To już koniec, pełen sukces – oznajmił Minister Spraw Wewnętrznych. – Przypominam, że wszystko jest objęte klauzulą najwyższej tajemnicy do czasu ujawnienia reportażu w wieczornych wiadomościach.

Monitory wciąż pokazywały akcje zatrzymań w innych mieszkaniach, ale notabli interesowały przecież tylko te najważniejsze. I tak woleliby chyba ich nie widzieć. Prawie wszyscy tutaj pili wódkę z Prezesem Blondasem, kilku z knurami, byli tacy, co się znali z Rudym i innymi. Wcale nie mieli powodów do okazywania radości z racji tej całej operacji. Niektórzy już nawet szykowali się do oskarżenia służb o nadużycie uprawnień. Bo nie może w państwie prawa być tak, że służby ścigają polityków partii rządzącej. Ścigać należy opozycję.

No, ale robili dobrą minę do tej gry.

– Gratulacje – powiedział polityk reprezentujący koalicjanta partii rządzącej. – Żeby to się wam tylko czkawką nie odbiło.

– Dziękuję, radzę zjeść snikersa.

– Wolę naturalne witaminy.

– Wszystkie znajdziemy w whisky.

Notable rozeszli się i Minister podziękował operatorowi oraz realizatorowi.

– Coś ocenzurować? – zapytał ten ostatni.

– Proszę uzgadniać z prokuraturą – odparł Minister.

Był dziś w dobrej formie. Czasem miewał zawieszenia, bywało, że nie wiedział kim jest, ale potem następowały okresy, w których funkcjonował lepiej od większości innych ludzi, co pozwalało mu na odkupienie win.

Wczoraj pojechał do córki Patrycji i przeprosił za ostatnie zachowanie. Co prawda nie był pewien, co złego zrobił, ale miał świadomość, że coś na pewno. Córka bardzo go kochała, odwiedzała przynajmniej raz w tygodniu, więc na pewno miał z nią do czynienia w okresie zawieszenia, z pewnością zaniepokoił, a może nawet obraził.

Przeprosić trzeba.

Zakończył rozmowy z policjantami, kolegami z ministerstwa i partii, a potem przeprosił ludzi z gabinetu politycznego, z którymi miał omawiać przygotowania do kampanii wyborczej.

– Coś mi wyskoczyło, wybaczcie. Jutro się tym zajmiemy. Jutro będzie lepszy dzień.

– Jeśli jutro nadejdzie – mruknął jakiś młodzian.

Minister pomyślał, że powinien go zapamiętać, a potem sobie przypomniał, że przecież to syn byłego szefa służb specjalnych. Swoją osobą. Rezolutny i wykształcony. Pewnie przyszła gwiazda. Uczy się od takich jak ja.

– Na Mordor – polecił kierowcy.

– Gdzieś konkretnie?

– Na razie Mordor.

– Się robi.

Wyjechali na ulice Warszawy. Bez asysty policji Minister czuł się znacznie lepiej. Słyszał, że mundurowi go nie lubili i prowokowali różne numery, jak ten z ustawieniem kolumny motocykli w kształcie członka. Ktoś zawsze doniesie, na co oni

liczyli? Cóż, może właśnie liczyli, że zostanie mu to przekazane, jakie mają o nim zdanie.

– Może po prostu jestem chujem?

Zamierzał tylko pomyśleć, ale powiedział na głos.

– Nie no, panie ministrze – odparł kierowca. – Lepszego pasażera od pana to nie miałem. Pan minister zawsze w porządku, żaden chuj.

– Tylko tak mówisz, Stasiu.

– Jak Boga kocham, rękę oddam.

– A głowę?

– Jeszcze wczoraj bym powiedział, że co to to nie, ale dziś, po tej akcji z tą dziewczynką na OIOM-ie, to panie ministrze, ma pan moją głowę.

A jednak nie wszystko było jak trzeba, bo akcji z dziewczynką nie pamiętał. Pewnie coś się wydarzyło w szpitalu i interweniował. Cholera. Musi iść do lekarza, musi powiedzieć prawdę. Jego stan sprawiał, że mógł zawalić coś poważnego. Aż tak perfidny i wyrachowany nie był, żeby nie zdawać sobie z tego sprawy. Tak, pójdzie do lekarza. Potem. Najpierw...

– Zawróć.

– Do resortu?

– Nie, skręć na Aleje, potem do centrum. Podjedź pod Intraco.

– Tak jest. Do pana Dużego Misia?

Minister poczuł nieprzyjemne mrowienie. Jeśli kierowca wie, to inni mają nie wiedzieć? Kiedy się zdradził?

– Tak, do Dużego Misia.

– Proszę pozdrowić. Dla mnie to naprawdę ważny biznesmen. Nie rozumiem, co inni mu zarzucają. Że na państwowym się dorobił? Panie ministrze, a kto się sam z siebie dorabia? Ilu takich jest? Na palcach jednej ręki można policzyć. A przecież państwowe

to niczyje, więc tylko się cieszyć, jeśli ktoś wziął i spożytkował, jeśli dobro z tego wyszło, a nie zło. Każdy chciałby tyle osiągnąć co on. Z zawiści tak pewnie.

- Z zawiści na pewno.
- Proszę nie zapomnieć pozdrowić.
- Nie zapomnę.

Na recepcji u Dużego Misia jak zwykle siedziała piękna dziewczyna. Skąd on bierze te wszystkie super laski? Minister przedstawił się, nieco posmutniał, że dziewczyna go nie zna, za to ma koszulkę z podobizną Justina Biebera, a potem zaznaczył:

- To ważna sprawa, nie może czekać.
- Przekażę, ale będzie ciężko, dziś mamy tak obłożony dzień...
- Proszę przekazać, że to naprawdę pilne. Waga życia i śmierci.

Dziewczyna zawahała się. Chyba w tej chwili dotarło do niej, że na wizytówce nie ma nazwiska jakiegoś posłańca, tylko samego Ministra Spraw Wewnętrznych.

- To może ja zawołam pana Ola?
- Czym prędezej.

Olo przybył w niespełna kwadrans.

– Jakież niedopatrzenie, panie ministrze, bardzo pana przepraszam, jakież niedopatrzenie. Zapraszam na górę, na czterdziestym pogadamy, dobrze?

Weszli do windy i wjechali na górę, gdzie Duży Miś miał wynajęte dwa apartamenty na specjalne okazje. Pierwszy służył do dymania prostytutek, aktorek porno i dziewczyn gangsterów. W drugim dymano resztę narodu za pomocą adwokatów, sędziów, dziennikarzy i polityków.

- Whisky i cygarko?
- Nie mam czasu na zabawę.
- Na dobrą whisky i cygaro zawsze jest czas.

Minister machnął ręką zniecierpliwiony. Nie przepadał za tym Olem, akceptował go z konieczności, bo wszyscy inni go lubili. W chwilach próby prawda wychodziła na jaw, no ale on przecież nie chciał się za bardzo odkryć.

– Zaprosić jakąś dziewczynę? Ma pan minister ochotę?

– Nie tym razem.

Olo skinął głową i wycofał się, nie chcąc prowokować niezręcznych sytuacji.

Duży Miś wszedł do gabinetu niespełna godzinę później. Udawał zmęczonego. Nic nowego.

– Cześć, strasznie cię przepraszam, ale nie mogłem wyrzucić ze spotkania prezesa banku centralnego. Straszny gaduła i obawia się, że przekręty jego kumpli na walutach wyjdą na jaw. Wyobraź sobie, że jebańcy z pazerności powstawiali w regulaminy niedozwolone zapisy i jak im je teraz wykreślą, to wszyscy pójdziemy z torbami.

– Niemożliwe.

– Możliwe, możliwe. Zapytał mnie, czy może oficjalnie jakoś delikatnie skrytykować kolegów, bo im się należy.

– A tobie co do tego?

Duży Miś nie zamierzał nikomu tłumaczyć, że bez banków najnowsza oferta mu nie wyjdzie. Jeśli więc prezes sprowokuje kryzys, to jeszcze może oberwać odłamkiem. Cały rynek oberwie.

– W interesie publicznym lepiej czasem udawać, że prawo nie obowiązuje.

– Przynajmniej nie wszystkich.

– Właśnie.

Minister wypił do końca whisky, odstawił szklankę. Uspokoił się nieco i poczuł mrowienie w lewej nodze. Zawsze go ostrzegało. Może jednak źle zrobił, przychodząc do Misia. Może powinien to

przemyśleć. Działanie pochopne nigdy się nie opłaca. Postanowił jeszcze chwilę grać na zwłokę.

– Więc nie pozwoliłeś?

– Pozwoliłem, byle zaczął po emisji. Oszustwo jest ewidentne, a sądy już unijne, więc nie przepuszczą przekrętu. Czas zacisnąć pasa, nadchodzą ciężkie czasy. Na takie też w końcu można się przygotować.

– Ty jak makler. Zarabiasz i na zyskach i na stratach.

– Właśnie. A co u ciebie?

Minister chrząknął. Zwykle w rozmowach z biznesmenami, z którymi się przyjaźnił, zachowywał ostrożność, lecz akurat z Dużym Misiem był bardzo blisko. Kiedyś nawet razem się leczyli u jednego znachora. Podobno Dużego wyleczył, niestety jego chorobie nie dał rady, choć oczywiście ściemniał, że jeszcze parę wizyt i „będzie pan zadowolony”. Nie był, ale przyjaźń z Dużym Misiem została. Teraz nadszedł czas na bardziej otwarte postawienie paru spraw. Po to są przyjaciele.

– Zatrzymaliśmy Łysego i Blondasa, kilkudziesięciu innych. Wieczorem będzie w wiadomościach.

Duży Miś pobladł. Był zaskoczony, że nic nie wie. Zwykle takie akcje były mu sprzedawane nawet na kilka dni wcześniej. Czasem jednego czy drugiego ściganego ostrzegał, nie żeby chciał im pomóc, tylko zyskać dłużnika. Innym razem zdarzało mu się w przyływie jakiejś radosnej dobroci zadzwonić do znajomego dziennikarza czy dziennikarki i dać cynk. Na tym polega władza, żeby mieć jak najwięcej dłużników.

– Dlaczego nic nie wiedziałem?

– Ja też nie wiedziałem.

– Jesteś ministrem spraw wewnętrznych, do cholery.

– Niby tak.

Duży Miś przeklął pod nosem.

– Trudno, co teraz?

Minister odwrócił wzrok.

– Obawiam się, że ciebie też mogą drapnąć.

– Mnie? Niby dlaczego?

– Takie chodzą słuchy. Może prawda, może nieprawda.

W każdym razie lepiej by było, gdybyś się na parę dni ewakuował, może do Izraela albo tej twojej Szwajcarii. To żaden wstyd. Jasio uciekł, Rysio też i się im opłaciło...

– No, nie wiem...

Godzinę później Minister wyszedł od Dużego Misia, czując się o dwadzieścia kilogramów lżejszy.

„Jakoś się to wszystko ułoży. Przecież zawsze się układa” – pomyślał.

Zdjął krawat i rozpiął kołnierzyk koszuli.

CZEŚĆ CZWARTA

UCIEKINIERZY

74.

Olo zadzwonił przez Vibera. Marek zawahał się, ale odebrał.

– Możemy się spotkać?

– Kiedy?

– Jak najszybciej. Oglądasz telewizję?

– Tak.

– To znasz temat.

Umówili się na cmentarzu. Miejsce jak każde inne, rozreklamowane zresztą przy poprzedniej aferze hazardowej. Marek złamał jedną z procedur i nikomu nie powiedział ani o telefonie, ani o spotkaniu. Często zresztą łamał procedury, dzięki czemu był wciąż w grze i tacy jak Olo kompletnie nieświadomie mu się podkładali.

– Ja pierdołę – zaczął ostro Olo. – Dzieci już wywiozłem, sam wyjeżdżam jutro. Izrael czeka, piękny Izrael. Niby wojna, ale i tak tęskniłem. Nieźle się dzieje, co?

– Trochę – przyznał Marek.

– A coś ty taki małomówny?

– Wiesz dobrze, że w takich chwilach lepiej słuchać.

Olo roześmiał się głośno.

– I za to cię lubię.

– Czego chcesz?

Olo rozejrzał się.

– Potrzebuję pomocy. Trzeba po cichu szefa wywieźć z kraju. Tak, żeby nikt się nie zorientował.

Marek zamarł. Pojawiała się okazja na uporządkowanie wszystkiego od nowa. Fakt, że Olo zwrócił się do niego, prawdopodobnie oznaczał, że nie został zdekonspirowany. Chyba że to była pułapka. Nigdy nie wiadomo.

– Ja mam go wywieźć?

Olo skrzywił się.

– Nie no, nie. O to bym cię nie prosił.

– To o co?

– Słuchaj, nie obraż się, ale ja się domyślam, że ty im, wiesz, o czym mówię, tym nowym chłopakom cichociemnym wrzucasz czasem jakiś cynk. Nie zaprzeczaj, nie mów, że nie, bo przecież gdybyś nie wrzucał, to by ci nie dali żyć, tak na zdrowy rozum. Mnie nie musisz kłamać. Jeszcze z Moniczką to wszystko, co robiłeś, nie wierzę, żeby ci pozwolili. Nie zaprzeczaj, proszę. Powtarzam, daj dokończyć. Tak więc, mam taką sprawę, żebyś im podrzucił jeden cynk, tak bez żadnych zobowiązań innych. Możesz zresztą mnie w to wkręcić, możesz powiedzieć, że ode mnie go masz, tylko nie tak, że ja cię prosiłem, tyle że się wygadałem, rozumiesz? To uwiarygodni temat, a potem do ciebie nie będą mieli pretensji.

Olo patrzył z napięciem prosto w twarz Marka.

– To jak będzie?

– Jaka to wiadomość?

– Wiedziałem, że na ciebie można liczyć. Daj im znać, że Misio wylatuje dzisiaj z Okęcia, tam wszystko będzie przygotowane, limuzyny też podjadą. Tak, żeby nie było żadnej wtopy, ktoś tam będzie tym jechał.

– Tyle że nie Miś?

– O tym nie gadajmy. Ja ci mówię, że Miś będzie jechał, uciekał z kraju, dobrze to się nagra na telewizorze, fajnie będzie można przedstawić. Nawet jeśli Misia nie złapią, to będzie można mówić o wielkiej ucieczce, a to już coś. Ważne, żeby misia gonić, nie złapać, nie?

– Co z tego będę miał?

– Wdzięczność dozgonną, Mareczku – Olo wyszczerzył szeroko kły. – Fakturę przecież też wystawisz. Wyceń jak uważasz i wystaw.

– Zgoda – negocjować ceny nie było sensu. I tak Marek uważał, że mu nie zapłacą. Tylko podatek to pochłonie, więc nie ma co zbyt dużej kwoty wpisywać. – Tylko pewności nie dam, że się złapią.

– Pewności nigdy nie ma. To lecę, bo ja mam już zabukowane bilety na Ben Guriona. Cześć. Żegnaj. Choć... kto wie, jak to się potoczy po wyborach...

Marek patrzył za odchodzącym potężnym mężczyzną i wciąż rozważał, jak się zachować. Powstrzymanie wyjazdu Ola nie wchodziło w grę, od razu by się zorientował, że Marek zdradził. Zresztą za bardzo nie byłoby go za co wsadzić bez zeznań Marka. Mimo pozycji, był płotką, niewartą zachodu. Stary cwaniak wiedział, co robi. Należał do tych drapieżników, które ukrywają się w środku stada i atakują wyłącznie w chwili pewności sukcesu, z czasem upodabniając się do ofiar tak, że mogą nawet stać się jedną z nich, całkowicie bezzębną i niegroźną.

Inna opcja: próba zastawienia pułapki na Dużego Misia mogła też zakończyć się wtopą. Tym bardziej, że Marek wcale nie był pewien, czy ktoś rzeczywiście chce zatrzymać biznesmena. Byłaby to pierwsza taka sytuacja w najnowszej historii, bo jednak zatrzymanie Kluski czy mniejszych biznesmenów lub szefów spółek Skarbu Państwa nie było porównywalne. Na tym poziomie

biznesmeni zawsze „uciekali” w porę przed służbami. Tak było i z Jasiem, i z Rysiem, i z Leszkiem, jak to głośzono w mediach, a o paru sytuacjach opinia publiczna nigdy nie została poinformowana. Taki klimat. Więc najrozsądniej będzie spełnić życzenie Ola, nawet wprowadzając kolegów w błąd. Tylko przez kogo to zrobić? Wybrał numer Gościa.

– Co tam?

– Mam cynk, że dziś Duży Miś chce uciec z jakimś trefnym towarem z Polski – przekazał i podał resztę uzyskanych od Ola szczegółów.

– Po chuj się mieszasz – Gościu był niezadowolony. Najwyraźniej w jakiś sposób Marek wszedł mu w drogę.

– Tylko przekazuję. Róbcie z tym, co chcecie.

Rozłączył się i wrócił do domu. Włączył telewizor. Od wczorajszej nocy na czerwonych paskach wyskakiwały newsy o wielkiej akcji służb i dziesiątkach zatrzymań. Pokazywano sylwetki Prezesa Blondasa, knurów, Rudego, kilku pomniejszych „sprawców” i oczywiście Łysego, wszystkich z zamazanymi gębami.

„Urzędnik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych nadzorujący informatyzację jest podejrzewany o wzięcie największej w historii Polski udokumentowanej łapówki. Śledczy blisko rok prowadzili operację specjalną dokumentującą przestępstwa urzędnika. Wykorzystano w tym celu najnowocześniejszy sprzęt, w tym po raz pierwszy drona oraz specjalistyczne, bardzo drogie oprogramowanie komputerowe do analizy danych szpiegowskich. Skala korupcji jest porażająca.”

Ciągle to samo. A Ministra cały czas nie trafili, choć ktoś przebąkiwał, że jednak i za niego się wezmą.

Marek wyłączył telewizor.

Rozłożył się w fotelu, przymknął oczy i pomyślał o Monice. Gdzie ona może być? Czy oglądała wiadomości i się ukryła? Chowa się w łóżku jakiegoś skretyniałego, kto wie czy nie zakochanego fagasa wystraszona, może wręcz przerażona tymi doniesieniami? Boi się, że ktoś ją aresztuje albo co gorsza zrobi krzywdę? Czy jest na pewno bezpieczna? Czy nie potrzebuje jego pomocy?

Wiele by dał, by uzyskać choć częściową odpowiedź, ale telefon Moniki milczał jak zaklęty. Mogła oczywiście po prostu go wyłączyć czy rozładować, ale... Marek miał złe przeczucia.

75.

Dziwne, telefon w ogóle nie reagował. Była pewna, że go przez noc naładowała, a ten model praktycznie się nie psuł. To był kolejny znak. I kolejny zlekceważony.

– Dam Ci swój – zaproponował Bogdan. – Przełóż kartę.

Spróbowała.

– Nie pasuje – karty były w innym formacie.

– To korzystaj z mojej – wzruszył ramionami.

Wahanie.

– Dobrze.

Tyle że... nie pamiętała na pamięć numeru Marka. Cholera. Do kogo mogłaby zadzwonić? Żadnego numeru nie pamiętała. Nawet do mamy, do której i tak by nie zadzwoniła, bo po co? Tylko po to, żeby jej powiedzieć, jak bardzo ją w życiu skrzywdziła? Popatrzyła na ekran otrzymanego telefonu i schowała go do torebki.

– To może poczekać.

– W takim razie chodźmy.

Wysiedli z auta i ruszyli do wejścia do Zamku. Budowla była niesamowita, ogromna, na dodatek kompletnie pusta. Wokół pozostały dźwigi i różne konstrukcje pomocnicze, ale żadnych

robotników. Teraz przypomniała sobie jakieś doniesienia medialne o wielkim zamku budowanym nielegalnie na terenie chronionym. Czyżby to był ten.

– Budowa stanęła, ale pracujemy nad wznowieniem pozwoleń. W środku mamy już trochę wykończonych pomieszczeń, zobaczysz, będzie fajnie.

– Boję się – niby zażartowała. Uśmiech był jednak mocno wymuszony.

– Ze mną przecież nic ci nie grozi.

A nawet jeśli, dodała za niego, to tu już nie ma co się opierać, trzeba być mądrą dziewczynką, prawda? Bo gdyby tak odmówiła, postawiła się, może by mi się coś złego stało tutaj, od razu? A tak, lepiej się jak najdłużej oszukiwać. Może się okaże, że złe przeczucia są mylne.

Zawsze można liczyć na cud.

Weszli do środka. Ściany wciąż pachniały surowością, wnętrza były mroczne i wyjątkowo przygnębiające.

– Jezu, jak w horrorze.

– Dalej jest jeszcze lepiej – zapewnił Bogdan.

Drzwi za nimi zatrzasnęły się i mrok objął Monikę zimnym, zaciskającym się z każdą sekundą szalem. Miała wrażenie, że macki wdierają się pod skórę, doprowadzając do jednego wielkiego dreszczu.

– Boisz się?

– Nie – skłamała.

– A powinnaś.

76.

Doktor Jaskólski nie znał nowej tożsamości Marka, ale w końcu lat dziewięćdziesiątych bardzo mu pomógł. Zresztą pomogli sobie

wzajemnie.

– Wszelki duch – zawołał, gdy go zobaczył. – Ja pierdziele, Leszku, ile to już lat?

Marek nie sprostował, że ma teraz inaczej na imię. Zresztą w nowym, także przecież spreparowanym, dowodzie miał wpisane imiona Marek Leszek, na wypadek, gdyby spotkał kogoś z dawnych czasów i ten przy nowych znajomych wypaliłby z tym Leszkiem. Każda legenda musi być przygotowana na niespodziewane przypadki. Zwykle agenci nosili te same imiona w różnych wcieleniach właśnie z tego powodu, ale w przypadku Marka poprzednia operacja stała się zbyt głośna, by oficjalne imię sugerowało związek. Lepsze już było ryzyko rzekomej „pomyłki” z imieniem.

– Niesamowite, myślałem, że ktoś cię... no wiesz...

– Uciszył?

– Właśnie. Ludzie czasem znikają, niekiedy na zawsze, kto jak kto, ale ja o tym dużo wiem. Nic się nie odzywałeś. Na sali rozpraw cię nie było, nie oskarżyli cię jak nas, nie zeznawałeś jako świadek, w aktach o tobie nic, no to wszyscy żeśmy pomyśleli, że ktoś cię utracił i zniknąłeś. Jak to ty lubiłeś mawiać, kochany?

– Że mnie nie ma. Nie istnieję.

– Właśnie. Jakby się spełniło.

Wiele lat temu Jaskólski był ordynatorem szpitala specjalistycznego w malowniczej podwarszawskiej miejscowości. Był człowiekiem wielkiego serca, znakomitym specjalistą, a przy tym odrobinę pazernym na forszę (ale też wyzwania i adrenalinę) pijakiem ze skłonnością do abstrakcji i surrealistycznych dowcipasów. Bardzo się ucieszył, gdy Marek (a w zasadzie Leszek) przyszedł do niego z propozycją, żeby rozkręcić biznes fałszowania dokumentacji lekarskich dla osób skazanych lub którym grożą

wysokie kary więzienia. Nie miał też nic przeciwko, wręcz zareagował ze swoistym entuzjazmem, kiedy Marek zaproponował, żeby w publicznym szpitalu zorganizować w zasadzie prywatną klinikę dla wyjątkowo groźnych przestępców. Przesada i abstrakcja była w stylu Jaskólskiego, więc odparł z zapałem:

„Ja pierdołę, niebo mi cię, człowieku, zesłało.”

Raczej piekło i to na trzy litery – odparł w myślach Marek–Leszek, ale głośno oczywiście przytaknął.

„Brakuje mi pacjentów do testowania nowych metod leczniczych, a kryminaliści będą do tego idealni” – orzekł ordynator. – „Będziemy jedyną kliniką w Europie, która testuje nowe cięcia i metody na żywych organizmach i to jeszcze za ich wiedzą i zgodą. Cóż za okazja.”

Tego Marek–Leszek nie chciał, ale w sumie nie miał nic przeciwko.

– Ważne, żeby dokumenty się zgadzały.

– No właśnie. A jakbyśmy tylko fałszowali, to by się nie zgadzały. Więc będziemy robić prawdziwe operacje i prawdziwie je opisywać w aktach. Nikt się nie przyczepi. Więźniowie będą zadowoleni, nauka zyska, a system dostanie mały wpierdol. Musisz wiedzieć, drogi Leszku, że jestem antysystemowcem.

Przez prawie dziesięć lat ordynator z Markiem–Leszkiem przeprowadzili kilkaset trudnych operacji na całkowicie zdrowych pacjentach z zakładów kryminalistycznych. To, że byli zdrowi, zupełnie doktorowi nie przeszkadzało.

„Tak nawet lepiej. Zdrowy kręgosłup zdecydowanie przyjemniej ciąć niż chory.”

Pacjentów oczywiście nie informowano o zagrożeniach i tego typu bzdurach. Nie mieli także wiedzy o nieudanych

wcześniejszych próbach, wypadkach i tym jednym nieszczęśniku, któremu przyszło umrzeć na stole, bo zniszczony narkotykami organizm nie wytrzymał narkozy.

Marek zawdzięczał też doktorowi to, że dokonał pierwszej w swoim życiu operacji.

„No chodź, spróbujesz” – namawiał go Jaskólski; dał się namówić, bo przecież wszystko jest dla ludzi i warto każdego nowego doświadczenia popróbować.

Piękne lata. Piękne czasy wolności, rozmachu i finezji. Iluż to przestępców oni omamili wizją wolności, ile sądów doprowadzili do wściekłości i jak dobrze zakonspirowali dzięki temu Marka–Leszka, o którym w środowisku przestępczym narosły prawdziwe legendy. Uważano go za najdroższego i najbardziej wpływowego „załatwacza” na rynku. We wszystkich grupach mafijnych krążyły historie o jego wyczynach i milionowych stawkach.

Sam Marek–Leszek zaś lubił mawiać:

„Nie pracuję dla żadnej mafii. One wszystkie pracują dla mnie.”

Aż nadszedł czas realizacji i Leszek musiał zniknąć, pozostawiając za sobą kilkaset spraw kryminalnych i całe kontenery akt do weryfikacji przez niesprawne i zbiurokratyzowane sądy. Koszmar.

– Ależ okazja – radośnie podsumował Jaskólski. – Musimy to opić, Leszku. O tak, koniecznie trzeba opić.

– Gdzieś przeczytałem, że ostatecznie cię nie skazali? – zapytał Marek niby od niechcienia.

– Za tamto? Kto mnie miał skazać? Przecież ja tylko wykonywałem swoją pracę najlepiej jak umiałem.

– No ale trochę pieniążków wzięłeś...

– Gdybyś ty zeznawał, pewnie by mnie trafili, a tak... dzięki Bogu zniknąłeś. Wdzięczny ci jestem, żeby nie było, nawet można

powiedzieć, że winny wolność, więc mów, co chcesz, a będzie ci dane. Może kogoś zoperować masz ochotę? Albo skremować? Bo wiesz, ja teraz nadzoruję też kremacje, modne ostatnio...

Jaskólski nie wiedział, że zeznania Marka–Leszka były włączone do utajnionych tomów akt i sędziowie się z nimi zapoznawali, ale ze względu na tajny charakter działalności agenta, nie mogły być jedynym dowodem i nie mogły przesądzać, a adwokaci nie mieli do nich dostępu.

Tak naprawdę zresztą nie powinny niczego przesądzać, bo były setki innych dowodów, ale polskie sądy... cóż, są jakie są. Za to dzięki temu dziś Jaskólski był cały czas nastawiony do niego pozytywnie. W sumie Marek nie życzył mu źle, wcale nie chciał, żeby lekarz czy inni współpracownicy jego zorganizowanej wówczas siatki ponieśli odpowiedzialność. Pozwolili mu się doskonale zakonspirować, działać przebojowo i z sukcesem. W gruncie rzeczy przecież nie byli źli. Po prostu mieli poczucie humoru.

– Nie oddam za nic tych lat. Jakbyś mnie dziś spytał, czy zrobiłbym to samo, to tu masz grabę na zgodę. Przecież my samo dobro robiliśmy.

– No jasne.

– A z tym skazywaniem, no to jednak jakiś wyrok tam dostałem. Wybłagał prokurator, żebym się zgodził przyjąć w zawiasach, w zamian dając spokój z tym całym ściganiem i zawieszeniem uprawnień. On sukces zaliczył, ja niby karę. Mogłem wrócić do... leczenia.

– Ale już chorych pacjentów?

– Zdradzę ci, że czasem jeszcze przyjeżdżają różni twoi znajomi i wciskają mi gotówkę, żebym tylko ich pokroił. Co za świat! Jak oni się boją tego więzienia. Są gotowi dać sobie obciąć palec czy

ryzykować wózek, w zamian za te parę dni wolności, niebywałe. A w areszcie przecież źle nie jest. Byłem, widziałem, sam wiem...

– No ja nie – skłamał Marek. W tamtych czasach zdarzało mu się zostać aresztowanym i nie mógł powoływać się na wpływy. Na tym polega tworzenie legendy. Raz o mało nie przyplącił tego tworzenia życiem, gdy w areszcie trafił na mocniejszego zawodnika. Bójka była krótka, Marek przegrał. Tamten brał się już do wykończenia go, gdy nagle uznał, że walczył honorowo i mu daruje.

„Tylko pamiętaj, kto rządzi” – zakończył.

Był to straszny drań, na szczęście w końcu ktoś go zabił i to bez udziału Marka. Zemsta bywa pułapką, jej pragnienie jest jak toksyna. Zatrzuwa organizm, powodując coraz to nowe dolegliwości.

– ...ale opowiadaj, jak to się stało, że zniknąłeś?

Marek miał wymyśloną na poczekaniu bajeczkę o tym, że go ktoś ostrzegł i uciekł za granicę.

– W Hiszpanii siedziałem – zakończył.

– Wszyscy do tej Hiszpanii. Co was tam ciągnie?

– Klimat przyjazny i w ogóle miło.

– Barcelona czy Real?

– Ani to, ani to.

– Pewnie Valencia?

Pamiętał, że dużo rozmawiali o piłce, więc Marek nie mógł tutaj się wyłgać.

– Atletico.

– Dobra obrona.

– Mają chłopaki charakter.

W końcu przeszli do rzeczy i Marek wydobył od Jaskólskiego namiar na człowieka, z którym kiedyś go poznał. Była to

niezwykle ciekawa postać – rosyjski bioenergoterapeuta o zdolnościach rzekomo paranormalnych. Jasnowidz.

Oficjalnie się z niego podśmiewano, ale w przypadkach beznadziejnych czy trudnych nawet Jaskólski do niego wysyłał ludzi i czasem przynosiło to efekt. Rzadko, bo jednak beznadziejne przypadki są po prostu beznadziejne, ale czasem się udawało. Teraz Marek potrzebował tej drugiej umiejętności bioenergoterapeuty, o której mu kiedyś Jaskólski przy wódce opowiedział.

„Andriej w Rosji brał udział w złapaniu tego Iksa, nie wiem czy kojarzysz, seryjnego, co zaszlachtował sto osób, i w żaden sposób nie można było na niego trafić, aż właśnie Andriej na miejscu zbrodni miał wizję, którą dość dokładnie opowiedział, wskazując miejsce zamieszkania sprawcy i to się potwierdziło. Dzięki temu go złapali.”

Oczywiście mogła być to zwykła ściema, strata czasu, ale dziś Marek miał go aż nadto i postanowił spróbować. Policjanci nie przyznawali się, ale też często wykorzystywali jasnowidzów, tyle że raczej bez efektu.

– Andriej mieszka, gdzie mieszkał. Jak była ta afera z tym biznesmenem, wiesz, co się u niego leczył, wyjechał na pół roku na Białoruś, ale teraz znów wrócił. On lubi ten nasz Konstancin. A co, korzonki chcesz przeskanować?

– Korzonki – przyznał Marek.

77.

Bogdan nagle zmienił się w potwora. Jak to przestrzegał ją Arab. Ludzie błyskawicznie potrafią przejść przemianę i nagle stają się bestiami. A może nimi są, tylko przywdziewają maski?

Próbowała walczyć, ale błyskawicznie ją obezwładnił i uderzył raz, niby lekko, a jednak bolało jak cholera. Pięścią, w twarz, tak że miała wrażenie, że wszystkie zęby się zaczęły ruszać. Poczowała krew w gardle. Usta błyskawicznie napuchły. Nos... chyba był cały, ale też zaczęło z niego lecieć. Zamierzył się drugi raz, ale nie uderzył.

– Już, wystarczy – poprosiła.

Nie uderzył ponownie. Więc nie sadysta. Tylko interesy. Czy to lepiej? Chyba tak.

– Idź – rozkazał. – Przed siebie, prosto.

Szła w noc, coraz głębiej. Miała wrażenie, że z każdym krokiem ciemność gęstnieje, nie tylko wizualnie, ale też staje się bardziej lepka, klejąca, oblepiająca jej skórę, wciskająca się do gardła, przez co z trudem zaczęła łapać oddech. Potknęła się. Musiała oprzeć o ścianę, ale ściany nie było. I by upadła, ale ją podtrzymał, popchnął.

– Do przodu!

– Czego chcesz?

– Idź. Zaraz się dowiesz.

Drzwi. Trafiała na nie dłonią. On chwycił za klamkę. Poczowała go blisko i pomyślała, że przecież przed kilkoma godzinami byli przyjaciółmi, kochankami, a teraz... Zapach się nie zmienił, a jednak wszystko się zmieniło.

– Dalej!

W korytarzu było jaśniej. Chyba zapalił jakieś mdłe światło, które zaczęło się sączyć z sufitu.

– W prawo!

Kolejne drzwi. Znow to on chwycił za klamkę, popchnął, ocierając się o nią, był blisko, wystarczająco by go kopnąć, zdzielić łokciem, zaatakować z zaskoczenia... Strach mroził. I ból. I smak

krwi. Nie, nie, nie. To się nie może udać. Jest zbyt sprawny, zbyt silny. Z łatwością ją pokona, będzie tylko bardziej bolało, będzie więcej krwi, a może dodatkowo ją ukaże. Złamie coś czy rozerwie. Przypali albo rozdrapie. Kto wie czy nie robi czegoś potwornego. Wyłamie ramię ze stawu albo utnie palec. Jakoś pasował jej teraz na obcinacza palców. Lepiej być grzeczną, przynajmniej na razie, dopóki nie wie, czego potwór chce.

– Włóż!

Pokój, oświetlony całkiem mocno, po tym jak jej oprawca nacisnął włącznik, dziwne ściany, jakby z jakiegoś materiału, pomyślała, że jest dźwiękochłonny. Cholera, niedobrze, jak w domu wariatów. Dziury w tych ścianach, oszklone. Za nimi widoczne kamery, nawet nie ukryte.

– Twój nowy dom!

78.

Andriej mieszkał kilka posesji za szpitalem, w zapuszczonej, ale klimatycznej rezydencji, która należała do jakiejś cypryjskiej spółki z nominalnym akcjonariuszem.

Marek postanowił potem sprawdzić powiązania, ale nie sądził, żeby to coś dało. Jeśli za Andriejem stoi jakieś FSB czy inny Mossad, nie ma szans tego ustalić. Inna sprawa, że to w ogóle w tej chwili nie powinno go interesować.

Wielokrotnie w swojej karierze dyskutował lub współpracował z agentami obcych wywiadów i dochodzili zawsze do jednego wniosku: robią swoje w zmieniających się okolicznościach, nic więcej.

A teraz Andriej mógł mu pomóc.

– Dzień dobry, przychodzę z polecenia doktora Jaskólskiego, może mnie pan pamięta – powiedział do domofonu. – Kilkanaście

lat temu mieliśmy okazję porozmawiać. Leszek.

Żadnego odzewu. Już chciał coś powtórzyć, gdy usłyszał brzęczek otwieranej bramki.

Andriej uchylił drzwi, rozglądając się intensywnie. Wyglądał na dziwaka, oszołoma. Źle ubrany, nieświeży, nieogolony i ogólnie zarośnięty. Wzrok rozbieganych, jakby był na psychotropach. Marek wyczuł przetrawiony alkohol i pomyślał, że jednak przyście do niego było błędem. Co mu może powiedzieć zdecydowanie wczorajszy jasnowidz emeryt na haju?

– Leszek, pamiętam cię – powiedział. – Przyniosłeś jakąś butelkę?

– Coś mam – Marek wyciągnął spod marynarki 0,7 Sobieskiego.

– Wolę rosyjską, ale niech będzie.

W domu śmierdziało, było brudno i nieprzyjemnie. Na szczęście nie weszli za daleko. Rosjanin zaprowadził go do niewielkiej kuchni tuż przy wejściu, nalał kranówki na popitkę do dzbanka i przystawił jakieś obrzydliwe przekąski z lodówki.

– To na zdrowie – Andriej mówił po polsku poprawnie, choć z wyraźnym akcentem. Wypił, Marek udał, że pije.

– Z czym przychodzisz?

– Chciałem cię poprosić o spojrzenie na to zdjęcie – pokazał mu fotografię Moniki, którą zrobił w San Diego.

– Piękna kobieta – Andriej się ożywił. – Co chcesz wiedzieć?

– Zniknęła – Marek postanowił nie ściemniać. – Mam też inne jej zdjęcia.

Chciał je wyjąć, ale dziwak go powstrzymał.

– Dawno?

– Nie, ale nie mam z nią kontaktu zbyt długo. Stało się coś złego.

Pogłaskał zdjęcie.

– Może jednak wróci. Nic nie czuję.

– Nie rozumiem.

– No... – Andriej zawahał się. – Żyje. Jakby nie żyła, bym wyczuł od razu. A tu po prostu czuję, że nic złego się nie dzieje. Zwykle zdjęcie.

– Tak, to dobra wiadomość.

– Dobra, jak dobra.

– To znaczy?

Andriej głaskał cały czas zdjęcie.

– Wiesz, jak to działa?

– Co?

– No całe to jasnowidzenie czy co tam sobie wymyślamy, bioprądy, terapie, deja vu i tak dalej?

– Nie.

– Chodzi o energię i jej przepływ w przestrzeni. Każdy przedmiot ma energię widoczną i ukrytą. Zdjęcia kumulują obie warstwy, dlatego są tak dobrym przekąźnikiem. Z jednego zdjęcia jesteśmy w stanie wyczytać znacznie więcej niż z dysku pełnego danych komputerowych. To zdjęcie jest akurat dość stare, prawda?

– Nie aż tak bardzo – na fotce nie było daty i śladów, więc to plus dla Andrieja, pomyślał Marek. – Raptem kilka miesięcy.

– Wystarczająco stare, by się zapieczętować, ale to dobrze. Wszystko w nim jest ułożone, żadnego chaosu. Takie zdjęcia, nie wiem jakim cudem, się ze sobą komunikują i potrafią zbierać najnowsze dane z przestrzeni, jakby nie mogły się pogodzić, że prezentują tylko przeszłość. Odbierają utrwalanym obiektom część energii i tworzą swoistą sieć z innymi interakcjami.

Niech będzie – pomyślał Marek, ale nie przerywał.

– I to zdjęcie bardzo mocno daje mi znać, że coś ważnego stało się kilka dni temu, też trochę daleko, gdzieś pod wysokimi górami, w jakimś pałacu.

Cholera, to działało.

– Alpy, Austria – szepnął. – Pałac w...

– Tego nie wiem. Widzę góry i pałac. I ją w tym pałacu z jakimś mężczyzną. Jego powinieneś poszukać.

– Tak sędzę.

Cały czas pocierał palcem zdjęcie.

– Poszukaj go, znajdziesz odpowiedź. Tylko uważaj, to zły człowiek.

– Wiem.

– Jak ty.

– Tak.

Andriej wypił kolejny kieliszek wódki.

– Dobrze, że się pogodziłeś, że nie zaprzeczasz.

– Jestem jaki jestem.

– To ci pomoże.

– Jak mogę go znaleźć? Tego mężczyznę, o którym mówisz?

Możesz mi coś podpowiedzieć?

Andriej skrzywił się.

– Nie sędzę. Widzę tylko cień. I czuję, że jest ważny.

– Rozumiem.

Nagle Andriej się ożywił. – W tej sieci jest ktoś jeszcze, on ci może pomóc.

– Kto taki?

– Widzę człowieka w samochodzie, dziwnie wygląda, jakby nie pasował do was wszystkich, do niej, do obcego, do ciebie. To człowiek z innej bajki. Interesuje go wasz świat, lecz do niego nie należy.

– Kto to może być?

– Nie wiem. Policjant? Przypadkowy przechodzień? Nie, on nie jest przypadkiem. Może jakiś dziennikarz...

Marek nagle doznał olśnienia. Bez względu na wszystko, Andriej właśnie dał mu niezwykle istotną wskazówkę, którą powinien już dawno sam odnaleźć. Starzeje się lub zwyczajnie głupieje, przestał kojarzyć fakty. Nie umie ich już dobrze analizować. Mógł nie wierzyć w jasnowidztwo, bioprądy i tym podobne bzdury, ale ta wskazówka była znacząca i mogła mu bardzo pomóc.

Musiał jak najszybciej odnaleźć Kubę Zimnego.

79.

– Usiądź wygodnie, nie martw się, to jeszcze potrwa, może długo. Będiesz miała tu czas i wygody. Nie chcę cię skrzywdzić, nie jestem od tego.

– A kto jest?

– Ktoś cię kupił – Bogdan rozłożył ręce w takim trochę upokarzającym geście. – Jak cię już wielokrotnie kupowano, prawda? Tak mi powiedzieli, że się sprzedajesz. No więc ktoś przyszedł do mnie i cię kupił.

– Ty mnie sprzedałeś?

– Przepraszam, może to źle zabrzmiało. Ja sprzedałem możliwość, nie ciebie. Ktoś uznał, że cię kupi, a u mnie kupił możliwość realizacji swojego planu.

– Po co? Co chce ze mną zrobić?

Bogdan posmutniał.

– Na pewno nic dobrego, alele może przeżyjesz.

Pomyślała o filmach na temat porwań. Była jedna żelazna zasada: nie powinna oglądać twarzy sprawców, żeby ich nie móc

rozpoznać. A tu... Przecież widziała twarz Bogdana. Już jej nie mogą wypuścić. Zatem...

– Kłamiesz – mruknęła.

Szybko złapał, o co jej chodzi.

– Może, bo rzeczywiście trudno przypuszczać, żeby ci się udało, ale jeśli chodzi o mnie, to nie ma problemu.

– Nie rozumiem?

– Moja tożsamość, twarz nie ma znaczenia. Przypuśćmy, że cię wypuścimy. Przecież nie pójdziesz na komisariat zeznawać, prawda? To by oznaczało kolejne zagrożenia. Znasz system i jego braki. Jeśli wyjdiesz, wrócisz do domu, zamkniesz drzwi na klucz, schowasz się głęboko pod kołdrą i będziesz się modlić, żeby mnie więcej nie zobaczyć, prawda? Zapomnisz natychmiast, jak wyglądam?

Dawał jej szansę, ale jednocześnie to była racja. Cokolwiek się wydarzy, Monika nie pójdzie z tym na policję. Jej nie ma, nie istnieje.

– Zbyt dużo mi o sobie powiedziałaś – szepnęła.

Skrzywił się.

– E tam, nakłamałem. Wszystko to z książek. Lubię Patryka i inne historyjki, składam je sobie jak puzzle i wymyślam z niby prawdy całkowitą fikcję. Wszystko, co ci powiedziałem, jest prawdą, a zarazem całkowitą fikcją.

– Jak to?

– Jeśli powiesz policji słowo w słowo, to znajdą zupełnie kogoś innego niż ja. O mnie nie wiesz nic, ani słowa prawdy. Tak samo jak nie dowiesz się tego, kim dokładnie jest zleceniodawca. No, ale przecież ty nie pójdziesz na policję, prawda? Cokolwiek się tu nie wydarzy, będziesz milczeć, bo wiesz, że inaczej ci nie wolno.

– Tak, nie pójdę – przyznała.

Zimny mieszkał na Czeskiej w Warszawie. Marek ustalił adres w minutę. W drugiej był już w drodze, ale przedarcie się przez korki trochę zajęło, nawet przy użyciu nawigacji Google i łamaniu przepisów. Zastanawiał się, czy będzie miał farta i o dziwo udało się. Dziennikarz był w domu, na dodatek wcale się nie zdziwił jego widokiem.

– Proszę wejść, porozmawiamy w ogrodzie.

Przeszli przez mieszkanie na taras, który wyglądał niczym scenografia jakiegoś filmu katastroficznego.

– Jakby tu posprzątać, nie byłoby klimatu – wyjaśnił Zimny. – Pije pan?

– Nie.

– A ja się napiję.

– Proszę bardzo.

Zimny nalał sobie odrobinę burbona z prawie już pustej butelki Jacka Danielsa, usiadł blisko Marka i zapytał:

– W czym mogę pomóc?

Przez całą drogę Marek zastanawiał się, jak najszybciej osiągnie efekt. Czy powinien dziennikarza sterroryzować czy też zyskać jego przychylność? Uznał, że należy zacząć od drugiej opcji, ewentualnie przejść błyskawicznie do pierwszej, gdyby poprzednia okazała się nieskuteczna.

Był gotów zrobić temu dupkowi naprawdę okropną rzecz, gdyby zaczął ściemniać. Z drugiej strony miał nadzieję, że to nie będzie potrzebne.

– Po naszym ostatnim spotkaniu robił pan zdjęcia z ukrycia, prawda?

– Nie rozumiem.

– Fotografował pan osoby wychodzące z pałacu. Zrobił pan zdjęcie Monice i osobie, z którą wychodziła. Tak czy nie?

Trafił. Widział po oczach Zimnego, że trafił.

– Może. Ale skąd pan wie?

– Po prostu wiem, a to sprawa życia i śmierci. Muszę mieć to zdjęcie.

Zimny wahał się.

– Nie ma sprawy, ale coś za coś.–

81.

Bogdan usiadł bardzo blisko, podał jej szklanekę wody.

– Ależ ty jesteś piękna, szczególnie jak taka wystraszona. Zazdrość nabywcy.

– Kim jest?

– Tego nie mogę zdradzić. Tajemnica zawodowa. A ty będziesz miała niespodziankę.

Już od dłuższego czasu myślała o różnych osobach i nie mogła odnaleźć tej właściwej. To musiał być ktoś, kto jej nienawidzi. A przecież ona... nie znała nikogo takiego.

Więc może to była nienawiść głęboko skrywana. Kto to taki? Olo? Duży Miś? Może nawet Marek? Jakiś urażony knur czy Prezes Blondas? O tak, ten ostatni pasowałby do takiej fanaberii. Wszystkiego w życiu już próbował, nie za swoje pieniądze, tylko przez układy, więc może zapragnął kogoś potorturować? Może chce ją tylko podręczyć, zgwałcić? A może, jak w tych tanich horrorach, chodzi o sprzedawanie śmierci? Albo o wycięcie jakich organów?

Wtedy pomyślała o Muzyku. Nie, mimo wszystko byłaby najbardziej zaskoczona, gdyby to był on. Przecież ona od niego uciekła bez żadnych oczekiwań, nie szantażuje drania, nic mu z jej

strony nie grozi? Tyle że to mogło być bez znaczenia. Może Muzyk chce odzyskać swoją własność? Boże jedyny, jeśli to on i będzie chciał powtórzyć z nią siłą to, co robił, gdy była dzieckiem? Jeśli znów miałyby wpaść w jego łapy, to chyba wolałyby już śmierć.

– Nic nie możesz zdradzić?

– Przykro mi – odparł. – Wiesz, to specyficzna kategoria usług bazująca na całkowitym zaufaniu. Ofiara powinna wiedzieć jak najmniej, żeby w przypadku, gdyby jej się udało uwolnić, nie mogła za wiele zeznać, przy czym zakładamy, że nic nie zezna w obawie, jak to by się mogło skończyć. Wiesz, kim jest mój ojciec?

Zobaczyła jakiś dziwny błysk w oczach. Jakby chciał się od niej czegoś dowiedzieć. To pytanie miało podtekst.

– Mówiłeś, że bogatym biznesmenem.

– Nakłamałem trochę, już ci mówiłem. Ale jedno z tego, co ci mówiłem, nie jest kłamstwem. Ojciec wciąż ma wielkie wpływy. Gdybyś poszła zeznawać, dowiedziałyby się kilka minut po twoim pierwszym zdaniu, w którym padnie moje imię. Wiesz, co byłoby dalej?

– Nie.

– Proces podważania twojej wiarygodności. Bardzo szybko byśmy ci udowodnili, że nie masz pojęcia, o czym mówisz.

– Ale ja mam pojęcie.

– Tyle że twoje mniemanie jest bez znaczenia. Liczy się to, co paskowy napisze w wiadomościach. A jemu ktoś przecież płaci. Jego nie obchodzi treść.

– Jesteś chory.

Pokręcił głową.

– Po prostu dostosowany. Reaguję na potrzeby rynku, tak jak ty wcześniej, jeśli się nie mylę. Bogaci ludzie potrzebują wyzwania i dziwactw. Ciężko jest im je zapewnić albo trafić w gusta, więc

najlepiej po prostu zapytać. Wiesz, skąd mi się wzięła pasja do tego zawodu?

– Nie – i chyba nie chcę wiedzieć, dodała w myślach.

– Mój ojciec zrobił czy zarobił??? naprawdę dobre pieniądze. Ale w pewnej chwili miał kłopoty. I wtedy dostał propozycję, jednym z jej warunków było oddanie mnie do pewnej szkoły takiej przedziwnej sekty. Tam się ukształtowałem. Wierz mi, nigdy nie przeżyjesz potworności, które ja przeżyłem, którymi mnie tam wychowywano, bo tak to nazywali. Twierdzili, że będę po tym twardy jak skała, stanę się nieczuły na krzywdę innych, którzy będą służyli jako stopnie do mojej kariery.

– Mścisz się na niewinnych.

– Niewinnych? Nie rozśmieszaj mnie. Niby ty jesteś niewinna? A może ten, który tu przyjedzie? Fakt, jak dotąd nikogo nie zamordował, może nawet nie zgwałcił, ale marzy o tym.

– Chory drań!

– Rzetelnie i uczciwie stawiający sprawę. Pamiętaj, że zawsze masz szansę. Może uda ci się go przekonać, żeby nie robił ci krzywdy. Kto wie, czy nie posłucha. W końcu pragnienia nie zawsze odpowiadają możliwościom.

82.

Zimny czuł, że Marek nie żartuje. Wcale też nie zamierzał się specjalnie targować. Ten człowiek potrzebował tego zdjęcia nie po to, żeby komuś zaszkodzić tylko...

– Monika zniknęła, podejrzewam, że ktoś ją porwał, być może facet z twojego zdjęcia, dlatego nie mam czasu się przekomarzać – dodał Marek, doskonale czując nastawienie Zimnego i wybierając najlepszą ścieżkę, by zyskać efekt. – Daj mi to zdjęcie, a jeśli ją odzyskam, zrobię, co zechcesz.

– Zgoda – Zimny już grzebał w laptopie.

Marek nachylił się, zerkając mu przez ramię na ekran. Ależ miał tam bajzel; wszystkie teczki bez żadnych zabezpieczeń za to ze znaczącymi tytułami: „Afera KNF”, „Sądy”, „Klasyk kontra Insider”, „Podśluchy”, „Media”...

Teraz jednak najbardziej interesowała goteczka „Zdjęcia”.

Zimny odnalazł folder z właściwą datą i uruchomił przeglądanie miniaturek. Marek patrzył zdumiony na wiele zdjęć z sali balowej, w tym ujęcia Moniki oraz jego samego. Więc dziennikarz za nimi chodził, cykał fotki z ukrytej kamerki, pewnie wszystko nagrywał, włącznie z ich rozmową. Niestety, żadne ze zdjęć z sali balowej nie przedstawiało Moniki z mężczyzną, którego Marek widział tylko przez chwilę i którego dziś chyba by już nie rozpoznał.

W końcu dotarli do fotki ze schodów, na której Monika wychodziła z tym człowiekiem. Marek poczuł przyspieszone bicie serca. To był dobry strzał. Tego mężczyznę przez chwilę widział z Moniką, a teraz już go rozpozna w każdej charakterystyce. Fota nie była zbyt dobrej jakości, ale do jego celów wystarczająca.

– Możesz wydrukować?

Zimny skinął głową.

– Ale tylko czarno-białe.

– Niech będzie. I przerzuc mi na Viberze.

Zimny spełnił prośbę.

– Nie śledziłeś nas dalej?

– Nie. Tylko robiłem zdjęcia.

– A na sali kręciłeś film?

Zimny zawahał się.

– Jest na serwerze tutaj – powiedział i napisał mu adres internetowy. – Hasło: Bitcoin.

– Bitcoin?

– Dobrze, jak każde inne.

Marek wziął wydruk, sprawdził, czy plik ze zdjęciem mu się wgrał i ruszył do wyjścia.

– Mogę jechać z tobą? – zapytał Zimny.

Marek miał nie odpowiadać, ale ostatecznie przecież ten pismak okazał się fair.

– Nie teraz, nie mam czasu cię niańczyć, ale... bądź w pogotowiu. Jeśli coś będę miał dla ciebie, dam znać.

– Zgoda.

Marek stanął jeszcze na chwilę.

– Dziękuję. Dotrzymam obietnicy.

83.

Wyszedł. Nic jej nie zrobił, nawet nie związał. Gdyby nie jej krótki opór, pewnie nawet by nie uderzył ten jeden raz na początku. Cholera, gdyby się nie postawiła, nic by nie bolało, a tak czuła coraz mocniejsze pieczenie w dziąsłach i na wargach. Nos za to już prawie nic nie bolał, nie był złamany. Chwilę jeszcze siedziała, gdy Bogdan zamykał drzwi na klucz. Był to ostatni dźwięk jaki słyszała z zewnątrz i od razu ją zmroził. Przypomniała sobie piwnicę domu Muzyka. Tam dźwięk zamka brzmiał podobnie. Zresztą każdy zgrzyt zamka napawał ją przerażeniem.

Próbując odgonić wspomnienia, wstała i rozejrzała się po pomieszczeniu. Materiał na ścianach był twardy, nie mogła go zedrzeć. Krzyknęła w niego i miała wrażenie, że zgodnie z jej przypuszczeniami pochłania dźwięk. Nie było więc żadnego sensu krzyczeć. Zresztą nawet gdyby nie pochłaniał, kto by ją odnalazł w tym zamczysku i głuszy.

Stuknęła w szybkę, za którą była jedna z niżej położonych kamer. Tą mogłaby coś zalepić, ale przecież kamery nie służyły

temu, żeby ją obserwować. Wręcz miała wrażenie, że ta i większość innych były nieczynne. Ten ktoś, kto ją kupił, je dopiero uruchomi, będzie nagrywał to, co z nią tu zrobi. Jedynie kamera na samej górze błyskała do niej zieloną diodą. Przez nią ją obserwują i do niej nie ma jak dotrzeć, jest za wysoko.

W ogóle całe pomieszczenie nie było całkiem przestronne. W rogu miało podłogę z dziurkami do spływania wody, niewielką umywalkę, wysoko była czasza prysznicowa, na wysokości głowy guzik, który uruchamiał wodę. Na razie go nie włączyła. Nad umywalką też guzik. Tylko zimna woda. Zawsze coś. Umyła buzię z krwi, spojrzała w metal, w którym mogła się trochę przejrzeć. Zrobiła siku do klozetu. Woda sama się spuściła. Nie było szczotki do czyszczenia. Żadnych przedmiotów, które ona mogłaby do czegoś użyć.

Z boku drzwiczki do wmontowanej w ścianę szafy. Otworzyła je. W środku stało kilkadziesiąt papierowych pudełek ze sztuczną żywnością. Jakieś pasztety o smaku mięsa, drobiu, pastylki kawowe, pasta jajeczna, z tuńczyka, zafoliowane tofu. Kilka kubeczków do wody. Samej wody nie było, miała pewnie pić z kranu.

Jej więzienie.

84.

Nie mógł nikomu powiedzieć wprost, bo by mu kazali wyjechać, odebrali sprawę. Pojechał więc od razu do Diesla, który zdążył wezwać Monę.

– Arab i Sara są w drodze – powiedział Diesel. Dojadą najpóźniej w nocy. Marek wiedział jednak, że jeśli do tego czasu zdążą znaleźć Monikę, Diesel nie będzie się wahał i ruszą na pomoc we dwóch.

– Ja też pojedę – zapewniła Mona. – Możecie na mnie liczyć.

Kilka lat temu Mona z Dieslem wzięli udział w jednej z najniebezpieczniejszych operacji z klubem płatnych zabójców i się bardzo dobrze sprawili. Choć kobieta nie była ani sportsmenką, ani wybitnym strzelcem, uratowała wtedy Dieslowi życie. Marek nie wiedział jeszcze, kim jest przeciwnik, ale wierzył, że sobie poradzą. Wezwanie kawalerii będzie ostatecznością, choć na pewno nie zaryzykuje życia Moniki. Ona jest tu najważniejsza, muszą ją uratować.

– Zaczynamy.

Mona uruchomiła wyniesiony ukradkiem z Komendy Głównej laptop, zalogowała się do specjalnego systemu analitycznego, do którego wgrali zdjęcie. Zwykle wyszukiwanie nie dało efektu, uruchomili więc szczegółowy research. Program pokazał licznik z odmierzanym procentami postępem. Po dziesięciu minutach pojawił się... 1 proc.

– Kurwa, to potrwa wieczność.

Diesel tymczasem pracował już na swoim, zwykłym laptopie.

– Może wujek Google pomoże.

O dziwo wcale nierzadko mocne, specjalistyczne narzędzia kupowane za miliony złotych okazywały się słabsze od ogólnodostępnych, prostych, na dodatek całkowicie darmowych rozwiązań. Google Maps potrafiło lepiej poprowadzić po trasie niż specjalny system dowodzenia. Inna sprawa, że czasem wyprowadzało w szczerze pole, a tego system dowodzenia nie robił.

Co prawda zdjęcie nie zostało skojarzone z niczym, ale gdy Diesel wrzucił do wyszukiwarki otrzymaną od wiewiórki z PZUF listę gości z imprezy pod Alpami, system skojarzył jedno z nazwisk z fotografią od Zimnego.

– Bogdan Rostowski – przeczytał Diesel.

Mona przerwała obserwowanie działań policyjnego laptopa, który pokazywał 2 proc. i przesunęła krzesło do nich.

– Wrzucić na bęben? – zapytała.

– Zaraz – Diesel wpisywał już zapytania w wyszukiwarkach KRS, sądowych i ogólnych. – Rostowski Investment, Rostowski Group. Tatus – Czesław Rostowski, kojarzycie?

– Ja kojarzę – bąknął Marek.

Czesław Rostowski – były prokurator, biznesmen, sadysta. Jego dawny przyjaciel, do którego kiedyś na własną zgubę posłał Lenę i którego nie zdołał nigdy właściwie ukarać za jej śmierć.

85.

Część podłogi była zrobiona z gumy, przypominała trochę sportowy materac. Też nie dało się go rozerwać czy zniszczyć, ale chyba miało to służyć jako łóżko. Położyła się w tym miejscu i próbowała zasnąć. Sen daje nadzieję, trzeba spać, żeby nabrać siły, żeby nie poddać się i nie przegrać, gdy przyjdzie czas walki.

Nie robiła sobie wielkich nadziei na zwycięstwo. Ci dranie zbyt dobrze się przygotowali, żeby dać jej wygrać, ale z dawnych lat nauczyła się jednego – każdy dzień jest dobry. Trzeba przetrwać jeden, drugi dzień, potem nadzieja staje się mocniejsza, umysł silniejszy. Uratowała się wtedy, może uratować się dziś. Muzyk na zawsze pozostanie w jej głowie, ale jednak nie zniszczył całkowicie życia. Może teraz będzie podobnie.

Przymknęła oczy i znów to wróciło, ta piwnica sprzed lat, łapska Muzyka.

A potem cała sytuacja, wszystkie okoliczności. Mama, której tak bardzo zależało na sukcesie córki, żeby ją wepchnąć w obleśne łapska starego dziada. Brat, który przeczuwał, co się dzieje, ale nie reagował, bo przecież robiła karierę. Siostra, która głaskała ją

z wyrozumiałością i jakąś taką obawą, że mogłaby to przerwać, nie dając im szansy na wybicie się, bo przecież jej talent pomagał wszystkim. Cała rodzina zyskiwała, ba, nawet miasto. Była jedyną znaną osobą z tej dziury.

Gdy zdecydowała się to przerwać, wszyscy mieli do niej pretensje. Przestrzegali, że niszczy sobie życie, karierę, że robi głupotę. Przecież to nic takiego, że ją stary „dobry wujek” trochę podotyka, przecież nic złego nie robi... Skurwysyny... Jakże ona ich wszystkich nienawidziła.

Dlatego się zbuntowała po całości i związała z chłopakiem z zespołu metalowego. Zaczęła robić sobie dziary, chodzić w dziurawych portkach. Puszczala się. Po całości. Z każdym, a nawet kilkoma naraz. Zaskakiwała ich, bo nie byli przygotowani na kogoś aż tak zepsutego. Stała się pieprzoną nimfomanką, rozwiązłą, zepsutą do cna dziewczyną bez zahamowań. Tak było trzeba, tak jej się wydawało, że trzeba, żeby dopełnić buntu, pokazać, jak bardzo jest wolna, jak to Muzyk nie ma już nad nią żadnej władzy.

Puszczala się więc z buntu, ale też dla przyjemności. Bo seksu potrzebowała jak żadna: ciągle i na nowo, z kolejnymi partnerami, bo każdy jej się nudził. Nie potrafiła kochać, potrafiła tylko myśleć o seksie. Niestety, nawet Marek nie był wyjątkiem. Może o tyle, że jemu jako jedynemu to nie przeszkadzało, a nawet potrafił czerpać z tego korzyści. Dlatego był szczególny, wyróżniał się, zasługiwał na specjalne względy. Zadziwiająca była ta ich zażyłość.

A teraz... leżała tu sama, pod okiem kamery i też poczuła tę potrzebę. Potrzebę rozładowującego napięcie seksu, którą chciała zrealizować natychmiast. I wcale nie chciała tego ukrywać.

Włożyła rękę w krocze i zaczęła się masturbować. Do kamery, tak, żeby tamci mogli ją obejrzeć.

Skoro chcą, niech patrzą!

86.

Czesław Rostowski powrócił, znalazł go, mści się.

To nie mógł być przypadek.

Marek chyba pierwszy raz w życiu nie czuł się panem sytuacji. Miał wrażenie, że tym razem to ktoś inny go rozgrywa. Czesław. Boże, ile to już lat?!

Byli przyjaciółmi, dawno temu. Można powiedzieć, że nadawali na tych samych falach. Czesław wciągnął go w środowisko prawnicze. Pokazał, jak jest skorumpowane, zepsute, uzależnione, rozkapryszone, złe. Dzięki niemu Marek poznał wszystkie możliwe patologie tego zawodu, zarówno ze strony prokuratorskiej, jak sędziowskiej i adwokackiej. Rostowski miał epizody w każdej z tych profesji, dlatego wiedział wszystko. Ponadto był człowiekiem lubianym, znanym z pociągu do kobiet i alkoholu, dla kolegów zawsze usłużny, dostępny, skłonny do ustępstw, negocjacji, kompromisów. To on wymyślił pojęcie „grillowania spraw”. Jak trzeba było coś załatwić poza procedurami, panowie sędziowie, adwokaci i prokuratorzy spotykali się na grillu i ustalali, kto winny, kto niewinny, ile posiedzi i zapłaci. Komu należy się gorsze więzienie, wyższa kara niż standardowo orzekana, a kto zasługuje na łaskę, łagodniejsze warunki i mniejszy wymiar. Organizował zakrapiane imprezy i to on pierwszy pokazał Markowi, co tak naprawdę daje największą przewagę. To on nauczył go, że warto korzystać z pomocy pięknych kobiet.

Oczywiście to wszystko w dużym uproszczeniu, bo Czesław nie był wszechmocny, nie działał w próżni. Byli inni, którzy mieli swoje interesy.

Dlatego potrzebował kogoś takiego jak Marek, który spadł mu z nieba i potrafił załatwić to, czego on sam nie mógł lub nie bardzo chciał. Stworzyli duet idealny. Czesław ogarniał procedury, kolegów prawników, urabiał profesorów na uczelniach, organizował popijawy wyższych sfer, a Marek ich wszystkich kumał z bandziorami. Jak do tego dołożył jeszcze doktora Jaskólskiego, który potrafił notabli wyleczyć, a przestępców rozchorować, no to stali się naprawdę wszechmocni.

Jeździli po całym kraju, organizując sądowe ustawki warte miliony złotych. Czesławowi nawet przez myśl nie przeszło, że Marek może być agentem. Gdyby ktoś mu to powiedział, uznałby go za najlepszego komika.

Dlatego przy zamknięciu operacji tak łatwo wpadł.

Marek zadrzał na wspomnienie tego wieczoru. Przyjechał do Czesława z gotówką, rzekomo przekazaną przez gangstera za załatwienie kasacji w Sądzie Najwyższym, ten jak zwykle przyjął go przyjacielsko, zjedli coś i wypili, po czym przeliczył kasę, głośno komentując, ile odda sędziom sądu przy okazji jakiejś imprezy na Mazurach, gdzie wezmą te dziewczyny co ostatnio, a jaką kwotą się podziela, kompletnie nie podejrzewając Marka.

Kiedy antyterroryści wpadli do mieszkania i ich obezwładnili, Rostowski zachował jednak zimną krew i... narobił w gacie. Co prawda czasem się to zdarzało przestępcom, ale dość rzadko, więc policjanci nie byli przygotowani na tę opcję.

„No weź, człowieku, wieź teraz całkowicie obsranego gościa w konwoju” – mówił dowódca do policjanta, który obezwładnił Czesława.

„Nie moja wina, nic mu nie zrobiłem. To pewnie przez tę petardę.” – Bronił się „oskarżony”.

Marek nie mógł się zdradzić (też został zakuty w kajdanki ze zwykłą brutalnością), więc nie ostrzegł policjantów, którzy zaprowadzili Czesława do łazienki i pozwolili mu się umyć. Cwaniak dzięki temu zmył z dłoni środek barwiący świadczący, że dotykał pieniędzy i podważał potem w sądzie dowody o rzekomym przyjęciu korzyści.

„Wysoki sędzie, owszem, ten człowiek, którego znałem i z którym wręcz się przyjaźniłem, przyniósł mi pieniądze, ale ja ich nie dotknąłem, nie liczyłem. Odmówiłem przyjęcia, a jedynie w celu przeciągnięcia sprawy kontynuowałem rozmowy. Zresztą na pewno to potwierdzi.” – zeznawał wiedząc, że Marek zniknął, choć nie był pewien dlaczego. – „Wobec powyższego wnoszę też o wyłączenie z materiału dowodowego materiałów z podsłuchów, nagrań i prowokacji jako dowodów z zatrutego drzewa. Nie było podstaw do stosowania wobec mnie prowokacji, dowody te należy zatem uznać za nieistniejące.”

Czesław był jedną z wielu osób, których ostatecznie nie udało się dopaść ekipie Marka podczas tamtej operacji. Zrzucali to na karb niedoskonałości całego systemu i w sumie dość szybko zapomnieli. Marek przestał go obserwować. Nigdy nie uważał za główny cel. Może błędnie. Tym bardziej, że wciąż obwiniał go za śmierć Leny i powinien tę sprawę raz na zawsze zakończyć.

Czy to możliwe, że ten człowiek zachował przez tyle lat urazę, jakimś cudem go odnalazł w nowym środowisku i postanowił się zemścić, krzywdząc Monikę?

Przeglądał teraz ze zdumieniem dalszy rozwój „kariery” Czesława.

Znajomości z prokuratury, adwokatury i sądów pozwoliły mu na szybkie wykreowanie paru przedsięwzięć finansowych na granicy prawa. Tworzył piramidy finansowe, pośredników

oferujących gruszki na wierzbie i tym podobne biznesy, zawsze w szarej strefie, na pograniczu przepisów, ale nigdy jawnie ich nie przekraczających.

Upodobał sobie emisje obligacji dla przedziwnych podmiotów prowadzących farmy wiatrowe, prace w kierunku poszukiwań podziemnych źródeł energii, produkcji sztucznego mięsa z komórek przy użyciu inżynierii genetycznej. Czasem nawet to ciekawie brzmiało, ale potem niezmiennie okazywało się pułapką. Pieniądze znikwały w kieszeni Czesława i jego pomocników, inwestorzy zostawali z bezwartościowymi papierami.

Wcześniej czy później pewnie by się spotkali, gdyby operacja z Łysym i jej nieco wymuszona finalizacja nie zakończyła kariery Marka w nowej roli.

W sumie Czesław działał jak wielu mu podobnych, tylko może trochę skuteczniej. Patrząc na raporty firm Czesława, Marek stwierdził, że może ten powinien być mu wdzięczny za wywalenie z kręgów prawniczych, bo tam nie mógłby dysponować aż tak wielkim majątkiem jak teraz.

Oczywiście nie był to poziom Dużego Misia, Jasia, Rysia i innych, dlatego Marek o tym się dotąd nie dowiedział. Czesław był jednym z tysięcy biznesmenów średniej wielkości. Z tym, że jednym z nielicznych wśród nich psychopatów o wyjątkowo sadystycznych skłonnościach. Mimo że Czesław przy Marku się hamował, kilka incydentów w domach publicznych, które wówczas, gdy się jeszcze „przyjaźnili”, dziś było złym prognostykiem.

Marek popełnił wielki błąd, że nie dopilnował tej sprawy, nie doprowadził do końca sprawy Czesława.

I teraz musiał za to zapłacić.

Zaskoczyła ich. Czesław czuł się nawet trochę zażenowany, patrząc na masturbującą się kobietę, z którą przecież wcześniej wielokrotnie uprawiał seks jego syn.

Bogdan zachowywał kamienne oblicze.

Chciałeś, to masz.

– Wszystkie tak robią? – zapytał stary.

Bogdan zaprzeczył krótkim ruchem głowy.

– Jest jedyna w swoim rodzaju – ocenił.

Czesław przełknął głośno ślinę. Czuł narastające podniecenie. Przedziwne uczucie w tym wieku. Dodatkowo pikanterii dodawał fakt, że stali tu razem z synem, który przecież był jeszcze bardziej zepsuty od ojca.

Czesław, owszem, wchodził w bardzo dziwne biznesy, stał się nawet legendą ustawek sądowych, ale żeby wymyślić sobie biznes na torturach ludzi?

Jego syn go naprawdę zadziwił.

Moja krew...

„Od kiedy to trwa?” – zapytał, gdy zupełnie przypadkiem, dwa lata temu odkrył jedną z taśm z nagraniami jakiejś ukraińskiej prostytutki, „oprawianej” przez klienta Bogdana w zamku.

„Od kiedy zamknęli ci zamek” – odparł Bogdan. – „Pomyślałem, że nie można tak tego zostawić. Prawie gotowy budynek, całkowite odludzie, świetny obiekt do podobnych realizacji i zainteresowanie ludzi niecodziennymi klimatami. Z początku chciałem organizować takie moderowane sztuczne wypadki ze specjalnymi, specyficznymi, ale jednak legalnymi atrakcjami, imprezy swingerskie, przyjęcia dla tajnych stowarzyszeń, tego typu rzeczy, ale u nas za mało jest chętnych na płacenie dużych pieniędzy za coś takiego. Chętni są i owszem, ale żeby było taniej

albo za darmo. Za to na coś wyjątkowo ekskluzywnego zawsze można było znaleźć klienta.”

Zaczął od niewinnych akcji oświadczyń w takiej scenerii, wieczorów kawalerskich, nocy poślubnych i okazjonalnego bzykania. Tortury zaoferował po sukcesie tej głupiej książki o zabawach sado-maso, którą tak się zachłysnął cały świat, a której on nie mógł ścierpieć po paru pierwszych rozdziałach, choć przecież lubił takie klimaty. Utworzył salę swojego wielkiego mistrza, markiza de Sade. A potem ktoś podpowiedział:

„A może byśmy kogoś naprawdę zamordowali.”

I się zaczęło.

Czesław słuchał tego wszystkiego z dumą i zaczął rodzić mu się plan zemsty na Marku, którego nową tożsamość przypadkiem odkrył na jednej z imprez u znajomego byłego oficera WSI.

„Nigdy nie słyszałeś o Marku? Aż dziw, bo myślałem, że ty wiesz wszystko” – powiedział ów oficer i wyciągnął zrobione ukradkiem zdjęcie na jednym z wyjazdów referencyjnych. – „Marek, super facet. Wszystko zorganizuje i taki sympatyczny. A ta jego Monika... Prawdziwy ogień, nawet trupa ożywi. Koniecznie musisz spróbować. Chcesz, to cię polecę.”

„Nie trzeba” – bąknął wówczas.

Plan zemsty za to kiełkował.

88.

Kryzys musiał nadejść. Nie miała pojęcia, ile jest w tym zamknięciu, ale mieszanie się dnia i nocy szybko przyniosło efekt w postaci totalnego zagubienia. Wirowało jej w oczach, miała wrażenie, że umysł stara się wydostać z głowy, był jak balon napompowany wodorem. Próbował unieść się, wszystko się wydawało takie lekkie, gdyby pozwoliła, po chwili mogłaby unosić

się jak w próżni, nie czuć przyciągania. A potem nagle upadała, z trudem łapiąc oddech, drapiąc podłogę i własne ciało, nie wiedząc co zrobić z ruchliwymi palcami dłoni, a zaraz potem nóg, kuląc się, próbując wypełznąć gdziekolwiek, w ścianę, w podłogę, byle tylko przestało szumieć, przestało boleć, byle się skończyło.

Depresja nie była właściwym określeniem tego, co czuła. Powoli zaczęła wariować. Była gotowa wydłubać oczy pierwszej osobie, która tu wejdzie. Jeśli nikt nie przyjdzie, mogła wydłubać je sobie.

Zaciskała szczęki z taką mocą, że niewiele brakowało, by zęby nie popękały z trzaskiem.

Przestała jeść i pić. Informowała ich o tym. Nie wiedziała na co liczy, ale uznała, że może ktoś coś zrobić.

Swędziało wszystko i bolało coraz bardziej.

– Nie będę nic jadła i piła. Zdechnę, zanim się nacieszycie. Pierdolcie się. Koniec zabawy.

Położyła się i usiłowała wytrwać bez ruchu.

Bez powodzenia.

89.

W żadnej z ustalonych lokacji nie było Czesława ani jego syna. Patrole koordynowane przez Monę weszły do kilkudziesięciu spółek Czesława, ale nigdzie go nie zastali.

„Prezesa nie ma, proszę dzwonić” – usłyszeli.

Telefon jednak milczał.

– Cholera, teraz na dodatek wie, że go szukamy.

– Może się nie domyśli – pocieszył Diesel.

Jechali słynną „Gierkówką” w kierunku Katowic, bo większość spółek Rostowski założył na Śląsku. Marek nie był przekonany, że to dobry kierunek, więc poprosili Araba i Sarę o zatrzymanie się gdzieś w hotelu w Poznaniu. Miastem Czesława był Poznań.

Biznes przeniósł na Śląsk, z powodu kłopotów z prawem, ale Marek miał przeczucie, że to tylko zasłona dymna.

– Jakiś słup robi dla niego w Wielkopolsce – orzekł.

Tylko jak znaleźć tego słupa?

Mona dwoiła się i troiła, prosząc różne wydziały o pomoc. Nie uruchomili alertu o porwaniu; zasłoną dymną było poszukiwanie Czesława i jego syna z powodu rzekomego zagrożenia ich życia przez groźnego bandytę. Policjanci szukający Rostowskich mieli sugerować, że działają w interesie biznesmenów, ale Marek nie wierzył w skuteczność tej strategii.

– Czesław jest za mądry.

– Masz inny pomysł?

Wtedy zadzwonił telefon.

Zimny? Czego znów chce ten pismak?

90.

Mały człowieczek wszedł bardzo cicho do pokoju. Monika skuliła się w rogu. Było z nią bardzo źle. Obiecywała sobie, że rzuci się na pierwszego, który wejdzie, ale to były tylko takie strachy na lachy. Teraz dopiero się bała.

Mały miał z siedemdziesiątkę na karku. Był co najmniej o dwie głowy niższy od Bogdana, ale w rysach twarzy dostrzegła podobieństwo. Ciekawe, jak to się dzieje, że takie kurduple mają tak wysokie dzieci? Genetyka jest zadziwiająca. A może to dlatego, że mają kompleks niższości i on przenika do spermy z kodem: „Masz, kurwa, urosnąć, żeby tobą tak nie pomiatali jak mną”. Rostowski nie dał sobą pomiatać, już w szkole potrafił intrygować, po to też poszedł na prawo, żeby zyskać szacunek. Tego Monika nie mogła jednak wiedzieć. Wiedziała za to, że pierwszy raz w życiu widzi tego człowieka.

– O co chodzi? Kim jesteś?

– Długo by tłumaczyć – szepnął Rostowski, po czym wystrzelił do niej z paralizatora. Monika krzyknęła i skuliła się jeszcze bardziej wstrząsana kolejnymi porażeniami prądu. Pięćdziesiąt pięć tysięcy voltów rozprawiało się z każdym z zaskakującą skutecznością. – Lepiej porozmawiajmy, co zamierzam ci zrobić. Zaczęliśmy od pieszczot, ale mam dla ciebie przygotowanych jeszcze cały wachlarz pikantnych atrakcji.

Mały człowieczek postawił na podłodze walizkę.

– Jezu – jęknęła Monika.

– Co, jeszcze trochę pieszczot? Proszę bardzo.

Czesław nacisnął ponownie spust i przytrzymał go, aż Monika zsikała się na podłogę.

– Boże – jęknęła ponownie.

– Wzywaj swojego Boga, będzie ci potrzebny.

Mężczyzna otworzył walizeczkę i wyjął kolejne narzędzie tortur.

Patrzący na to wszystko przez kamerę Bogdan zadrżał z podniecenia. Ojciec był zdumiewającym człowiekiem. Choć może należałoby powiedzieć: potworem.

91.

Zimny nie miał co robić, więc też postanowił pobawić się ze zdjęciem mężczyzny „od Moniki”. Ustalenie nazwiska zajęło mu kwadrans, dzięki zmodyfikowanej przez Grubego wyszukiwarce twarzy. Praktycznie w pół minuty znalazła mu kilka ujęć „podobnego” człowieka z jednej konferencji prasowej. Bogdan Rostowski prezentował na niej projekt emisji obligacji na sfinansowanie budowy farm wiatrowych.

„Zainwestuj w czystą energię” – głosił komunikat.

Trzy minuty później Zimny czytał o upadłości polecanej przez Rostowskiego firmy i pretensjach obligatariuszy.

Potem poszło już z górki. Rostowski występował w kilkudziesięciu podobnych projektach jako „bankier inwestycyjny”. Wszystkie teksty dotyczyły jednak wydarzeń sprzed trzech–pięciu lat. Ostatnio całkowita cisza.

Zimny wysłał ustalenia na maila do Marka, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Postanowił poszperać dalej i wyszukał zależności Bogdana Rostowskiego w KRS. Osób powiązanych było sporo, ale skupił się na Czesławie Rostowskim, starszym o trzydzieści pięć lat, co sugerowało, że to ojciec. Dziwne było, że mieli tylko jedną wspólną spółkę: Komex. Komex był agencją ochrony. Nic więcej o firmie nie znalazł.

Za to o Czesławie Rostowskim dużo więcej było w sieci. Co prawda artykuły o oskarżeniach mężczyzny w głośnych procesach dotyczących korumpowania środowisk prawniczych informowały o Czesławie S. i prezentowały jego twarz z paskiem na oczach, ale już wiele wcześniejszych tekstów o wpływowym prokuratorze Rostowskim nie zawierało takich „zabezpieczeń” dobrego imienia pana prokuratora.

„Jezu, to ten Czesław Rostowski” – pomyślał Zimny. Niebywałe. Facet uchodził za legendę korupcyjną w środowisku. Opowiadano o nim niestworzone historie, jakimi metodami potrafił wyciągać kryminalistów z więzień. Zimny nie zajmował się prawnikami, więc był równie zaskoczony jak inni zwykli zjadacze chleba, gdy przeczytał o skali procederu. Teraz starał sobie to przypomnieć.

Co taki Rostowski może mieć wspólnego z porwaniem tej dziewczyny od Marka?

Zimny nie miał pojęcia, ale zawsze lubił grzebanie w sprawach bez celu. Zwykle przyjmował metodę drobnych kroczków i kolejno sprawdzał różne poszlaki. W przypadku wyszukiwania powiązań osób, sprawdzał krok po kroku każdą osobę, która pojawiała się w towarzystwie osoby sprawdzanej.

Zwykle to się opłacało, bo trafiał na zadziwiające, nikomu nieznane szczegóły spraw: tak było z aferą hazardową, gdzie w pozornie nieznaczącej spółce odkrył rozliczenie transakcji pomiędzy giełdowym domem maklerskim, spółką zajmującą się hazardem a podmiotem cypryjskim. Potem poszło już z górki.

Gdy wyświetlił jedno z powiązań, omal nie krzyknął podekscytowany.

– Jezus Maria! – wymknęło mu się.

Chyba przez zupełny przypadek ustalił właśnie coś, co natychmiast powinien przekazać Markowi.

92.

Mały zmienił kartridż w paralizatorze i uśmiechnął się drapieżnie.

– Spróbuj tego.

Gumowa kula uderzyła ją w brzuch. W pierwszej chwili nie poczuła bólu. Nadszedł, gdy uderzył ją drugi pocisk.

– Działa – roześmiał się mały. – Ten paralizator jest najdroższy na rynku, za to oferuje właśnie takie atrakcje. Poza prądem można razić gumowymi kulami i gazem. To jednak nie to samo, co wziąć sprawy w swoje ręce.

Odłożył paralizator i pochylił się nad walizeczką.

– Co my tu mamy? Same dobrocie.

Wyciągnął młotek i gwoździe, przymierzył się nawet, jakby chciał jeden wbić w podłogę, ale odłożył je.

– Nie, to zbyt brutalne na pierwszy raz. Zresztą ty nie masz żadnego długu do oddania, prawda? Nic nie jesteś nam winna? Nie, to nie to.

Odłożył młotek, podobnie jak kolejny przedmiot, niewielką elektryczną wiertarkę.

– Wiercić też nie będziemy – Mały uniósł głowę do kamery. – Nie wiercimy, synku?

Kamera milczała.

Przy kolejnym podejściu znalazł to, czego szukał. Stał w rozkroku i Monika zobaczyła w jego ręku ogromną, czarną pałkę zakończoną zgrubieniem przypominającym gruszkę. Miała z pół metra, wykonano ją z jakiegoś elastycznego, lśniącego materiału, pewnie lateksu, wydawała się ruszać i wić, przez co przypominała ogromnego, obrzydliwego robala.

– Podobno lubicie duże i czarne...

93.

Trzy razy go zrzucał, w końcu odebrał.

– Posłuchaj...

– To ty posłuchaj – przerwał mu Zimny. – Wiem, gdzie jest Monika.

Marek nie tracił czasu na wątpliwości.

– Mów!

Chwilę potem zawracali w niedozwolonym miejscu. Marek przeprosił Zimnego, mówiąc, że zaraz oddzwoni, zerwał połączenie i wybrał numer do Araba.

– Jedź tam, proszę, jak najszybciej!

Przytrzymał kierownicę nogami i wysłał mu jeszcze mapkę z lokalizacją, gdzie zdaniem Zimnego powinna być Monika.

Kolejny telefon wykonał do Mony, prosząc, by posłała na miejsce kogoś zaufanego.

Dopiero wtedy oddzwonił do dziennikarza.

– Jak to ustaliłeś?

94.

Zimny też był już w drodze, choć nie sądził, żeby zdążył dotrzeć do Poznania na czas. Jeśli się nie pomylił, to Marek będzie miał u niego dług wdzięczności. Będzie musiał chociaż z nim porozmawiać, ustalić, jak zostaną spłacone zaciągnięte zobowiązania. Żeby tylko Monika przeżyła. No, bo jeśli się nie uda... to nawet nie będzie mógł o nic poprosić. Wszyscy będą zajęci morderstwem, a potem to nawet będzie głupio do tematu wracać.

Gdzieś głęboko wierzył jednak, że uda się uratować dziewczynę i wszystko się dobrze skończy.

Myślał o swoich ustaleniach i... zwyczajnie bał się. Bo jeśli to jednak przypadek i skierował tropy na niewłaściwe tory? Nie, niemożliwe. Taki przypadek po prostu nie był możliwy.

A jeśli?

Rozległ się dźwięk telefonu. Dzwonił przyjaciel Zimnego, haker Gruby.

– Chyba masz rację, Zdzichu – powiedział, nazywając Zimnego przezwiskiem, którego ten od dziecka nie znosił. – Sprawdziłem ten zamek i rzeczywiście były tam różne dziwne imprezy. Na jednym z forów polecały sobie to miejsce jakieś swingerki, kilka lat temu była promocja pewnej gry opartej na tym filmie Kubricka „Oczy szeroko zamknięte”. Podobno była orgia, potem kilka klimatów z tym cholernym Greyem, ale ostatnio już żadnych imprez nie było. Przycichło. Natomiast co pewien czas ktoś wrzuca w różnych miejscach takie drobne wskazówki, że to jednak nie

koniec, że tam cały czas się coś dzieje. Znalazłem wpis z bloga dziewczyny, która twierdziła, że próbowano ją namówić na dziwną, zamkniętą kolację w tym miejscu, ale jak się zorientowała, że to może być coś zbrodnego się wycofała i opisała to na wszelki wypadek, żeby przestrzec inne. Wpis szybko zniknął. Kobieta usunęła całego bloga, no ale wiesz, w sieci nic nie ginie. Odnalazłem ją w agencji aktorskiej i wysłałem maila, a ona odpisała, żebym dał jej spokój, już wystarczająco jest wystraszona. Próbowałem pociągnąć temat, nie odpowiedziała.

– Nie ciągnij. To mi wystarczy. Dzięki.

Rozłączył się i próbował samemu sobie wmówić, że na pewno ma rację, że się nie pomylił. Bo jeśli narozrabiał, być może Monika przez niego zginie. To była odpowiedzialność, prawdziwa gra na śmierć i życie, a nie kwestia opisanie zapomnianej afery. Miał podstawy, czy jednak podkrećcana pewność siebie była uzasadniona?

– Cholera, to nie może być przypadek – mruknął pod nosem, przyspieszając na autostradzie.

Trafił na zamek pod Poznaniem przez powiązania Rostowskiego z człowiekiem, który był prawdopodobnie jego słupem. Występował w kilku podejrzanych transakcjach, ale obecność tego człowieka w operacji zakupu działek pod inwestycję gotyckiego zamku była przesądzająca.

Zimny zresztą dość dokładnie obserwował całą awanturę wokół tego projektu. Gdy media odkryły, że w lesie, w puszczy, na sztucznej wyspie i w obszarze chronionym parku narodowego powstaje gotycki zamek, wszyscy podejrzewali znanego oligarchę. Nawet poszedł ogólnonarodowy hejt na biznesmena.

Gdy okazało się, że ten nie ma nic wspólnego z transakcją, wszystkim pewnie było trochę wstyd, ale oczywiście nikt nie

przeprosił. Znalaziono nowego winnego: kompletnie nieznanego osobnika, typowego słupa.

Czy to mógł być przypadek, że ów osobnik ma wspólną spólkę z Czesławem Rostowskim, byłym prokuratorem, którego syn prawdopodobnie jest zamieszany w uprowadzenie Moniki? Nie, niemożliwe.

A jeśli jednak?

95.

– Dlaczego ja?

Mały człowieczek miał właśnie użyć tego czarnego, obrzydliwego „czegoś” jak pałki, zamierzył się do uderzenia, ale pytanie Moniki go zaskoczyło.

– Och – szepnął. – Właściwe pytanie, a tego się nie spodziewałem. Naprawdę chcesz wiedzieć?

Wciąż czekała na kolejne razy skulona, ale pospiesznie pokiwała głową.

– Tak, chcę.

Mały opuścił broń.

– Cóż, w takim razie... hm, chyba ci wyjaśnię.

Jak bohater filmów Tarantino, socjopata nagle zapomniał, że przyjemność czerpie z zadawania cierpienia i usiadł obok Moniki, odłożył pałkę na bok, zamiast niej wyciągnął piersiówkę.

– Napijesz się? – podał dziewczynie, ale zanim zareagowała, sam sobie odpowiedział: – Pewnie nie. Dziś już nikt nie pije, jak dawniej. No, ale ja się ostałem i cóż, jestem jaki jestem. Dużo tego nie ma, ale zawsze...

Pociągnął solidny łyk. Monika starała się uspokoić i odgonić przerażenie i ból. Co mogła zrobić? Jak zaatakować tego drania, żeby się wybronić, dać sobie jakąś szansę?

– Dlaczego?! Jakie to dobre pytanie. A dlaczego ja, jeszcze lepsze. Wiesz dlaczego? Bo nie mogę dorwać tego twojego pieprzonego gogusia, Mareczka, a wiem, że twoja krzywda będzie dla niego podwójnym cierpieniem. Wybacz, do ciebie nic nie mam, ale ból jednak lubię zadawać. Wolałbym Markowi, no ale jego przecież nie dopadnę, a już na pewno nie tak łatwo. Mógłbym spróbować, jednak uznałem, że lepiej będzie skupić się na tobie.

Milczała. Więc to jakiś wróg Marka. Chce jej zrobić krzywdę, żeby się na nim zemścić. Przegrana sprawa. Trzeba walczyć. Trzeba go uśpić, a potem wszystko postawić na jedną kartę. Da radę, potrafi. Jest tylko on. Jeden na jednego. Jest mały, kurdupel. Odzyska siły i da radę. Wbije mu paluchy w oczy, rozszarpie policzki, rozerwie żyły na szyi, przegryzie krtań. Zrobi, co trzeba, żeby przeżyć. Jest silna, silniejsza wolą przetrwania.

– Pewnie powiesz, że to niesprawiedliwe. Bo przecież ty nic mi nie zrobiłaś, więc dlaczego masz płacić za Marka? I wiesz co, ja ci odpowiem: pierdolona racja. No świat, kurwa, nie jest sprawiedliwy.

Nagle chwycił za pałkę, zerwał się na nogi i zaczął ją okładać. Nie zdążyła się przygotować, nie zdążyła opracować planu kontrataku, była tak zaskoczona, że mogła tylko jeszcze bardziej się skulić w rogu i błagać o litość.

– Proszę, nie.

Uderzył dziesięć, może piętnaście razy. Zmęczył się. Pałka była dość miękka, nie miała zrobić wielkiej krzywdy, za to sprawić ból.

– Gówniana ta pałka, co? – westchnął oprawca. – Nie dość, że męczące, to bez efektów. Masz chociaż siniaki? W tym świetle nie widać. Przywiozłem ją chyba z Boliwii albo Kolumbii, nie pamiętam. Indianie Kahawai je wytwarzają. Strasznie sadystyczne bydlęta. Wyobraź sobie, że oni tam biją swoje kobiety

takimi pałkami niemal codziennie. Kto wie, co jeszcze z nimi robią, a może też spróbujemy?

Rzuciła się na niego, próbując pazurami wbić się w twarz, celowała w oczy, ale poradził sobie szybko i sprawnie. Uniknął szponów, odchylił się i uderzył pięścią, jak wcześniej syn. Miał jeszcze mocniejszy cios. Poczowała jak coś chrupnęło z boku twarzy i nagle ból minął, nic nie czuła. Powoli odpływała w niebyt, wszystko zachodziło mgłą.

– Zaraz, zaraz, nie odpływaj. Daj mi jeszcze coś opowiedzieć o naszym Marcuzku...

96.

Sara i Arab byli pierwsi na miejscu. Nie zastanawiali się nawet chwili, minęli zaparkowaną przed wejściem do Zamku nowoczesną limuzynę i dobrali się do wejścia.

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Przedzierali się przez ciemności w środku, nie zachowując już żadnej ostrożności. Gdy usłyszeli krzyk Moniki, Sara przyspieszyła i dziesięć sekund później stanęli w wejściu pokoju tortur.

Mały zboczeniec próbował ocucić ofiarę, a gdy ich zobaczył, wstał, podniósł do góry ręce i uśmiechnął się wesoło. Przypominał w tym momencie sarkastycznego, patrzącego na wszystko z chłodnym dystansem aktora.

– Och, jak dobrze, że jesteście.

Usłyszeli dziwny odgłos i szybko zrozumieli, że ten facet narobił w portki. Śmierdziało.

– Znam swoje prawa, nie musicie mi ich...

Arab nie zdążył zareagować. Sara wycelowała i nacisnęła spust, jednocześnie krzycząc:

– Rzuć broń!

Czesław Rostowski nie miał żadnej broni, nie mógł więc jej rzucić. Padł trafiony trzema kulami w pierś.

Arab westchnął, spojrzął z naganą na partnerkę, ale po chwili zapomnieli o incydencie i zajęli się Moniką. Dziewczyna była na granicy hysterii. Sara przytuliła ją i trwała tak dobry kwadrans. Arab usiadł obok:

– Monika, już dobrze, już nic ci nie grozi.

Dziewczyna powoli odzyskiwała świadomość i równowagę, ale zdecydowanie nie zgadzała się ze słowami Araba. Gra o jej życie dopiero się zaczęła. Ten chory psychopata był pierwszym z jej problemów, kto wie, czy nie najmniejszym.

Po niespełna dwudziestu minutach do Zamku wkroczył patrol policji. Na Diesla z Markiem musieli jeszcze poczekać.

97.

Zimny dojechał do Zamku nad ranem i zastał na wejściu posterunkowego pilnującego zabezpieczeń. Od czasu ostatniej rozmowy Marek nie odbierał jego telefonu, nie odpowiadał na SMS-y. W końcu sygnały zostały zastąpione przez komunikat:

„Nie ma takiego numeru”.

– Cholera! – przeklął Zimny.

Młody policjant nie chciał z nim gadać, a gdy wyciągnął legitymację dziennikarską, jeszcze bardziej się spiął.

– Proszę pytać rzecznika prasowego.

– No weź, bądź człowiekiem. To ja dałem wam cynk, że tu może się coś dziać. W sumie pewnie jestem ważnym świadkiem, trzeba mnie przesłuchać. Daj znać śledczym, że przyjechałem...

– Ja tam nie wiem, mam jasne rozkazy. Jeśli jest pan świadkiem, proszę się zgłosić na komisariat. Prokurator decyduje.

– A kto prowadzi śledztwo?

– Ja nic nie wiem, już mówiłem.

– No przecież nazwisko komisarza nie jest tajemnicą.

– Odsuń się albo... – młody chłopak aż się spocił ze zdenerwowania. Nie wiedział, jak zakończyć groźbę, więc położył dłoń na kaburze z bronią. Ciekawe, czy nabitą?

– A jest tam w środku Marek?

– Kto?

– Nie znam nazwiska. Marek.

Policjant chrząknął.

– Na wszystkie pytania odpowie rzecznik.

W tym momencie drzwi Zamku się otworzyły i wyszło ze środka kilka osób. Dwaj starzy gliniarze, chyba jakiś laborant, może lekarka i prokurator. Ten ostatni wyróżniał się dobrym garniturem.

Jeden z policjantów podszedł do Zimnego.

– Kim pan jest?

– Dziennikarzem. Dałem cynk Markowi, że może tu być przetrzymywana jego przyjaciółka.

Śledczy wyraźnie się strapił.

– Jakiemu Markowi, jaka przyjaciółka? Coś pan wie o zdarzeniach tutaj?

– No... chyba tak. Odkryłem, że może tu dochodzić do przetrzymywania...

– Proszę pana – śledczy jeszcze trochę się wahał. – Nikogo tu nie przetrzymywano. W środku niezidentyfikowany mężczyzna popełnił samobójstwo. Może za chwilę zostanie zidentyfikowany, ale ponad wszelką wątpliwość ustaliliśmy, że to samobójstwo, a na miejscu nie było osób trzecich. Rozumiemy się?

A Marek? A Monika?

– Tak – bąknął Zimny.

– Dobra, niech pan pokaże dowód lub prawo jazdy – śledczy wziął dokument i podał koledze: – Spisz go!

– Zostanie pan wezwany na przesłuchanie na komisariat – zakończył drugi komisarz.

Zimny stał jak kołek.

– No niech pan tak nie wytrzeszcza tych oczu – prokurator chyba miał ochotę mrugnąć do niego okiem. – Proszę jechać do domu i sobie dobrze przemyśleć, co pan chce zeznać, żeby nie wyszło gdzieś, że pan po pijaku albo narkotykach miał jakieś zwidy. To mogłoby być fatalne dla pana wiarygodności w mediach, prawda? A, jeśli się nie mylę, wiarygodność w pana zawodzie jest najważniejsza, panie Zimny. Długo się ją buduje, traci w jeden dzień. Zimny już tylko milczał. To była sprawa, którą musiał omówić z Markiem, a nie tymi dupkami. Miał jednak nadzieję, że udało im się uratować Monikę.

Czekał jeszcze przez dobrą godzinę, licząc, że zobaczy Marka czy kogokolwiek, kogo będzie mógł zagadać. Nic takiego nie nastąpiło. Tylko gliniarz z prewencji pilnujący taśmy powiedział:

– Niech pan się zlituje i już odjedzie. Człowiek by chociaż usiadł na chwilę...

– Dobra, stary – odparł Zimny. – Niech ci będzie.

Wkurzał się, że po tym, co zrobił, Marek bezczelnie wyłączył telefon, ale cóż, musiał zaakceptować rozwój wydarzeń. W końcu może było jakieś wyjaśnienie i wcześniej czy później je pozna.

98.

Klinika w Grindelwald była mało znanym ośrodkiem eksperymentalnym finansowanym przez fundusz Wiena z siedzibą w Londynie, zarządzającym środkami inwestorów z Kataru. Tak naprawdę na końcu całej tej przedziwnej, pełnej izraelskich,

rosyjskich i arabskich śladów układanki był pewien mało znany, cypryjski prawnik, który podpisywał dokumenty w imieniu polskiej fundacji.

Obiekt uchwycił się jakimś cudem przed komisją Macierewicza i wciąż służył nie tylko polskim agentom w ich międzynarodowych misjach. Oczywiście operacje rozliczano oddzielnie i wystawiano rachunki kolegom lub wrogom, czasem otrzymując zwykłe przelewy, innym razem dostawę jakiegoś trudno dostępnego sprzętu, a niekiedy worki z gotówką przekazywane pocztą dyplomatyczną. Okazjonalnie proponowano przysługę za przysługę, ale dość szybko partnerzy zrozumieli, że Polacy jednak wolą materialne konkrety. Być może dlatego, że przy każdej takiej okazji coś skapywało przystojnym, zaprawionym w bojach oficerom, którzy niezmiennie rozdawali karty w tej grze.

Monika otrzymała swój pokój, miała najlepszą opiekę z możliwych, dzięki czemu szybko dochodziła do zdrowia. Marek odwiedzał ją codziennie i wciąż przeproszał, że do tego dopuścił.

– Nigdy sobie nie wybaczę – bąknął któregoś razu.

– Przecież to nie twoja wina – odparła.

– Moja – nie dał się przekonać. – To wyłącznie moja wina. Nie powinienem na to pozwolić.

– Co z Bogdanem?

– Nie wiem – skłamał – ale on na pewno nie wróci. Właściwie dobrze wiedział, że Bogdan próbował uciec przed sprawiedliwością, nawet skutecznie mu się udawało przekraczać kolejne granice, lądować w Bari, Atenach, w końcu na Cyprze. Wdał się jednak nieszczęśnik w jakąś bójkę w Larnace i dostał nożem. Policja nie znalazła sprawców, uznając, że polski turysta padł ofiarą niezdrowej ciekawości lub obraził innego turystę.

Tak naprawdę przy sprawie wpisano kod oznaczający, że prawdopodobnie winny jest afrykański imigrant, jednak zgodnie z tajnymi zaleceniami władz, takich informacji nie podawano do prasy, żeby nie wywoływać niepokojów społecznych.

Mimo to, niedługo po zabójstwie, w jednej z gazet pojawiła się krótka notka o nieszczęśliwym wypadku Polaka, który na dodatek kilka dni wcześniej stracił ojca. Obok artykułu umieszczono reklamę społeczną z podanym numerem rachunku, na który jedna z fundacji postanowiła tego samego dnia przelać pewną niezbyt dużą kwotę.

„Życie ludzkie jest coraz mniej warte” – skomentował ostatnio przy piwie Diesel. – „Mówią, że ten nasz nieszczęsny rodak miał jakieś nagrania i filmy z kamer, którymi chciał szantażować ludzi, no ale wszystko się utopiło.”

„Biedaczysko” – odparł Marek.

Tak czy inaczej, problem zniknął. Jeden z wielu.

Po tygodniu Monika była już całkowicie na chodzie i wraz z Markiem przenieśli się do pobliskiej willi. Dużo spacerowali, odwiedzali okoliczne restauracje i atrakcje, przesiadywali na tarasie, oddychając świeżym alpejskim powietrzem i chłonąc słoneczne witaminy. Którejś nocy udało im się zbliżyć, ciało Moniki nie pamiętało krzywd, potrzebowało miłości.

– I co dalej? – zapytała któregoś dnia.

Marek posmutniał i wtedy ona zrozumiała, że to koniec, że niedługo będą musieli się rozstać.

Już nigdy nic nie będzie tak samo.

– Nie martw się, zawsze ktoś będzie w pobliżu, jeśli będziesz nas potrzebować – szepnął.

Trzy tygodnie później na lotnisku Okęcie wylądował rejsowy samolot z Wiednia. Monika siedziała w klasie turystycznej i poczekała spokojnie aż wszyscy pasażerowie wyjdą do podstawionego autokaru.

Nigdzie jej się nie spieszyło.

– Potrzebuje pani pomocy? – zapytała stewardessa.

Była bardzo ładna i seksowna. Świetnie prezentowała się w dopasowanej spódnicy i bluzce. Monika miała zaś na sobie luźną tunikę kryjącą jej walory, włosy w lekkim nieładzie, jak tego pierwszego dnia, gdy przychodziła do Eli. Oczy skryła za dużymi ciemnymi okularami w stylu lat siedemdziesiątych. Mimo tych prób ukrycia urody, już przed wejściem do samolotu próbował się z nią umówić jakiś biznesmen. Drugi mężczyzna zaczął podczas krótkiego lotu. Obu spławiła, mówiąc, że na Okęciu czeka na nią mąż. A czekał Diesel.

Wziął jej niewielki bagaż i zaprowadził do taksówki. Podał adres, na miejscu otworzył drzwi i wręczył jej kluczyki.

– To twoje – powiedział. – Na stole masz wszystkie dokumenty. Opłaty są z góry zrobione za rok. O następne też się nie martw, prawnik ma odpowiednie dyspozycje.

– A jak będę chciała się przeprowadzić?

– Odradzam, ale twój wybór. Z mieszkaniem możesz zrobić, co chcesz.

– Mogę sprzedać?

– Jest twoje, niezadłużone. Z tym, że po sprzedaży prawnik przestanie płacić rachunki.

– Rozumiem.

– To, co...

– Diesel – szepnęła.

Myślał chyba, że chce zapytać o Marka, ale ona o dziwo wypaliła:

– Nie chcesz zostać na kolację?

Wyglądał na lekko przerażonego.

– Nie, wiesz, przepraszam, ale ja i Mona...

– Jasne, tak tylko zapytałam.

– Nie ma sprawy – ucieszył się, ale na pożegnanie nawet nie uściśnął jej ręki, nie mówiąc już o przytuleniu czy pocałunku.

Jakbym była trędowata – pomyślała. Może jestem.

Włączyła telewizor i bezmyślnie patrzyła na wiadomości. Na ekranie przewijały się doniesienia o niepokojach w Gruzji, negocjacjach z Amerykanami, jakimś szczycie ekonomicznym, zmianach klimatycznych i zagrożeniach pogodowych. Ważne sprawy, dużo ważniejsze niż te, w których ona brała udział. Jednak w swoim czasie to one zdominowały paski telewizyjne, były podawane na czerwono, ekscytowały chyba mocniej niż wszystkie inne możliwe treści. Pewnie dlatego, że to nie zdarza się codziennie, że jest incydentalne, wyjątkowe, szczególne, a nie powtarzalne i rozciągnięte w czasie – pomyślała.

Wtedy na apli pojawiła się informacja, której chyba podświadomie oczekiwała.

„Wypadek w Alpach. Podczas próby wejścia na Mont Blanc w przepaść spadł polski turysta. Ciało Marka N. dotąd nie znaleziono.”

Marek wysłał ją samą do Polski, mówiąc, że zamierza wejść z jakąś grupą znajomych na Mont Blanc i jedzie do Francji.

Powinam się zmartwić – pomyślała, ale nic nie czuła.

– A jeśli to prawda? – zapytała do lustra. – Jeśli zginął naprawdę, czy wtedy bym płakała? Obeszłoby mnie to bardziej?

„Nas nie ma, my nie istniejemy”.

Diesel zadzwonił następnego dnia. Myślała, że w tej sprawie.

– Coś wiesz? – zapytała. – Znaleźli go?

– Przepraszam, nie mam pojęcia.

– Wiem, że nie możesz, ale daj mi jakiś znak, żebym się chociaż nie martwiła.

Milczał. To był ten znak?

– Ale jeśli go znajdą, powiesz mi?

– Oczywiście – zapewnił, a potem poprosił, żeby w najbliższy poniedziałek poszła do siedziby Banku Polskiego i spotkała się z jakąś panią Kasią.

– Po co?

– Potrzebujesz przecież pracy. Nie możesz siedzieć w domu, bo zwariujesz.

Nie odpowiedziała.

W poniedziałek poszła na umówione spotkanie. Pani Kasia była wysoką, zgrabną blondynką, niezbyt przyjaźnie nastawioną. Kurwa, pewnie ktoś kazał ci mnie zatrudnić i myślisz, że jestem dupą któregoś z szefów. Nie wiesz, czy czasem nie twojego kochanka? A może źle cię oceniam? Może jesteś po prostu uczciwa i nie lubisz takich akcji?

Zapytała Monikę co potrafi, czym chciałaby się zajmować, pod koniec rozmowy chyba lody trochę stopniały, przeszły nawet na ty i w końcu zakończyła:

– Zadzwońę wkrótce. Od kiedy możesz zacząć?

Monika wzruszyła ramionami.

– Od razu.

Zadzwoiła następnego dnia.

– Wezmę cię do działu marketingu, do siebie.

– Dobrze.

Zimny wszedł do domu i rzucił z wściekłością torbę na leżący na ziemi materac. Znów, kurwa, się nie udało. Nie miał ostatnio dobrego czasu. Chyba wchodził w jakąś najgorszą fazę siedmiu chudych lat. Nie wiodło mu się ani zawodowo, ani osobiście. Dziś wszystkie te zaprzepaszczone szanse, te odrzucone czy zaniedbane związki jakby się porozumiały i zaatakowały go z pełną mocą. Najpierw dostał strzał od naczelnej Nowej Gazety, która jeszcze tydzień wcześniej zamierzała utworzyć dział śledczy i go zatrudnić, a dziś jednak zmieniła zdanie.

– Wiesz, Kuba, jednak miałeś rację – powiedziała naczelna. – To całe dziennikarstwo śledcze się nie opłaca. Analizy wykazały, że koszty będą niewspółmierne do potencjalnych zysków.

– A czytelnicy?

– Cóż, żeby oni chociaż tego chcieli. Przecież im zależy tylko na tabloidowych treściach.

– Są tacy, którym zależy na czymś więcej.

– Tak nieliczni, że w zupełności wystarczą im takie blogi jak twój.

– Na blogach nie da się robić dziennikarstwa śledczego.

– Oj tam, są tacy, co potrafią.

– Ja nie.

– No to musisz się nauczyć.

Wszedł wściekły, bo naprawdę na to liczył. Miał już dosyć dziesięciu lat bezrobocia, nie chciał więcej pokątnych umów i dziwacznych propozycji od miliarderów i wielkich korporacji, którym zależało na działaniach lobbingsowych prowadzonych przez ludzi spoza głównego nurtu agencji PR, prawnych czy konsultingu.

Liczył, że wróci do zawodu, będzie mógł normalnie pracować, pisać uczciwe teksty, bo Nowa Gazeta przekonywała, że też tego chce.

W jednej chwili frazesy o demokracji i interesie społecznym zamieniły się miejscami z kasą i interesem reklamodawców. Szybko zostaliście, kurwa, nawróceni.

Potem dostał telefon od znajomego policjanta, który poinformował go, że wszystkich zatrzymanych w poprzedniej sprawie, o której pisał, właśnie wypuścili.

– Mam udać zaskoczonego?

– Przynajmniej się uśmiechnij.

– A płakać nie mogę?

– No co ty? Facet nie płacze.

– Też może go dopaść depresja. Coraz twardszych dopada i przyznają się. Dziś nie jest wstyd się przyznać do słabości. Wstydem jest udawać bohatera.

– Kuba, nie pierdol. Ty nie masz żadnej depresji tylko zbyt niski poziom alkoholu we krwi. Podesłać ci butelkę Jacka?

– Tak, u was to wszystko takie proste i w przeliczniku na skrzynki czystej.

– Czystej nikt już nie pije.

– To może czas do niej wrócić.

– Czysta i niewinna, pamiętasz?

Roześmiał się. Tak, pamiętał, że pisał coś kiedyś o przekręcie przy okazji wprowadzania tej wódki na rynek. Duży Miś go jednak błyskawicznie spacyfikował. Okazało się, że pisanie o wódce Dużego Misia nie jest w linii programowej redakcji. Za to zwiększenie budżetu promocyjnego pozyskiwanego od Misia już jak najbardziej .

– Weź, nie przypominaj.

– Swoją drogą mam u siebie ciekawe nagrania z monitoringu na jednej stacji benzynowej, może chcesz opublikować? Nawet

ostre ujęcia. Wszystko widać, włącznie z gębami i numerami rejestracyjnymi.

Nie chciał, ale był ciekaw, o co chodzi.

– Jakie nagrania?

– Przedstawiają busa, takiego zwykle używanego przez podejrzone typy do przemytu, a zgadnij kogo tym samochodem wywożą?

– Dużego Misia?

– Bingo! Była akcja, że służby się zasadziły na niego na lotnisku, a ten skurwiel zrobił ściemę, wysłał na to lotnisko cały konwój limuzyn i ochrony, prawie tam doszło do strzelaniny jak na wojnie, a sam jebany busem przemknął autostradą do Dojczlandu. Uwierzysz?

– Niestety, nikt chyba nie uwierzy. Nawet jak będę miał film i dowody.

– Właśnie, nikt nie kupi. Służby też to zamiotły pod dywan, bo kompromitacją nikt się przecież nie chwali. Wyobrażasz sobie to w telewizji? Oto jak nie złapaliśmy Dużego Misia. To my, bohaterowie naszych czasów.

– Nie kpij, to wcale nie jest śmieszne.

– Jak to nie, my tu mamy niezły ubaw.

A ja ochotę jebnąć sobie w łeb.

Chwilę potem zadzwoniła dziewczyna z Publicznej Spółki Przesyłek Niedostarczonych, że została oszukana przez dziennikarzy, do których ją wysłał.

– Ech, Kuba, oni zamiast tekst napisać, nasłali na mnie ABW. Co ja mam teraz zrobić? Przecież mówiłam, że nie chcę zeznawać. Chcecie to piszcie, nie chcecie, dajcie mi spokój. Ja nie będę głowy dawać, bo tak wam wygodniej. To wasza rola, żeby sprawdzić materiały.

– Jasne, przepraszam...

– Przepraszasz? I to tyle? Ci twoi koleś to banda frajerów i nieudaczników. Nic nie umieją, nie rozumieją, wszystko im daj na tacy, nagraj, a na koniec oni jeszcze cię zadenuncjują. Kurwa rzesz wasza mać!

– Przepraszam.

– Pierdol się i więcej nie dzwoń! Dupki z was, nie dziennikarze.

To prawda. Dupki z nas, nie dziennikarze. Najgorsze, że nie był pewien, kto ją zdradził, bo dał temat kilku znajomym, więc nawet nie było do kogo zadzwonić, żeby się odegrać. A temat rzeczywiście był fajny: dziewczyna siedziała w środku grupy ustawiającej przetargi za setki milionów i to przy akceptacji ministra. Dobrze poprowadzona umożliwiłaby dziennikarzom rozwalenie całego procederu. I imperium pewnego redemptorysty, który na tej spółce zerował, jak rekin na uchatkach.

W USA taka osoba dostałaby może nawet dziesiątki milionów nagrody i byłaby całowana przez media po nogach. A u nas? Jest jak jest.

– Wódkę – zamówił.

Kelnerka popatrzyła na niego litościwie.

– No co?

– Prowadzi pan – wskazała na jego samochód zaparkowany obok. Stara honda już się rozwalala, ale on wciąż jej nie zmieniał.

– Co z tego?

– Nie podam panu alkoholu.

– To sobie pójdę i kupię w sklepie.

– I tak zadzwonię na policję, żeby pana sprawdzili. Nie może pan jeździć po spożyciu.

– A ty co, Matka Teresa?

– Teresa – uśmiechnęła się. – Jak pan ma kłopoty, alkohol nie jest rozwiązaniem. Znam problem, mogę pomóc.

Przyjrzał się jej. Zarywa mnie czy co? A może jest po prostu dobrą dziewczyną?

– Żartowałem. I tak bym nie wypił, nawet jakby pani przyniosła tę wódkę.

– To po co pan zamawiał?

– Tak tylko.... Proszę o kawę.

– Kawę przyniosę.

Laskawa. Odeszła. Przy stoliku obok usiadł facet przypominający byłego ministra spraw wewnętrznych. No nie, czyste szaleństwo.... Chwilę potem dołączyło do niego dwóch byłych generałów i człowiek, który rozgrywał sprawy w pewnym koncernie. Mówiono na niego Grupa Mokotowska, choć nie miał nic wspólnego z mafią o tej nazwie. Za to zajmował niewielkie biuro koło Galerii Mokotów, gdzie stale przesiadywało wielu notabli z układami w rządzie. Grupa tak zwanych ekspertów od ustawek. Nie poznali Zimnego i zaczęli beztrósko rozmawiać o projekcie systemu łączności dla wojska. Wszystko słyszał. Wpadało jednym uchem, wypadało drugim.

– Nie, to się nie dzieje – pomyślał.

Kelnerka przyniosła kawę. Tamci zamówili obiady i butelkę wódki. Im podała. Kuba siedział przy tej kawie i podsłuchiwał przez dobrą godzinę rozmowę o szczegółach ustawienia ważnego dla bezpieczeństwa państwa projektu. Miał już takiego farta. Los się z niego nabijał, jakby powtarzał: nie możesz zrezygnować z tego zawodu, nie wolno ci odpuścić, to twój fach i nie rozmieniaj go na drobne. Przypomniał, jak zaczęła się jego kariera od tekstu, który tak samo podsłuchiwał w knajpie. Dwóch prezesów dogadywało się ze sobą na temat fuzji. Potem było kilka podobnych przypadków.

Całkiem niedawno księgowa jednej z korporacji pomyliła się i wysłała do niego mailem listę płac całej firmy. W następnym mailu błagała, żeby poprzedniego skasował, bo inaczej zniszczy jej życie. Czy stary Zimny, łasy na newsy, by jej odpuścił i nie opublikował tego? Nie wiedział. Nowy Zimny skasował wiadomość od księgowej i zapomniał o temacie. Dwa dni temu w podobnych okolicznościach dostał na skrzynkę materiały, które uważał za tajemnicę państwową.

Miałby pierwszy tekst do Nowej Gazety. A tak, zostaje znów z ręką w nocniku. Sam jak palec...

– Kuba? Niemożliwe – usłyszał obok. Przestał słuchać tekstu wojskowego o tym, że „trzeba uważać, żeby nas nie podsłuchano”. Obok stanęła dziewczyna z dwójką dzieci.

– Aaa, cześć – powiedział, choć nie mógł sobie jej przypomnieć.

Boże, miał deja vu. Wydawało mu się, że już to się kiedyś wydarzyło. Ta sama scena. Tylko czy ta sama kobieta? Może mógłby z nią założyć rodzinę, może to mogły być jego dzieci? A co wybrał? Podsłuchiwanie głównianych generałów.

Przeprosił dziewczynę, że się spieszy, ona odparła „oczywiście” i zniknęła (jeśli to w ogóle nie był zwid), położył pieniądze za kawę na stół i wyszedł. Mijając generałów i ministra, rzucił:

– Nikt panów nie nagrywa, ale o tam, przez godzinę siedział taki dziennikarz. Nazywał się Kuba Zimny. Może kiedyś opíše to spotkanie. W domu pusto i szaro. Ściany zaczęły mu falować.

Może by tak odkręcić gaz i skończyć to wszystko?

Przynajmniej dałby pożywkę dla teorii spiskowych. Wszędzie pisał, że nie zamierza popełnić samobójstwa, więc na pewno znalazłoby się wielu takich, którzy by się do tej wcześniejszej deklaracji przypięli. Kto wie, może kogoś by za to posadzono? Czy to byłby chichot losu? Z letargu wyrwał go dźwięk dzwonka.

– Kogo jeszcze, kurwa, tu niesie – myśląc, że to Gruby, poszedł otworzyć w samych majtkach.

Przed drzwiami stała kobieta, której z początku nie rozpoznał. Miała włosy w nieładzie, obszerne ciuchy ukrywające figurę, prawie całą twarz zasłaniały okrągłe, ciemne okulary. Trwało może sekundę, gdy ją rozpoznał.

Bez słowa uchylił drzwi i wpuścił przybyłą do środka. Tam kobieta zdjęła okulary i w ciemności błysnęły jej niezwykle, zielone oczy.

– Opowiem ci historię, w którą nie uwierzysz.

EPILOG

John F. Maller, szef korporacji Corpo na Europę Środkową i Wschodnią, był wielce niepokieszony, że zamiast lecieć na spotkanie zespołów do spraw głównych wdrożeń, które właśnie odbywało się w malowniczym Aspen, musi po raz kolejny wizytować cholerną Warszawę.

Nie znosił tego miasta. Korków, smogu, bałaganu i ludzi, którzy niby kochali Amerykę, ale ciągle bliżej im było do Rosjan. John w ogóle uważał, że Corpo popełniło błąd, powierzając mu kierownictwo na tym odcinku. Nie był dobrym partnerem dla menedżerów z demoludów. Znacznie bardziej cenił Azję i Afrykę, i tam go ciągnęło, jeśli już gdzieś poza USA. Polska, Rumunia, Węgry i inne małe rynki były dla niego wciąż niepojęte, obce, wręcz drażliwe.

W ogóle nie rozumiał, po co się nimi zajmować, skoro można to zostawić firmom lokalnym, a tylko rąbać prowizję. Polityka Corpo była inna, a on nie miał dość władzy, by się jej przeciwstawić. Cóż, może kiedyś.

Na dodatek w tej cholernej Warszawie ciągle trzeba było gasić jakieś pożary, a teraz właśnie tlił się załazek kolejnego.

– Cześć John, jak lot? – przywitał go Sławek, miły, sympatyczny i dobrze mówiący po angielsku inżynier z sekcji technicznej. Przeszedł szkolenia w Stanach, przez prawie dziesięć lat pracował w Londynie, a potem w Colombo i John cenił jego fachowość, w sumie to nawet nie uważał za Polaka, bardziej przyjmował, że jest podobnie jak on takim korporacyjnym zesłańcem.

– Znakomicie – mruknął prezes. – Modliłem się, żeby wulkan na Islandii pierdolnął, ale jak na złość nie chciał.

– Ciągnie cię do Aspen, co?

– Mam nadzieję, że zdążę.

– Wątpię – Sławek nie owijał w bawełnę i za to był przez wszystkich ceniony, także przez Johna.

– Aż tak źle?

– Gorzej.

– Fuck...

Dwa miesiące temu John o mały włos nie dostał zawału, gdy próbował zrozumieć, o co chodzi w tym cholernym kraju. Jakiś urząd, którego nazwy nie był w stanie zapamiętać, ale wiedział, że odpowiada za służbę zdrowia w całym kraju, nagle przestał zawierać umowy utrzymaniowe na sprzęt Corpo. Umowy były dużo warte, więc zrobił się mały kryzys i wezwano Johna, który zupełnie nie mógł pojąć istoty problemu.

„Jak to nie chcą podpisywać?”

„Zwyczajnie. Uznają je za niepotrzebne.” – wyjaśniał spokojnie Sławek.

„Nie rozumiem?”

„My też, ale oni po prostu nie chcą mieć żadnych umów serwisowych.”

„Przecież to standard. Wszyscy rozumieją konieczność zapewnienia serwisu i bezpieczeństwa. Tłumaczyliście im, że to jak ubezpieczenie, że jeśli coś padnie, nie mogą liczyć na naszą szybką reakcję, a naprawy będą kosztować znacznie więcej? Na pewno rozmawiamy o systemie odpowiadającym za świadczenia medyczne w całym kraju? Kto odpowie za to, jeśli się system wysypie i nastąpi ogólny chaos? Przecież może to skutkować

nawet śmiercią ludzi. Czy ci rządzący u was kompletnie powariowali? Gdzie szukają oszczędności?”

„Nasz kraj wymyka się standardom. Urząd orzekł, że poradzi sobie bez maintenance.”

John westchnął.

„To niech sobie kurwa radzi” – zamierzał wstać i wyjść. W sumie to go nie powinno obchodzić. Jak ma do czynienia z jakimiś idiotami, to niech sobie robią krzywdę. W końcu on tu tylko sprzęta. Mniejszy zysk dla korporacji? Co najwyżej więcej wyprowadzi przez umowy za użyczenie logo czy inne formy oszustwa. Cóż, wszyscy się nawzajem oszukujemy. Dziś wygrał urząd, który okazał się lepszym gangsterem, ale jak coś pierdolnie, to wtedy dopiero pożałujecie – pomyślał John z satysfakcją.

„John. Urzędnicy w Polsce mają szczęście, że nasz sprzęt się nie psuje, ale jeśli dojdzie do awarii na tym poziomie może nastąpić kataklizm. A wiesz, że ryzyko rośnie, jeśli nie będziemy serwisować i uaktualniać oprogramowania. Przez rok może i wszystko będzie działać jak trzeba, ale potem... cóż, trzeba reagować, bo jak znam naszych decydentów, to na koniec zwałą na nas. Powiedzą, że wszystko przez Corpo.”

„To ich pozwiemy i pošlemy z torbami.”

„Tu nie Ameryka, John.”

„No, wiem.”

Wówczas udało im się zidentyfikować problem i wdrożyć odpowiednie rozwiązania, podobnie jak rok wcześniej, gdy nakryto jednego z pracowników Corpo na korumpowaniu urzędników. Natychmiast został zwolniony, sprawę zamieciono pod dywan. Nawet w śledztwie w USA, gdzie nie było tak łatwo uniknąć odpowiedzialności, uznano, że nie ma dowodów na korupcję

i sprawę umorzono. Wszyscy byli zaskoczeni. Cóż, publicyści nie dostali informacji, że korumpującym był agent pracujący pod przykryciem dla rządu. Corpo mogło wykorzystać ten argument w procesie.

– Możesz to jakoś streścić? – zapytał John w taksówce.

– Chyba lepiej będzie porozmawiać w biurze.

Z lotniska nie mieli daleko. W zasadzie można było te parę ulic przejść pieszo. Siedziba Corpo nie była tak imponująca jak w USA czy innych dużych krajach, więc John trochę się jej wstydził i jednocześnie odczuwał, że jest w miejscu, w którym nie chciałby być. „Będziesz się bardziej starał” – mówiło coś w głowie. Dobrze mówiło. Zamierzał się postarać, by raz na zawsze zakończyć swoją warszawską przygodę.

– Dobra, przejdźmy od razu do rzeczy – orzekł, gdy zasiadł za stołem konferencyjnym.

W sali, poza Sławkiem, było jeszcze pięcioro menadżerów średniego szczebla, ale i tak mówił głównie Sławek. Pozostali tylko potwierdzali lub dodawali szczegóły techniczne.

– Sprawa zdrowia, jak pamiętasz, została załatwiona i mamy wszystko wyprostowane, umowy są podpisane, działają, sprzęt został przejrany, wgraliśmy wszystkie aktualizacje, prezes urzędu jest bardzo zadowolony. Problem przeszedł jednak do innej instytucji, kto wie, czy nie ważniejszej.

– Nie rozumiem. Możesz jaśniej?

– Ten urzędnik, który nam robił pod górkę w zdrowiu, został wysokim menedżerem Zakładu odpowiadającego za ubezpieczenia społeczne i emerytury. Mamy tam największe wdrożenie w kraju.

– To ten system, za który dostali jakąś nagrodę?

– Ten sam. Tyle że wiesz, jak to jest z tymi nagrodami.

– Wiem, wiem. Jak to się nazywał ten biznesmen, co to załatwiał?

– Duży Miś.

– A tak, zabawnie, zabawnie...

John przypomniał sobie uścisk Dużego Misia, którego poznał kiedyś na przyjęciu i który wydał mu się takim trochę lokalnym kacykiem, ale o dziwo bardzo dobrze mówił po angielsku, świetnie znał się na technologiach i skutecznie raz rywalizował, to znów współpracował z Corpo. John szanował takich ludzi.

– A nie można by poprosić Dużego Misia, żeby pomógł?

– Duży Miś wyjechał i go nie ma.

– Nie rozumiem?

– Próbują go wkręcić w jedną z afer, musiał uciekać.

– Aha, trudno – John był już pewien; nie wyłga i o Aspen trzeba zapomnieć. – To na pewno ten sam urzędnik?

– Zdecydowanie ten sam.

– Ja was naprawdę nigdy nie zrozumiałem. Skoro skompromitował się w zdrowiu, to dlaczego dali mu awans do tej jeszcze ważniejszej instytucji?

– U nas to najlepsza droga do kariery – wtrącił ktoś z sali, wyraźnie rozbawiony.

John chyba nie złapał żartu i był bliski wybuchu, więc Sławek zareagował:

– Chodzi o to, że mimo braku kompetencji jest uważany za pracownika dokładnie wykonującego polecenia. No i polecono mu, żeby zmniejszył obciążenia Zakładu, a ponieważ najbardziej zna się na walce z nami, stwierdził, że i tu nie podpisze umów, zamiast tego ogłosi, że zaoszczędził. No, sporo zaoszczędzi...

– Przecież już za to dostał po dupie wcześniej. Nie uczy się na błędach?

– Uważa, że został oszukany, chce się zemścić.

John podrapał się po głowie.

– Zaraz, żebym dobrze zrozumiał. Facet bez wykształcenia technicznego nie chce podpisywać umów serwisowych i uważa, że to fajna zemsta? W obszarze dwóch najważniejszych dla społeczeństwa systemów? On się zamienił na mózg z małpą?

– Podejrzewamy, że mózg mu się dopiero wykształci.

No tak, tylko jak to rozwiązać – pomyślał John. Był zaskoczony obrotem spraw, to się mu zwyczajnie nigdzie nie zdarzało, nawet w republikach bananowych, gdzie na potęgę korumpowano, łamano prawa autorskie i zwyczajnie kradziono sprzęt oraz programy, taka akcja się nie przytrafiła. Z drugiej strony zaczął trochę podziwiać tego urzędnika. W sumie to może ma rację, że nie potrzebują tych umów? Skoro Corpo łamie zasady, to oni też mogą?

Może nie powinien patrzeć na to tak jednostronnie? Cholera, pomiędzy nami gangsterami... Cóż, skoro tak, jest jedna metoda, która zawsze działa. W chwilach, gdy Indian robi się zbyt wielu, a amunicji brakuje, trąbimy po kawalerię.

– Dlaczego o tym w ogóle dyskutujemy? Trzeba od razu do ambasady, niech ktoś wytłumaczy premierowi i tyle.

– Obawiamy się, że w obecnej sytuacji geopolitycznej to nie jest najlepszy pomysł.

– Co wy pierdolicie? Ambasada zawsze działa.

– Jest tu jeszcze parę problemów – powiedział Sławek i uruchomił laptopa.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie jakiegoś hipisa z długimi włosami i szerokim uśmiechem.

– Poznajesz?

– Nie. Kto to?

– Nasz handlowiec. To znaczy były. Nazywaliśmy go tu Gościu, bo był podobny do Jeffa Bridgesa.

– Że co?

– No może dalekie podobieństwo...

– Boże, do sedna!

– No więc, ten nasz Gościu narozrabiał strasznie z niejakim Łysym. Pamiętasz?

Aha, tamta sprawa...

– Co z nim teraz?

– Otóż wyobraź sobie, że został handlowcem w spółce z Kazachstanu, która wymienia nasz sprzęt na używany.

– Jak to na używany?

– Jeśli coś się psuje lub zużywa, kupują przez tę kazachską spółkę używane podzespoły i wstawiają u nas.

– Nie wierzę.

– Tak jest.

– To niemożliwe.

– W Polsce wszystko jest możliwe. Ta firma zaczyna się prężnie rozwijać. Cóż, z powodu wysokich cen, nikt nas tu nie lubi.

John zastanawiał się przez chwilę.

– No to może zagrajmy *va banque* i zrobmy to, o co się proszą? Ciekawe, jakby to przyjęły rynki finansowe, gdyby Corpo wycofało się całkowicie z Polski? Sądziś, że byłaby to dobra reklama?

– Nie wiem. Obawiam się, że oni też grają *va banque* i może warto rozważyć pewne ustępstwa.

– Żadnych kurwa ustępstw! – warknął John. – Już ja im pokażę.

John był tak wściekły, że niemal od razu pojechał do ambasady. Zresztą umówił się z panią ambasador jeszcze w samolocie, bo

miał jej do przekazania upominek od wspólnych znajomych. Ucieszyła się.

„Ja też mam coś dla ciebie” – odparła.

Jadąc tam, John nakręcał się, jak to da popalić tym skurwysynom psującym mu biznes. Pani ambasador już kilka razy ustawiła do pionu polski rząd. Miała po temu odpowiednie narzędzia. Nadeszła pora, by ich użyć.

W ambasadzie czekała już na Johna asystentka. Poprowadziła go najkrótszą drogą do gabinetu pani ambasador. John wszedł z najszerszym uśmiechem, jaki sobie przez lata wypracował i z trudem go utrzymał, gdy zobaczył, że pani ambasador czeka na niego w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Był mniej więcej w jego wieku, szczupły, przystojny, pewny siebie i zadbany. Wyglądał nawet trochę po amerykańsku, choć John wyczuwał, że to jednak Polak.

– John, jak dobrze, że jesteś. Właśnie o tobie rozmawialiśmy.

– Tak?

– Przepraszam, że zastosowaliśmy taką dziwną metodę, ale nie było innego wyjścia, żeby nie wywołać niepokoju u naszych wspólnych, izraelskich przyjaciół.

O co tu mogło chodzić?

– Proszę, żebyś zbyt nie ingerował w tę sprawę, po prostu pomóż nam tak, jak o to prosimy. Oczywiście sytuacja w zakładzie także wróci do normy. Najpierw jednak musisz coś dla nas zrobić.

– Słucham?

– To już przekaże ci nasz przyjaciel. Cóż, ja pożegnam panów – pani ambasador uśmiechnęła się i wyszła.

John cały czas próbował sobie poukładać te klocki w jedną całość. Problemy z umowami, jakieś dziwne układy, Kazachstan, a teraz Izrael? O co mogło w tym chodzić? Na dodatek ten bubek

pewnie wcale mu nic nie wyjaśni, tylko wyda nowe rozkazy. A on będzie musiał robić dobrą minę do złej gry i je wykonać. Kurewska robota!

Bubek uściśnął mu dłoń i przedstawił się:

– Marek.

*

Wyszła z siedziby Banku Polskiego i postanowiła się przespacerować do domu. Miała parę kilometrów do przejścia, ale zmieniła buty na sportowe, pogoda była piękna, a ona potrzebowała ruchu. Denerwowała się trochę, że Zimny złamie umowę i ją zdradzi, ale z każdym spotkaniem jej zaufanie do byłego dziennikarza wzrastało.

„Masz tylko obiecać, że napiszesz z tego powieść, nie reportaż” – zaznaczyła ostatnio.

„Piszę już tylko powieści” – odparł.

Wczoraj zakończyli rozmowy, dziennikarz miał z dziesięć godzin nagrań. Jak je wykorzysta? Nie jej problem. Ona spłaciła dług. Za zgodą Marka i Diesla.

Była piękna pogoda i słońce dobrze na nią działało. Choć bardzo jej brakowało tych dwóch facetów. Tego pierwszego bardziej. Mimo, że oficjalnie nie żył, ona już wiedziała, że to ściema. Zbyt dużo o tym świadczyło. Diesel zresztą przestał ściemniać.

„Powiedz, kiedy go w końcu zobaczę” – poprosiła przy ostatniej okazji.

„Niedługo” – odparł.

Od tego czasu minęły chyba dwa tygodnie, a „niedługo” wciąż nie nadchodziło. Mimo to, każdego dnia wracała z tą samą nadzieją, że zastanie go w kuchni albo... w łóżku. Będzie tam na nią czekał, a potem...

Miała jakieś przeczucie, że dziś to się stanie.

Zacęła w ogóle wierzyć w znaki i czarną magię.

Lepiej późno niż wcale.

Zatrzymała się w centrum w kawiarni, zrobiła drobne zakupy, opędziła się od kilku spojrzeń i dała kosza gościowi z mercedesa, który zaproponował podwózkę. Potem ruszyła do metra i zagnieździła się w rogu. Wysiadła stację wcześniej, przeszła resztę drogi pieszo. Niestety drzwi były zamknięte, jak je pozostawiła, ale zaraz potem serce zamarło.

Czuła go. Inny zapach. Jego zapach. Boże, to naprawdę on, jest tu. Chyba że to tylko jej chciejstwo, jakiś rodzaj fatamorgany.

Zajrzała do kuchni, salonu i sypialni, ale tam nikogo nie było. Ostatnie miejsce, pokój służący za graciarnię był zamknięty i pograżony w mroku. Okno pozostawało szczelnie zasłonięte nieprześwitującą kotarą. W mroku ktoś siedział na ziemi. Czekał na nią. Był tu czy tylko jej się wydawało? Jeszcze nie oszalała?

– Zamknij drzwi i nie zapalaj światła.

– Boże, to naprawdę ty.

Mężczyzna przycisnął palec do jej ust.

– Cii, nie mów nic. Mnie nie ma. Nas nie ma.

KONIEC

OD AUTORA

Wszystkie postaci i firmy w tej książce zostały wymyślone, a jakakolwiek zbieżność jest przypadkowa i niezamierzona.

Jeśli znacie temat, wiecie, że nieźle zamieszałem w tym kotle, dlatego błagam, nie bierzcie tej książki zbyt poważnie. Skupiam się na mechanizmach, staram się pokazać prawdę o świecie wielkich pieniędzy, a nie na poszczególnych postaciach, które są po prostu literackimi bohaterami. Nie chciałem też nikogo oskarżyć, urazić ani obrazić. Napisałem powieść o tym, co było. Takie prawo pisarza.

A jak to się wszystko skończyło?

Łysy został małym świadkiem koronnym i skazano go na kilka lat więzienia w zawieszeniu. Kolejne procesy trwały, gdy ta książka powstawała. Zlikwidował blog o cygarach. Po aresztowaniu nie udało mi się z nim porozmawiać, więc nie znam jego spojrzenia na omawiany temat, tłumaczeń, dlaczego to wszystko zrobił, dlaczego zmarnował swoją karierę i szansę Polski na skok technologiczny.

Duży Miś wrócił do Polski. Jego interesami przestano się interesować.

Olo robi świetne interesy z nową władzą.

Minister przestał się zawieszać. Wydaje mu się, że jest zdrowy. Niestety, to tylko jego opinia.

Gościu podobno pracuje dla CIA (niby sojusznik). Rozdaje wizytówki z adresem w Kazachstanie. Bardzo lubi ściszać głos i twierdzić, że wszystko, co się dzieje ma większy, globalny sens.

Marek jest znaną osobą publiczną. To postać bardzo niejednoznaczna, tak naprawdę trudno ocenić, czy służby pracują dla niego, czy on dla służb. Bylibyście bardzo zaskoczeni, gdybym podał jego nazwisko. Ale to tylko fałszywa tożsamość. Prawda jest znacznie ciekawsza. Kto wie, czy kiedyś nie zostanie opisana w literaturze faktu.

Panie Marku, wciąż uważam, że powinien Pan opublikować swoje wspomnienia. Byłoby niezłe zamieszanie.

Monika podobno nie istnieje. Mieszka daleko.

Rudy przekonuje, że w całą tę sprawę wkręciły i wmanipulowały go służby. Ja tam go lubię, myślę, że to porządny gość. Jakoś się wyplątał, radzi sobie.

Brunetka ułożyła sobie życie na nowo. Mam nadzieję, że spojrzy na tę książkę z dystansem. W przeciwnym razie jej nowy partner pewnie obje mi mordę. Nie będę się bronił.

Muzyk ma zajebistego stracha, że jego nazwisko zostanie ujawnione. Jeśli tak się stanie, będzie wielki skandal. Łajza zasłużył.

Belmondziak ostatnio zniknął. Nie wiem, czy nadal sprzedaje kobiety jak towar. Uważa, że to nic złego dostarczyć modelkę do łóżka jakiemuś miliarderowi (bez jej wiedzy, że wyjeżdża w takim celu).

Diesel robi, co robił i cały czas jest z Moną. Arab i Sara siedzą w Brukseli. Pewnie zastanawiają się, czy ktoś nagrał przystojniaka Bartosza i co z tego wyniknie.

Prezes Blondas niezmiennie pozostaje skurwysynem. Nie poszedł siedzieć. Ech, ależ on mnie znienawidzi za tę książkę. Mogę zapomnieć o jakimkolwiek kontrakcie ze spółką Skarbu Państwa. Cóż, takie życie.

Knury też zostały wypuszczone. W Polsce nie siedzi się za duże przekręty. Na więzienie zasługują ci, co kradną batoniki. W ogóle za sprawy opisane w tej książce nikt tak naprawdę nie poniósł konsekwencji.

Czesław nie popełnił samobójstwa (i nie został zabity), skłamałem. Żyje sobie, unika odpowiedzialności. Autentyczny numer z robieniem w gacie mu się opłacił, bo zatarł dowody. Dobrze to sobie wymyślił. Aha, nasz bohater nie ma nic wspólnego z budową Zamku w parku. Zmyśliłem to. Ktoś inny buduje ów zamek, choć pewnie budować nie powinien. Nie wnikiem, bo sprawie się nie przyglądałem.

Wyjazdy referencyjne do RPA, USA, Bangkoku, Petersburga, Cannes, Monaco, Izraela i setek innych fajnych lokacji wciąż mają miejsce, jednak już nie na tak dużą skalę, a organizatorzy dbają o pozory. Część artystyczna jest równoważona przez merytoryczną.

Corpo ma się dobrze, choć pewnie mogłoby być lepiej. Rozwiązania tej firmy są stosowane przez praktycznie wszystkie najważniejsze krajowe urzędy i firmy. Zresztą na świecie jest podobnie.

Scena narobienia do plecaka agentowi, który próbował dokonać prowokacji, jest wzięta z życia, choć wówczas chyba w plecaku nie było pieniędzy.

Polska giełda umiera. Może ożywi ją trochę kolejna nietrafiona reforma emerytalna. Właściwego nadzoru nad rynkiem nadal jak nie było, tak nie ma.

Patrycja wciąż kocha Albercika.

lipiec 2019 roku